

Fiodor Dostojewski

GRACZ

(z notatek młodzieńca)

Przełożył Władysław Broniewski

1

Wróciłem wreszcie po dwutygodniowej nieobecności. Całe nasze towarzystwo już od trzech dni było w Ruletenburgu¹. Myślałem, że Bóg wie jak na mnie czekają, jednak omyliłem się. Generał miał minę niezwykle swobodną, rozmawiał ze mną wyniośle i odesłał mnie do siostry. Było oczywiste, że dostali skądś pieniądze. Zdawało mi się nawet, że generał spogląda na mnie z pewnym zawstydzeniem. Maria Filipowna była niezwykle zakłopotana i mówiła ze mną uprzejmie; pieniądze jednak wzięła, przeliczyła i wysłuchała całego mojego sprawozdania. Na obiedzie mieli być Mieziencow, Francuzik i jeszcze jakiś Anglik; jak tylko są pieniądze, zaraz proszony obiad; po moskiewsku. Polina Aleksandrowna, zobaczywszy mnie, zapytała: dlaczego tak długo? i nie doczekawszy się odpowiedzi, odeszła dokądś. Rozumie się, zrobiła to naumyślnie. Muszę się jednak wytłumaczyć. Nazbierało się wiele rzeczy do omówienia.

Przeznaczono mi mały pokoik na trzecim piętrze hotelu. Tutaj wszyscy wiedzą, że należę do świty generała. Widać ze wszystkiego, że zdążyli jednak dać się poznać. Generała wszyscy uważają tutaj za niezmiernie bogatego rosyjskiego magnata. Już przed obiadem, pośród innych poleceń, zdążył dać mi do zmiany dwa tysiącfrankowe banknoty. Rozmieniłem je w kantorze hotelowym. Teraz będą na nas patrzeć jak na milionerów, przynajmniej przez cały tydzień. Chciałem zabrać Miszę i Nadię i pójść z nimi na spacer, ale gdy byliśmy już na schodach, wezwano mnie do generała, który uznał za stosowne dowiedzieć się, dokąd je zaprowadzę. Ten człowiek stanowczo nie może mi patrzeć w oczy; nawet bardzo by chciał, ale za każdym razem odpowiadam mu takim uporczywym, czyli pozbawionym uszanowania spojrzeniem, że to go jakby zbija z tropu. W napuszczonym przemówieniu, pakując jedno zdanie na drugie, a wreszcie całkiem się płacząc, dał mi do zrozumienia, żebym spacerował z dziećmi gdzieś daleko od kasyna, w parku. W końcu, zupełnie zirytowany, dodał ostro: „Bo jeszcze gotów je pan zaprowadzić do kasyna, na ruletkę. Niech mi pan wybaczy – dodał – ale wiem, że jest pan jeszcze dość lekkomyślny i może zdolny do hazardu. W każdym bądź razie, chociaż nie jestem pańskim mentorem, a nawet nie chcę brać na siebie tej roli, mam prawo życzyć sobie, żeby pan, że tak powiem, mnie nie skompromitował...”

– Ależ ja nawet nie mam pieniędzy – odpowiedziałem spokojnie – żeby przegrać, trzeba je posiadać.

– Pan je natychmiast otrzyma – odpowiedział generał, trochę się czerwieniąc, poszukał w biurku, sprawdził w książce i okazało się, że należy mi się około stu dwudziestu rubli.

– Jakże my się rozliczymy – zaczął – trzeba przerachować na talary. Ot, niech pan weźmie okrągłe sto talarów, reszta, rzecz prosta, nie przypadnie.

Przyjąłem pieniądze w milczeniu.

– Proszę bardzo, niech się pan nie obraża za to, co powiedziałem, pan jest taki obraźliwy... Jeżeli zwróciłem panu uwagę, to dlatego, aby, że tak powiem, ostrzec pana, a już do tego, rozumie się, posiadam pewne prawo...

Przed obiadem, wracając z dziećmi do domu, spotkałem całą kawalkadę. Nasze towarzystwo wyjeżdżało oglądać jakieś ruiny. Dwa cudowne powozy, wspaniałe konie! Mademoiselle Blanche w jednym powozie z Marią Filipowną i Poliną; Francuzik, Anglik i

¹ Nazwa zmyślona. Chodzi zapewne o Wiesbaden. Dostojewski bywał tam w latach 1862, 1863 i 1865.

nasz generał konno. Przechodnie stawali i przyglądali się; efekt był osiągnięty; ale generałowi to na sucho nie ujdzie. Obliczyłem, że z czterema tysiącami franków, które przywiozłem, dodając do tego to, co widocznie zdołali wydestać, mają teraz jakieś siedem albo osiem tysięcy franków; to za mało dla mlle Blanche.

Mlle Blanche również zatrzymała się w naszym hotelu, razem z matką; i Francuzik jest również gdzie tutaj. Lokaje tytułują go „*Mr le comte*”, a matkę mlle Blanche – *Mme la comtesse*² – cóż, może naprawdę są *comte et comtesse*.

Wiedziałem z góry, że *mr le comte* nie pozna mnie, kiedy się spotkamy przy obiedzie. Generałowi, naturalnie, nawet by nie przyszło na myśl zapoznać nas albo choćby tylko mnie jemu przedstawić; a *mr le comte* sam bywał w Rosji i wie, jaki to mały ptaszek, to, co oni nazywają *outchitel*³. Zresztą, zna mnie bardzo dobrze. Ale muszę się przyznać, że na obiad przyszedłem nieproszony; zdaje się, że generał zapomniał wydać odpowiednie polecenie, inaczej z pewnością odesłałby mnie, bym zjadł przy *table d'hôte*⁴. Zjawiłem się sam, toteż generał spojrzął na mnie z wyrazem niezadowolenia. Pocziwa Maria Filipowna natychmiast wskazała mi miejsce; lecz spotkanie z mister Astleyem wybawiło mnie z kłopotu i mimo woli zacząłem należeć do ich towarzystwa.

Tego dziwnego Anglika spotkałem najpierw w Prusach, w wagonie, gdzie siedzieliśmy naprzeciwko siebie, gdy doganiałem nasze towarzystwo; później zetknąłem się z nim wjeżdżając do Francji, wreszcie w Szwajcarii; w ciągu tych dwóch tygodni dwa razy – i oto teraz spotkałem go nagle w Ruletenburgu. Nigdy w życiu nie widziałem człowieka bardziej nieśmiałego; jest nieśmiały aż do śmieszności i naturalnie wie o tym, bo jest całkiem niegłupi. Zresztą, jest bardzo miły i łagodny. Oświadczył mi, że był tego lata na Przylądku Północnym i że miałyby wielką ochotę być na jarmarku w Niżnim Nowogrodzie. Nie wiem, w jaki sposób zapoznał się z generałem; zdaje się, że jest bezgranicznie zakochany w Polinie. Kiedy weszła, aż się zarumienił. Był bardzo zadowolony, że przy stole usiadłem obok niego, i, zdaje się, uważa mnie już za swojego serdecznego przyjaciela.

Przy stole Francuzik nadzwyczaj zadzierał nosa; do wszystkich odnosił się lekceważąco i z góry. A w Moskwie, pamiętam, gadał głupstwa. Ogromnie dużo mówił o finansach i o polityce rosyjskiej. Generał niekiedy ośmielał się oponować – lecz skromnie, tyle tylko, żeby nie utracić do reszty powagi.

Byłem w dziwnym usposobieniu. Rozumie się, nim minęła połowa obiadu, zdążyłem zadać sobie moje zwykłe pytanie: „Po co ja się włóczę z tym generałem i dlaczego już dawno ich nie rzuciłem?” Z rzadka spoglądałem na Polinę Aleksandrownę, która zupełnie nie zwracała na mnie uwagi. Skończyło się na tym, że rozzłościłem się i postanowiłem nagadać im głupstw.

Zacząło się od tego, że nagle, ni stąd, ni zowąd, głośno i nie pytany wmieszałem się w cudzą rozmowę. Największą ochotę miałem pokłócić się z Francuzikiem. Zwróciłem się do generała i nagle, całkiem głośno, a nawet chyba przerywając mu, zauważyłem, że tego lata Rosjanie prawie nie mogą stołować się w hotelach, przy *table d'hôte*. Generał utkwiał we mnie zdziwione spojrzenie.

– Jeśli ktoś się szanuje – ciągnąłem dalej – niewątpliwie narazi się na wymyślania i będzie musiał znosić niezwykle dotkliwe docinki. W Paryżu i nad Renem, a nawet w Szwajcarii, przy *table d'hôte* bywa tylu Polaczków i współczujących im Francuzików, że nie można się nawet odezwać, jeżeli się jest Rosjaninem.

² *Monsieur le comte (...)* *Madame la comtesse* - Panie hrabio (...) Pani hrabino

³ Czytaj: *uczitel*. Rosyjskie słowo „nauczyciel” w transkrypcji francuskiej.

⁴ *table d'hôte* – wspólny stół [w restauracji, pensjonacie itp.]

Powiedziałem to po francusku. Generał patrzył na mnie ze zdumieniem, nie wiedząc, czy ma się rozgniewać, czy tylko zdziwić, że się tak zapomniałem.

– To znaczy, że ktoś panu pewno dał nauczkę – powiedział Francuzik lekceważąco i wzgardliwie.

– W Paryżu najpierw pokłóciłem się z pewnym Polakiem – odpowiedziałem – później z pewnym oficerem francuskim, który trzymał stronę Polaka. A później już część Francuzów przeszła na moją stronę, kiedy im opowiedziałem, jak chciałem napluć w kawę monsignorowi.

– Napluć? – zapytał generał z ogromnym zdumieniem i nawet oglądając się. Francuzik przypatrywał mi się niedowierzająco.

– Tak jest – odpowiedziałem. – Ponieważ przez całe dwa dni byłem przekonany, że trzeba będzie w naszej sprawie wyjechać na chwilę do Rzymu, poszedłem do kancelarii poselstwa ojca świętego⁵ w Paryżu, żeby zawizować paszport. Tam przyjął mnie księżyna może pięćdziesięcioletni, oschły, o chłodnym wyrazie twarzy, i wysłuchawszy mnie uprzejmie, ale nadzwyczaj oschle, poprosił, żebym poczekał. Chociaż mi się śpieszyło, ale, naturalnie, usiadłem, wyciągnąłem «L'Opinion Nationale»⁶ i zacząłem czytać najokropniejsze wymyślenia na Rosję. Podczas tego słyszałem, jak przez sąsiedni pokój ktoś wszedł do monsignora; widziałem, jak mój ksiądz się uklonił. Zwróciłem się do niego, powtarzając moją prośbę; jeszcze bardziej oschle znów mnie poprosił, żebym poczekał. Wkrótce potem wszedł jeszcze ktoś, interesant – jakiś Austriak; wysłuchano go i natychmiast zaprowadzono na górę. Wtedy zrobiło mi się bardzo przykro. Wstałem, poszedłem do księdza i powiedziałem mu tonem zdecydowanym, że jeżeli monsignore przyjmuje, to może i mnie załatwić. Ksiądz nagle odskoczył ode mnie z niesłychanym zdziwieniem. Było to dla niego po prostu niepojęte, że jakiś nędzny Moskał śmie porównywać się z gościem monsignora. Najbezcześniejszym tonem, jakby ciesząc się, że może mnie upokorzyć, zmierzył mnie od stóp do głów i krzyknął: „Czy pan sądzi, że monsignore dla pana odejdzie od swojej kawy?” Wtedy i ja krzyknąłem, ale jeszcze głośniejszym głosem niż on: „Wiedz pan, że ja pluję na kawę pańskiego monsignora! Jeżeli pan natychmiast nie załatwi formalności z moim paszportem, pójdę wprost do niego.”

„Co! Wtedy gdy u niego jest kardynał!” – zawołał księżyna, cofając się przede mną w przerażeniu, podbiegł do drzwi i rozkrzyżował ręce, dając do zrozumienia, że raczej umrze, niż mnie wpuści.

Wtedy odpowiedziałem, że jestem heretykiem i barbarzyńcą, „*Que je suis hérétique et barbare*” i że wszyscy ci arcybiskupi, kardynałowie, monsignorzy itd., itd. – nic mnie nie obchodzą. Słowem, dałem poznać, że nie ustąpię. Ksiądz popatrzył na mnie z niezmierną złością, potem porwał mój paszport i zaniósł go na górę. Po chwili paszport był już zawizowany. Oto on, czy ma ktoś z państwa ochotę zobaczyć? – Wyciągnąłem paszport i pokazałem rzymską wizę.

– Pan jednak... – zaczął generał.

– Uratowało pana to, że uznał się pan za barbarzyńcę i heretyka – zauważył z uśmiechem Francuzik. – *Cela n'était pas si bête*⁷.

– Czy więc mam brać przykład z naszych rodaków? Oni tu nie śmia nawet pisać i może gotowi zaprzecić się, że są Rosjanami. Przynajmniej w Paryżu w moim hotelu zaczęto traktować mnie zupełnie inaczej, kiedy opowiedziałem im o awanturze z księdzem. Gruby

⁵ Dyplomatyczne przedstawicielstwo Państwa Kościelnego istniało w roku 1870.

⁶ Paryski dziennik o orientacji liberalnej, znany m.in. z bardzo krytycznego stosunku wobec Rosji, zwłaszcza jej polityki wobec Polski.

⁷ To wcale nie takie głupie.

polski pan, najbardziej wrogo do mnie usposobiony ze wszystkich gości przy *table d'hôte*, zeszedł na plan dalszy. Francuzi wytrzymali nawet, kiedy opowiedziałem, że dwa lata temu widziałem człowieka, do którego strzelił francuski jeger w dwunastym roku – jedynie po to, żeby rozładować broń. Człowiek ten był wówczas dziesięcioletnim dzieckiem i jego rodzina nie zdążyła wyjechać z Moskwy.

– To niemożliwe – zachnął się Francuzik – francuski żołnierz nie strzela do dziecka!

– A jednak tak było – odpowiedziałam, – Opowiadał mi to czcigodny dymisjonowany kapitan, i ja sam widziałem na jego policzku bliznę od kuli.

Francuz zaczął mówić dużo i prędko. Generał już chciał go poprzeć, ale poradziłem mu, żeby przeczytał choćby urywki z *Notatek generała Perowskiego*⁸, który w dwunastym roku był w niewoli u Francuzów, W końcu Maria Filipowna zaczęła coś mówić, żeby przerwać rozmowę. Generał był ze mnie bardzo niezadowolony, bośmy obaj z Francuzem omal nie zaczęli krzyczeć. Ale mister Astleyowi, zdaje się, mój spór z Francuzem bardzo się podobał; wstając od stołu, prosił, żebym z nim wypił kieliszek wina. Wieczorem, jak zwykle, udało mi się z kwadrans porozmawiać z Poliną Aleksandrowną. Nasza rozmowa odbyła się na spacerze. Wszyscy poszli do parku w stronę kasyna. Polina usiadła na ławce naprzeciw fontanny, a Nadii pozwoliła się bawić z dziećmi w pobliżu. Ja również pozwoliłem Miszy, żeby podszedł do fontanny, i zostaliśmy w końcu sami.

Zaczelismy naturalnie od interesów. Polina po prostu rozgniewała się, gdy jej oddałem tylko siedemset guldenów. Była pewna, że przywiozę jej z Paryża, pod zastaw jej brylantów, przynajmniej dwa tysiące guldenów, a może i więcej.

– Za wszelką cenę potrzebne mi są pieniądze – powiedziała – i trzeba je zdobyć; inaczej jestem po prostu zgubiona.

Zacząłem rozpytywać, co się działo podczas mojej nieobecności.

– Nic poza tym, że z Petersburga nadeszły dwie wiadomości: najpierw, że z babcią jest bardzo źle, a po dwóch dniach, że, zdaje się, już umarła. Ta wiadomość pochodzi od Timofieja Pietrowicza – dodała Polina – a to człowiek dokładny. Czekamy na ostatnią, decydującą wiadomość.

– A więc wszyscy tu trwają w oczekiwaniu? – zapytałem.

– Naturalnie, wszyscy i wszystko; od pół roku tylko na to liczą.

– I pani na to liczy? – zapytałem.

– Przecież ja wcale nie jestem jej krewną, jestem tylko pasierbicą generała. Ale wiem na pewno, że ona nie zapomni o mnie w testamencie.

– Zdaje się, że pani bardzo dużo dostanie – powiedziałem tonem pewności.

– Tak, ona mnie kochała; ale dlaczego p a n tak przypuszcza?

– Niech pani powie – odpowiedziałem pytaniem – zdaje się, że nasz markiz jest również wtajemniczony we wszystkie sekrety rodzinne?

– A dlaczego pan się tym interesuje? – zapytała Polina, spojrzawszy na mnie surowo i oschle.

– Jeszcze by też; jeżeli się nie mylę, generał zdążył już od niego pożyczyć.

– Pan bardzo trafnie zgaduje.

– No więc, czyż on by dał pieniądze, jeżeliby nie wiedział o babuleńce? Czy pani zauważyła, że on trzy razy przy stole, mówiąc coś o babci, nazwał ją babuleńką, „*la baboulinka*”? Jakież bliskie i przyjacielskie stosunki!

⁸ Wspomnienia hrabiego Wasiliego Perowskiego (1785-1857), generała adiutanta, uczestnika wojny 1812, ogłoszone drukiem w roku 1865. Ich autor utrzymuje, że w 1812 roku Francuzi rozstrzeliwali jeńców, którzy, chorzy lub skrajnie wyczerpani, nie byli w stanie iść.

– Tak, pan ma słuszość. Gdy tylko się dowie, że z testamentu i mnie się coś okroiło, zaraz zacznie się o mnie starać. Czy tego chciał się pan dowiedzieć?

– Zacznie się starać? Sądziłem, że od dawna się stara.

– Pan wie doskonale, że nie! – powiedziała Polina z przejęciem.

– Gdzie pan spotkał tego Anglika? – dodała po chwili milczenia.

– Byłem pewny, że pani zaraz o niego zapyta.

Opowiedziałem jej o moich poprzednich spotkaniach z mister Astleyem w drodze. „Jest nieśmiały i kochliwy, i z pewnością kocha się w pani?”

– Tak, kocha się we mnie – odpowiedziała Polina.

– No i z pewnością jest dziesięć razy bogatszy od Francuza. Cóż, czy ten Francuz naprawdę ma cośkolwiek? Czy to aby pewne?

– Pewne. On ma jakiś *château*⁹. Jeszcze wczoraj mówił mi o tym generał z zupełną pewnością. No cóż, zadowolony pan?

– Ja bym na pani miejscu stanowczo wyszedł za Anglika.

– Dlaczego? – zapytała Polina.

– Francuz ładniejszy, ale podlejszy; a Anglik oprócz tego, że jest szlachetny, jest dziesięć razy bogatszy – palnąłem.

– Tak; ale Francuz jest markizem i ma więcej rozumu – odpowiedziała spokojnie.

– Czyżby? – ciągnąłem jak poprzednio.

– Z pewnością.

Polinie bardzo nie podobały się moje pytania i zauważyłem, że miała ochotę poirytować mię tonem i ostrością swojej odpowiedzi; natychmiast jej to powiedziałem.

– Cóż, naprawdę mnie bawi, kiedy się pan wścieka. Już choćby za to, że pozwalam panu zadawać takie pytania i robić takie domysły, musi pan zapłacić.

– Istotnie, uważam się za uprawnionego do zadawania pani wszelkich pytań – odpowiedziałem spokojnie – właśnie dlatego, że gotów jestem za nie zapłacić wszelką cenę, i nie liczę się teraz całkiem ze swoim życiem.

Polina roześmiała się.

– Powiedział mi pan ostatnim razem na Schlangenbergu, że gotów pan skoczyć na pierwsze moje słowo, a tam, zdaje się, jest do tysiąca stóp. Kiedyś powiem to słowo, jedynie po to, żeby się przyjrzeć, jak pan wypląca się z długu, i niech pan będzie pewny, że wytrzymam to. Nienawidzę pana – właśnie za to, że na tak wiele panu pozwoliłam, a jeszcze bardziej nienawidzę za to, że mi pan jest tak potrzebny – muszę pana oszczędzać.

Zacząła wstawać z miejsca. Mówiła z rozdrażnieniem. Ostatnio zawsze kończyła ze mną rozmowę ze złością i z rozdrażnieniem, z prawdziwą złością.

– Niech mi pani pozwoli zapytać, kto to taki mlle Blanche? – zapytałem, nie chcąc jej puścić bez wyjaśnienia.

– Pan sam wie, kim jest mlle Blanche. Nic nowego nie wiadomo. Mlle Blanche z pewnością będzie generałową, rozumie się, jeżeli wiadomość o zgonie babki się potwierdzi, ponieważ m lle Blanche i jej mama, i daleki *cousin* markiz – wszyscy bardzo dobrze wiedzą, że jesteśmy zrujnowani.

– A generał zakochany z kretesem?

– Teraz nie o to chodzi. Niech pan słucha i zapamięta sobie: niech pan weźmie te siedemset florenów i pójdzie grać, niech pan wygra dla mnie na ruletce, o ile można najwięcej; pieniądze są mi teraz potrzebne za wszelką cenę.

⁹ Zamek.

Powiedziawszy to, zawołała Nadię i poszła w stronę kasyna, gdzie przyłączyła się do całego naszego towarzystwa. Ja zaś skręciłem w pierwszą napotkaną alejkę w lewo, rozmyślając i dziwiąc się. Kiedy kazała mi iść na ruletkę, całkiem jakbym dostał cios w głowę. Dziwna rzecz: miałem o czym rozmyślać, a równocześnie pogrążyłem się w analizie objawów moich uczuć do Poliny. Doprawdy, lżej mi było w czasie tych dwóch tygodni nieobecności niż teraz w dniu powrotu, chociaż w drodze tęskniłem jak wariat, miotałem się jak oparzony i nawet we śnie co chwila widziałem ją przed sobą. Raz (było to w Szwajcarii), zasnąwszy w wagonie, zdaje się, zacząłem głośno rozmawiać z Poliną, czym rozśmieszyłem wszystkich siedzących ze mną pasażerów. I jeszcze raz zadałem sobie pytanie: czy ją kocham? I jeszcze raz nie umiałem na nie odpowiedzieć, a właściwie znów, po raz setny, odpowiedziałem sobie, że jej nienawidzę. Tak, była mi nienawistna. Bywały chwile (a zwłaszcza za każdym razem przy końcu naszych rozmów), że oddałbym pół życia, żeby ją udusić! Przysięgam, gdyby było możliwe powoli zatopić w jej piersi ostry nóż, to zdaje mi się, że zrobiłbym to z rozkoszą. A równocześnie, przysięgam na wszystko, co jest świętego, gdyby na Schlangenbergu, na modnym szczycie, rzeczywiście powiedziała mi: „Niech pan skoczysz”, natychmiast bym skoczył, nawet z rozkoszą. Byłem tego pewny. Tak czy inaczej, ale to się musiało rozstrzygnąć. Polina wszystko to doskonale rozumie i myśl, że zupełnie jasno i wyraźnie zdaję sobie sprawę, że ona jest dla mnie niedostępna, że moje fantazje nie mają żadnych możliwości spełnienia się – ta myśl, jestem pewny, sprawia jej niezwykłą rozkosz; inaczej bowiem czyżby mogła – ona, ostrożna i rozumna – pozostawać ze mną w stosunkach tak bliskich i szczerych? Zdaje się, że dotychczas traktowała mnie jak ta starożytna cesarzowa, która rozbierała się przy swoim niewolniku, nie uważając go za człowieka. Tak, niejednokrotnie nie uważała mnie za człowieka...

Jednak dała mi polecenie – wygrać na ruletce za wszelką cenę. Nie miałem czasu się zastanawiać, dlaczego i jak prędko trzeba wygrać, i jakie nowe pomysły rodziły się w tej wiecznie obliczającej coś głowie? Poza tym w ciągu tych dwóch tygodni przybyło mnóstwo nowych faktów, o których jeszcze nie miałem pojęcia. Wszystko to trzeba było odgadnąć, we wszystko wnikać, i to możliwie jak najprędzej. Ale na razie nie było czasu: trzeba było iść na ruletkę.

2

Przyznam się, że było to dla mnie nieprzyjemne; chociaż postanowiłem, że będę grać, ale nie przypuszczałem, że zacznę, grając dla kogoś. To mnie nawet trochę zbijało z tropu i do sal gry wszedłem mocno poirytowany. Od pierwszego rzutu oka wszystko mi się tam nie spodobało. Nie mogę znieść tego lokajstwa w felietonach całego świata, a zwłaszcza w naszych rosyjskich gazetach, gdzie prawie każdej wiosny nasi felietoniści opowiadają o dwóch rzeczach: po pierwsze, o niesłychanym przepychu i wspaniałości sal gry w ruletkowych miastach nad Renem, a po drugie, o górach złota, które jakoby leżą na stołach. Przecież im za to nie płacą; to się tak opowiada po prostu przez bezinteresowną grzeczność. Nie ma żadnego przepychu w tych nędznych salach, a co do złota, to nie tylko, że gór nie ma, ale i małe ilości rzadko się pokazują. Naturalnie, niekiedy, podczas sezonu, zjawi się jakiś dziwak albo Anglik, albo jaki Azjata, Turek, jak w tym sezonie letnim, i nagle przegra albo wygra bardzo dużo; wszyscy zaś inni grają stawiając nędzne guldeny i przeciętnie na stole leży bardzo mało pieniędzy. Gdy tylko wszedłem do sali gry (po raz pierwszy w życiu), jakiś czas jeszcze nie decydowałem się przystąpić do stawiania. W dodatku nieswojo mi było w tym tłumie. Ale gdybym nawet był sam, to i wówczas raczej bym wyszedł, a nie zacząłbym grać. Przyznam się, że serce mi biło mocno i straciłem zimną krew; wiedziałem na pewno i dawno już postanowiłem, że z Ruletenburga tak nie wyjadę; coś z pewnością nastąpi w moim życiu, coś radykalnego i ostatecznego. Tak musi być i będzie. Chociaż to śmieszne, że tak wiele się spodziewam po ruletce, ale jeszcze śmieszniejsze wydaje mi się utarte mniemanie, że głupio i niedorzecznie jest spodziewać się czegokolwiek po grze. Dlaczego gra ma być gorsza od jakiegokolwiek innego sposobu zdobywania pieniędzy, na przykład choćby od handlu? To prawda, że na stu wygrywa jeden. Ale co mnie to obchodzi?

Bądź co bądź, postanowiłem najpierw przyjrzeć się i nie zaczynać tego wieczoru gry na większą skalę. Gdyby nawet tego wieczoru coś się zdarzyło, to zdarzyłoby się nieoczekiwanie i niepostrzeżenie – tak przypuszczałem. Przy tym trzeba było również nauczyć się grać, bo pomimo tysięcy opisów ruletki, które czytałem zawsze tak chciwie, absolutnie nic nie rozumiałem w jej urządzeniu, dopóki sam nie zobaczyłem.

Po pierwsze, wszystko wydało mi się takie brudne – jakoś moralnie wstrętne i brudne. Nie mówię bynajmniej o tych chciwych i niespokojnych twarzach, które dziesiątkami, a nawet setkami otaczają stoły gry. Nie widzę nic brudnego w chęci wygrania jak najprędzej i jak najwięcej; zawsze wydawała mi się bardzo głupia myśl pewnego spasionego i bogatego moralisty, który na czyjeś usprawiedliwienie, że „grają przecież małymi stawkami”, odpowiedział: tym gorzej, bo mały zysk. Jak gdyby mały czy duży zysk – nie było wszystko jedno. To rzecz względna. Co dla Rothschilda jest drobiazgiem, to dla mnie bardzo wiele, a co do zysków i wygranej, to przecie ludzie nie tylko na ruletce, ale i wszędzie tylko to robią, że wzajemnie od siebie coś wydzierają albo wygrywają. Czy w ogóle zysk i zarobek jest wstrętne – to inne pytanie. Ale ja go tutaj nie rozstrzygam. Ponieważ sam w najwyższym stopniu byłem owładnięty żądzą wygrania, cały ten zysk, całe to zyskowe błoto, jeśli tak chcecie, było mi, przy wejściu do sali, jakieś bliższe, przystępniejsze. Najlepiej, gdy się ludzie nie ceremoniuja, lecz działają jawnie i z rozmachem. Bo i po co się oszukiwać? Najbardziej daremne i bezcelowe zajęcie! Szczególnie brzydki u tej ruletkowej hałastry był, na pierwszy rzut oka, ten szacunek dla owego zajęcia, ta powaga, a nawet cześć, z jaką wszyscy otaczali

stoły. Oto dlaczego tutaj tak jaskrawo rozróżnia się, jaka gra jest *mauvais genre*¹⁰, a w jaką wypada grać przyzwoitemu człowiekowi. Istnieją dwa rodzaje gry, jedna – dżentelmeńska, a druga – plebejska, zyskowna, gra wszelkiej hołoty. Tu jest to ściśle rozgraniczone i – jakie to rozgraniczenie w gruncie rzeczy jest podłe! Dżentelmen może na przykład postawić pięć albo dziesięć luidorów, rzadko więcej, zresztą może postawić i tysiąc franków, jeżeli jest bardzo bogaty, ale tylko dla gry, tylko dla zabawy, tylko dla tego, żeby przyjrzeć się procesowi wygrania lub przegrania; ale bynajmniej nie powinien się interesować wygraną. Wygrawszy, może na przykład głośno się roześmiać, podzielić się z kimś z otoczenia jakąś uwagą, może nawet postawić jeszcze raz i podwoić stawkę, ale tylko z ciekawości, w celu obserwacji szans, dla ich obliczenia, a nie z plebejskiej żądzy wygrania. Słowem, na wszystkie te stoły, ruletki i *trente et quarante*, powinien patrzeć nie inaczej, jak na zabawę stworzoną wyłącznie dla jego przyjemności. Zysku i podstępu, na których się bank opiera, nie powinien nawet podejrzewać. Byłoby nawet w bardzo dobrym tonie przypuszczać na przykład, że wszyscy inni gracze, cała to hołota, trzęsąca się nad guldenem – to zupełnie tacy sami bogacze i dżentelmeni jak on sam i grają wyłącznie dla rozrywki i zabawy. Ta zupełna nieznajomość rzeczywistości i naiwny pogląd na ludzi byłyby, naturalnie, niezwykle arystokratyczne. Widziałem, jak liczne mamy wypychały naprzód niewinne, śliczne piętnasto- i szesnastoletnie miss i, dając im kilka sztuk złota, uczyły je grać. Panienska wygrywała albo przegrywała, nieodzownie uśmiechała się i odchodziła bardzo zadowolona. Nasz generał solidnie i z powagą podszedł do stołu; lokaj podskoczył, żeby mu podać krzesło, ale on nie zauważył lokaja; bardzo długo wyjmował sakiewkę, bardzo długo wyjmował z sakiewki trzysta franków w złocie, postawił je na czarne i wygrał. Nie wziął wygranej i zostawił ją na stole. Wypadło znów czarne; i tym razem nie wziął, a kiedy za trzecim razem wypadło czerwone, przegrał od razu tysiąc dwieście franków. Odszedł z uśmiechem i nie stracił dobrej miny. Jestem przekonany, że ciarki mu przeszły po plecach, i gdyby stawka była dwa albo trzy razy większa – straciłby panowanie nad sobą i okazałby wzruszenie. Zresztą przy mnie pewien Francuz wygrał, a potem przegrał około trzydziestu tysięcy franków, wesoło i bez żadnego wzruszenia. Prawdziwy dżentelmen, gdyby nawet przegrał cały swój majątek, nie powinien być wzruszony. Pieniądze powinny być o tyle poniżej dżentelmeństwa, żeby prawie nie warto było się o nie troszczyć. Naturalnie, najarystokratyczniej byłoby zupełnie nie dostrzegać całego tego brudu i całej tej hałastry. Niekiedy jednak nie mniej arystokratyczne jest wręcz przeciwne postępowanie, polegające na tym, aby dostrzegać, czyli przyglądać się, a nawet bacznie obserwować, chociażby przez lornetkę, całą tę hołotę; ale nie inaczej, jak traktując całą tę hołotę i całe to błoto jako swego rodzaju rozrywkę, jak przedstawienie, urządzone dla zabawy dżentelmenów. Można i samemu przeciskać się w tym tłumie, ale spoglądając dokoła z głębokim przekonaniem, że właściwie jest się widzem i bynajmniej do tłumy się nie należy. Zresztą nazbyt uważnie przypatrywać się nie wypada: będzie to znowu nie po dżentelmeńsku, dlatego że to widowisko w żadnym wypadku nie jest godne zbyt wielkiej i zbyt skupionej uwagi dżentelmena. Zresztą w ogóle mało jest widowisk godnych zbyt dużej uwagi dżentelmena. Mnie jednak wydało się, że to wszystko bardzo nawet zasługuje na pilną uwagę, szczególnie tego, kto przyszedł nie tylko w celu obserwacji, lecz sam szczerze i z dobrą wiarą zalicza siebie do tej hołoty. Co się zaś tyczy moich najskrytszych pojęć moralnych, to one w niniejszych rozważaniach naturalnie nie odgrywają żadnej roli. Niechże już tak będzie; mówię to, żeby uspokoić sumienie. Dodam tu jednak, że ostatnio wciąż miałem jakiś wstręt do mierzenia moich postępów i myśli jakąś moralną miarką. Co innego mną kierowało...

¹⁰ w złym guście.

Hołota istotnie gra bardzo nieuczciwie. Nawet nie jestem daleki od myśli, że tu, przy stole, dzieje się sporo najzwyczajniejszych kradzieży. Krupierzy, siedzący przy końcach stołu, mają bardzo dużo roboty. Ach, cóż to za hołota! Przeważnie Francuzi. Zresztą, ja tu obserwuję i robię spostrzeżenia bynajmniej nie po to, żeby opisywać ruletkę; staram się przystosować dlatego tylko, żeby wiedzieć, jak mam postępować na przyszłość. Zauważyłem na przykład, że jest rzeczą najbardziej powszechną, że ktoś spoza stołu wyciąga nagle rękę i zabiera to, co ktoś inny wygrał. Zaczyna się spór, nierzadko krzyk, o – bardzo proszę udowodnić, postawić świadków, do kogo stawka należy!

Z początku wszystko to było dla mnie rzeczą niepojętą; domyślałem się tylko i jakoś rozróżniałem, że stawki były na numery, na parzyste i nieparzyste, i na kolory. Z pieniędzy Poliny Aleksandrowny zdecydowałem się zaryzykować tego wieczoru sto guldenów. Myśl, że przystępuję do gry dla kogoś innego, jakoś odbierała mi pewność siebie. Wrażenie to było bardzo nieprzyjemne i chciałem się jak najprędzej go pozbyć. Wciąż mi się zdawało, że grając dla Poliny, podkopuję własne szczęście. Czyżby naprawdę nie można było dotknąć się stołu gry, żeby zaraz nie zarazić się przesądami? Zacząłem od tego, że wyjąłem pięć friedrichsdorów, czyli pięćdziesiąt guldenów, i postawiłem je na parzyste. Koło zakręciło się i wypadło trzynaście – przegrałem. Z jakimś chorobliwym uczuciem, jedynie po to, żeby w jakiś sposób wywiązać się z polecenia i odejść, postawiłem jeszcze pięć friedrichsdorów na czerwone. Wypadło czerwone. Postawiłem całe dziesięć friedrichsdorów – znów wypadło czerwone. Postawiłem znowu wszystko od razu, znowu wypadło czerwone. Otrzymawszy czterdzieści friedrichsdorów, postawiłem dwadzieścia na dwanaście środkowych cyfr, nie wiedząc, co z tego wyniknie. Zapłacono mi potrójnie. W ten sposób z dziesięciu friedrichsdorów miałem nagle osiemdziesiąt. Było mi tak nieznośnie skutkiem jakiegoś niezwykłego i dziwnego uczucia, że postanowiłem odejść. Wydawało mi się, że grałbym zupełnie inaczej, gdybym grał dla siebie. Jednak postawiłem całe osiemdziesiąt friedrichsdorów jeszcze raz na parzyste. Tym razem wypadło cztery, wyliczono mi jeszcze osiemdziesiąt friedrichsdorów – i zabrawszy cały stos, sto sześćdziesiąt friedrichsdorów, udałem się na poszukiwanie Poliny Aleksandrowny.

Towarzystwo spacerowało gdzieś w parku i zdążyłem się z nią zobaczyć dopiero przy kolacji. Tym razem Francuza nie było; generał uznał za stosowne, między innymi, jeszcze raz zwrócić mi uwagę, że bardzo by sobie nie życzył widzieć mnie przy stole gry.

Według jego mniemania, bardzo by go skompromitowało, gdybym kiedy za dużo przegrał; „ale gdyby nawet pan wygrał bardzo dużo, to i wtedy będę skompromitowany – dodał znacząco. – Naturalnie, nie mam prawa kierować pańskim postępowaniem, ale sam pan przyzna...” Tu, swoim zwyczajem, nie dokończył. Odpowiedziałem mu oschle, że mam bardzo mało pieniędzy i że, skutkiem tego, nie mogę zbyt wiele przegrać, gdybym nawet zaczął grać. Przyszedłszy do siebie na górę zdążyłem oddać Polinie jej wygraną i oświadczyłem jej, że na drugi raz już nie będę grał dla niej.

– Dlaczego? – zapytała zaniepokojona.

– Dlatego, że chcę grać sam dla siebie – odpowiedziałem, przypatrując się jej ze zdziwieniem – a to przeszkadza.

– Więc pan nadal jest przekonany, że ruletka jest jedynym dla pana wyjściem i ratunkiem? – zapytała ironicznie. Odpowiedziałem bardzo poważnie, że tak; co się zaś tyczy mojego przekonania, że na pewno wygram, niech to będzie śmieszne, zgadzam się, „ale niech mi pani da spokój”.

Polina Aleksandrowna nalegała, żebym koniecznie podzielił się z nią dzisiejszą wygraną, i oddawała mi osiemdziesiąt friedrichsdorów, proponując dalszą grę na tych warunkach.

Odmówiłem przyjęcia połowy stanowczo i ostatecznie i oświadczyłem, że nie mogę grać dla kogoś, nie dlatego, że nie chcę, lecz dlatego, że na pewno przegram.

– A jednak, chociaż to takie głupie, ale i ja liczę prawie wyłącznie na ruletkę – powiedziała zamyślając się. – I dlatego pan powinien koniecznie grać dalej ze mną na spółkę, o, naturalnie będzie pan grał. – Mówiąc to wyszła, nie słuchając moich dalszych protestów.

3

A jednak wczoraj przez cały dzień nie mówiła ze mną o grze ani słowa. I w ogóle unikała wczoraj rozmowy ze mną. Dawny jej sposób traktowania mnie nie uległ zmianie. To samo zupełne lekceważenie, gdy się do mnie zwraca, przy spotkaniach, a nawet pewna pogardliwa nienawiść. W ogóle nie chce ukrywać swojego wstrętu do mnie; widzę to. Mimo to nie ukrywa przede mną również i tego, że jestem jej do czegoś potrzebny i że oszczędza mnie z jakiegoś powodu. Zapanowały między nami jakieś dziwne stosunki, niezrozumiałe dla mnie pod wieloma względami – jeżeli wziąć pod uwagę jej dumę i pyszałkowatość wobec wszystkich. Wie na przykład, że kocham ją do szaleństwa, pozwala mi nawet mówić o swoim uczuciu – i naturalnie niczym bardziej nie wyraziłaby swojej pogardy niż zezwalając mi, bym bez przeszkód i bez wszelkiej cenzury mówił jej o mojej miłości. „Tak mnie niby nic nie obchodzi twoje uczucia, że jest mi zupełnie wszystko jedno, o czym ze mną mówisz i co do mnie czujesz”. O swoich osobistych sprawach już dawniej rozmawiała ze mną wiele, ale nigdy nie była zupełnie szczerą. Nie dość na tym, w jej wzgardzie były na przykład takie subtelności: wie, dajmy na to, że znam jakiś fakt z jej życia albo coś, co ją bardzo niepokoi; sama mi nawet opowiada coś ze swoich przeżyć, jeżeli ma mnie w jakiś sposób użyć do swoich celów, jako niewolnika albo na posyłki; ale opowie zawsze tylko tyle, ile powinien wiedzieć człowiek na posyłki, i jeżeli nie znam jeszcze całego splotu zdarzeń, jeżeli spostrzegę, że męczę się i trwożę jej własną męką i trwogą, nigdy nie raczy mnie uspokoić w sposób całkiem przyjacielski i szczerzy, chociaż, posługując się mną nieraz w sprawach nie tylko kłopotliwych, ale i niebezpiecznych, moim zdaniem powinna być wobec mnie szczerą. Bo czyż warto troszczyć się o moje uczucia, o to, że ja również lękam się i może nawet trzy razy bardziej troskam się i męczę jej troskami i niepowodzeniami niż ona sama?

Już przed trzema tygodniami wiedziałem o jej zamiarze gry w ruletkę. Nawet mnie uprzedziła, że będę musiał grać zamiast niej, ponieważ jej grać nie wypada. Z tonu jej słów już wówczas dostrzegłem, że nie kieruje nią po prostu chęć wygrania pieniędzy, lecz jakaś poważna troska. Czymże są dla niej pieniądze! W tym jest jakiś cel, w tym są jakieś przyczyny, które mogę zgadywać, ale których nie znam dotychczas. Naturalnie, to poniżenie i niewola, w jakich mnie trzyma, mogłyby mi dać (i często dają) sposobność, by ją ordynarnie i wprost o wszystko wypytać. Ponieważ jestem dla niej niewolnikiem, i to aż nazbyt nędznym w jej oczach, nie powinna by obrażać się z powodu mojej gruboskórnej ciekawości. Ale w tym rzecz, że pozwalając mi zadawać pytania, wcale nie odpowiada na nie. Niekiedy zupełnie ich nie spostrzega. Tak się to między nami układa!

Wczoraj wiele się mówiło o depešy, wysłanej przed czterema dniami do Petersburga, na którą jeszcze nie było odpowiedzi. Generał niepokoi się i jest zamyślony. Chodzi naturalnie o babkę. Niepokoi się i Francuz. Wczoraj na przykład po obiedzie rozmawiali długo i poważnie. Ton Francuza względem nas jest niezwykle wyniosły i lekceważący. Zupełnie jak w tym przysłowiu: daj kurze grzędę, ona – wyżej siędę. Nawet wobec Poliny zachowuje się lekceważąco, niemal ordynarnie; zresztą, z przyjemnością bierze udział we wszystkich przechadzkach w pobliżu kasyna lub w kawalkadach za miasto. Od dawna wiem o pewnych okolicznościach, które sprawiły, że Francuz związał się z generałem: w Rosji mieli zamiar wspólnie założyć fabrykę; nie wiem, czy ich projekt upadł, czy jeszcze jest na czasie. Oprócz tego przypadkowo dowiedziałem się części rodzinnego sekretu: Francuz istotnie w zeszłym

roku przyszedł generałowi z pomocą, dając mu trzydzieści tysięcy dla uzupełnienia niedoboru w pieniądzech skarbowych, przy zdawaniu urzędu. I rozumie się, że trzyma generała w rękę; lecz teraz, właśnie teraz główną rolę odgrywa jednak mlle Blanche, jestem pewien, że i co do tego się nie mylę.

Kim jest mlle Blanche? Tutaj u nas mówią, że to Francuzka znakomitego rodu, która podróżuje z matką i posiada kolosalny majątek. Wiadomo również, że jest jakąś krewniaczką naszego markiza, ale bardzo daleką, jakąś kuzynką czy też córką kuzynki. Mówią, że przed moim wyjazdem do Paryża Francuz i mlle Blanche odnosili się do siebie o wiele ceremonialniej i delikatniej; teraz ich znajomość, przyjaźń i pokrewieństwo sprawiają wrażenie zwykleszych, bliższych. Może stan naszych interesów wydaje im się tak zły, że nie uważają już za potrzebne zbyt się z nami ceremonizować i ukrywać tego przed nami. Jeszcze trzy dni temu zauważyłem, jak mister Astley przyglądał się mlle Blanche i jej mamie. Wydało mi się, że je zna. Wydawało mi się nawet, że i nasz Francuz musiał się wcześniej spotkać z mister Astleyem. Zresztą mister Astley jest nieśmiały, wstydlivy i małowówny, co do niego, można być prawie pewnym, że się nie wygada. Bądź co bądź, Francuz ledwo mu się kłania i prawie na niego nie patrzy; a więc – nie boi się go. To jeszcze zrozumiałe; ale dlaczego mlle Blanche również prawie nie patrzy na niego? Tym bardziej że markiz wczoraj się wygadał: powiedział nagle podczas ogólnej rozmowy, nie wiem z jakiego powodu, że mister Astley jest kolosalnie bogaty i że on wie o tym; tu mlle Blanche powinna była spojrzeć na mister Astleya! W ogóle generał jest zaniepokojony. Zrozumiałe, co teraz może dla niego znaczyć telegram o śmierci ciotki!

Chociaż wydało mi się pewnym, że Polina jakby celowo unika rozmowy ze mną, sam również udawałem chłód i obojętność: myślałem ciągle, że lada chwila może podejdzie do mnie. Za to wczoraj i dzisiaj skupiłem całą uwagę wyłącznie na mlle Blanche. Biedny generał, przepadł z kretesem! Zakochać się w pięćdziesiątym piątym roku życia, i to namiętnie – to, rzecz prosta, nieszczęście. Trzeba tu jeszcze wziąć pod uwagę jego wdowieństwo, jego dzieci, całkiem zrujnowany majątek, długi i wreszcie kobietę, w której się zakochał. Mlle Blanche jest ładna. Ale nie wiem, czy będę zrozumiany, jeżeli powiem, że ma jedną z tych twarzy, których się można przestraszyć. Przynajmniej ja zawsze się bałem takich kobiet. Ma lat na pewno ze dwadzieścia pięć. Jest wysoka, o szerokich, spadzistych ramionach; szyję i biust ma prześliczne; kolor skóry smagłóżółty, włosy czarne jak sadza, bardzo bujne, starczyłoby na dwie koafiury. Oczy czarne, białka oczu żółtawe, spojrzenie wyzywające, zęby bielutkie, wargi zawsze ukarminowane; pachnie piżmem. Ubiera się efektownie, bogato, z szykiem, lecz z wielkim gustem. Nogi i ręce zachwycające. Głos – chrapliwy kontralt. Czasem się roześmieje i przy tym pokazuje wszystkie zęby, lecz zazwyczaj spogląda w milczeniu i wyzywająco – przynajmniej przy Polinie i Marii Filipownie. (Dziwna pogłoska: Maria Filipowna wyjeżdża do Rosji.) Zdaje mi się, że mlle Blanche nie posiada żadnego wykształcenia, może nawet jest niezbyt mądra, ale za to podejrzliwa i chytra. Zdaje mi się, że jej życie było jednak nie bez przygód. Jeżeli już mówić wszystko, to możliwe, że markiz nie jest wcale jej krewnym, a matka bynajmniej nie jest matką. Ale są dane, że w Berlinie, gdzieśmy się z nimi spotkali, ona i jej matka miały kilka przyzwoitych znajomości. Co się zaś tyczy markiza, to chociaż wciąż powątpiewam, czy jest markizem, ale jego przynależność do przyzwoitego towarzystwa, jak na przykład u nas w Moskwie i gdzieś w Niemczech, nie ulega, zdaje się, wątpliwości. Nie wiem, kim jest we Francji. Powiadają, że ma *château*.

Sądziłem, że przez te dwa tygodnie wiele wody upłynie, a jednak wciąż jeszcze nie wiem na pewno, czy mlle Blanche i generał powiedzieli sobie coś decydującego. W ogóle wszystko teraz zależy od naszego majątku, od tego, czy generał może im pokazać dużo pieniędzy.

Gdyby na przykład nadeszła wiadomość, że babka nie umarła, jestem przekonany, że mlle Blanche natychmiast by znikła. Doprawdy, aż mnie to dziwi i śmieszy, jakim się stałem plotkarzem. O, jak mi to wszystko obrzydło! Z jaką rozkoszą rzuciłbym wszystkich i wszystko! Ale czyż mogę opuścić Polinę, czyż mogę nie szpiegować wokół niej? Szpiegowanie, naturalnie, to rzecz nikczemna, ale – co mnie to obchodzi!

Zaciekawił mnie również wczoraj i dzisiaj mister Astley. Tak, jestem przekonany, że się kocha w Polinie! Ciekawe i zabawne, ile niekiedy może wyrazić spojrzenie człowieka wstydliwego i chorobliwie powściągliwego, który się zakocha, i to właśnie wówczas, gdy ów człowiek wolałby się raczej zapaść w ziemię niż cokolwiek wyrazić słowem lub spojrzeniem. Mister Astley bardzo często spotyka się z nami na spacerach. Zdejmuje kapelusz i mija nas, rozumie się, umierając z chęci przyłączenia się do naszego towarzystwa. Jeżeli zaś bywa zaproszony, natychmiast się wymawia. W miejscach odpoczynku, w kasynie, przy muzyce lub przed fontanną, zatrzymuje się zawsze gdzieś w pobliżu naszej ławki, i gdziekolwiek jesteśmy, w parku, w lesie czy na Schlangenbergu – wystarczy tylko rzucić okiem, rozejrzeć się dokoła, a z pewnością gdzieś na pobliskiej ścieżce albo zza krzaka ukaże się sylwetka mister Astleya. Zdaje mi się, że szuka sposobności, żeby pomówić ze mną w cztery oczy. Dziś rano spotkaliśmy się i zamieniliśmy kilka słów. Czasami rozmawia ze mną jakoś dziwnie urywanie. Nie powiedziawszy „dzień dobry”, zaczął:

– O, mademoiselle Blanche!... Wiele widziałem takich kobiet, jak mademoiselle Blanche!

Zamilkł, patrząc na mnie znacząco. Co chciał przez to powiedzieć, nie wiem, bo na moje pytanie: co to ma znaczyć? – z chytrym uśmiechem kiwnął głową i dodał: „Tak to już jest. Czy mademoiselle Pauline bardzo lubi kwiaty?”

– Nie wiem, zupełnie nie wiem – odpowiedziałem.

– Co? Nie wie pan tego! – zawołał z najwyższym zdumieniem.

– Nie wiem, zupełnie nie zwróciłem na to uwagi – powtórzyłem, śmiejąc się.

– Hm, to mi nasuwa pewną szczególną myśl. – Tu skinął głową i poszedł dalej. Miał zresztą wygląd człowieka dość zadowolonego. Rozmawiamy ze sobą okropną francuszczyzną.

4

Dzisiejszy dzień był śmieszny, nedorzeczny, głupi. Teraz jest jedenasta w nocy. Siedzę w swoim pokoju i wspominam. Zaczęło się od tego, że z rana musiałem jednak iść na ruletkę, żeby grać dla Poliny Aleksandrowny. Zabrałem całe jej sto sześćdziesiąt friedrichsdorów, ale pod dwoma warunkami: po pierwsze, że nie chcę grać na spółkę, czyli że jeżeli wygram, nic nie wezmę dla siebie, a po drugie, że wieczorem Polina wyjaśni mi, dlaczego właściwie jest jej tak potrzebna wygrana i ile mianowicie chce wygrać. Nie mogę jednak w żaden sposób przypuścić, żeby to było po prostu dla pieniędzy. Widocznie pieniądze są jej niezbędne, i to w możliwie najkrótszym czasie, w jakimś specjalnym celu. Obiecała mi to wyjaśnić i poszedłem. W salach gry był straszny tłok. Jacy oni wszyscy natrętni i chciwi! Przecisnąłem się do środka i stanąłem tuż obok krupiera; później zacząłem nieśmiało próbować szczęścia, stawiając po dwie i po trzy sztuki złota. Równocześnie obserwowałem grę i robiłem spostrzeżenia; wydało mi się, że właściwie obliczenia znaczą niewiele i bynajmniej nie odgrywają tej roli, jaką im wielu graczy przypisuje. Ci siedzą z zapisanymi kartkami, notują numery, obliczają szanse, rachują, w końcu stawiają i – przegrywają, zupełnie tak samo jak my, zwykli śmiertelnicy, grając bez obliczeń. Ale za to doszedłem do pewnego wniosku, który, zdaje się, jest słuszny: istotnie w kolejności przypadkowych szans zdarza się, wprawdzie nie system, lecz coś jakby porządek – co, naturalnie, jest bardzo dziwne. Na przykład zdarza się, że po dwunastu środkowych cyfrach następuje dwanaście końcowych; dwa razy, przypuśćmy, gałka pada na te dwanaście początkowych. Po dwunastu początkowych przechodzi znowu na dwanaście środkowych, pada trzy lub cztery razy z kolei na środkowe, a potem znowu na dwanaście końcowych, po czym znów po dwóch razach pada na początkowe, na początkowe znów pada raz, i znów na trzy trafienia przechodzi do środkowych – trwa to w ten sposób przez półtorej lub dwie godziny. Jeden, trzy i dwa; jeden, trzy i dwa. To bardzo zabawne. Pewnego dnia albo pewnego poranku passa układa się na przykład tak, że czerwone następuje po czarnym i przeciwnie, prawie bez żadnego porządku, bez ustanku, tak że ani czarne, ani czerwone nie wypadają pod rząd więcej niż dwa – trzy razy. A następnego dnia albo następnego wieczoru wypadają po kolei same tylko czerwone, dochodzi na przykład do dwudziestu dwóch pod rząd i tak to trwa bez zmiany przez jakiś czas, na przykład przez cały dzień. Wiele mi wyjaśnił mister Astley, który całe rano przestał przy stołach gry, ale sam nie postawił ani razu. Co się zaś mnie tyczy, to zgrałem się do grosza, i to w bardzo krótkim czasie. Po prostu od razu postawiłem na parzyste dwadzieścia friedrichsdorów i wygrałem, postawiłem pięć i znów wygrałem, i w ten sposób jeszcze dwa lub trzy razy. Myślę, że zebrało mi się około czterystu friedrichsdorów w ciągu jakichś pięciu minut. Powinienem był wówczas odejść od stołu, ale zrodziło się we mnie jakieś dziwne uczucie, pragnąłem wyzwać los, chciałem dać mu szcztka w nos, pokazać mu język. Postawiłem najwyższą dozwoloną stawkę, czterysta tysięcy guldenów, i przegrałem. Później, zgorączkowany, wyciągnąłem wszystko, co mi się zostało, postawiłem na to samo i przegrałem znowu, po czym odszedłem od stołu jak ogluszony. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, co się ze mną działo, i powiedziałem Polinie Aleksandrownie o swojej przegranej dopiero przed obiadem. Przedtem włączyłem się wciąż po parku.

Przy obiedzie byłem znów podniecony, tak samo jak trzy dni temu. Francuz i mlle Blanche jedli obiad z nami. Okazało się, że mlle Blanche była rano w salach gry i

obserwowała moje sukcesy. Tym razem mówiła ze mną jakoś z większym zainteresowaniem. Francuz postąpił szczerzej i wprost zapytał, czy naprawdę przegrałem swoje własne pieniądze. Zdaje mi się, że on podejrzewa Polinę. Słowem, coś w tym jest. Natychmiast skłamałem i powiedziałem, że swoje.

Generał był niezwykle zdziwiony: skąd wziąłem takie pieniądze? Wyjaśniłem, że zacząłem od dziesięciu friedrichsdorów, że sześć czy siedem kolejnych, podwojonych stawek dało mi pięć czy też sześć tysięcy guldenów i że później wszystko przegrałem w dwóch rzutach.

Wszystko to, naturalnie, było prawdopodobne. Wyjaśniając to spojrzałem na Polinę, ale nic nie mogłem wyczytać z jej twarzy. Pozwoliła mi jednak skłamać i kłamstwa nie sprostowała; z tego wywnioskowałem, że powinienem był kłamać i ukryć, że grałem dla niej. W każdym razie, myślałem sobie, jest mi winna wyjaśnienie i niedawno obiecała mi, że coś niecoś powie.

Sądziłem, że generał zrobi mi jakąś uwagę, lecz zmilczał; dostrzegłem za to na jego twarzy podniecenie i niepokój. Może wobec ograniczonych środków, którymi dysponował, po prostu przykro mu było słyszeć, że tak poważna suma dostała się i w ciągu kwadransa wypadła z rąk tak lekkomyślnego głupca jak ja.

Podejrzewam, że wczoraj wieczorem miał jakąś ostrą sprzeczkę z Francuzem. Mówili o czymś długo i zapalczywie, zamknąwszy się na osobności. Francuz wyszedł, jakby czymś rozdrażniony, a dziś rano znów był u generała – prawdopodobnie aby dalej prowadzić wczorajszą rozmowę.

Wysłuchawszy o mojej przegranej, Francuz jadownicie, a nawet ze złością zauważył, że powinienem być bardziej rozsądny. Nie wiem, dlaczego dodał, że chociaż wielu Rosjan grywa, ale, jego zdaniem, Rosjanie nawet do gry nie są zdolni.

– A moim zdaniem, ruletka jest właśnie jakby stworzona dla Rosjan – powiedziałem. I gdy Francuz na moje słowa uśmiechnął się pogardliwie, zwróciłem mu uwagę, że słuszność jest z pewnością po mojej stronie, dlatego że mówiąc o Rosjanach jako o graczach, bardziej ich potępiam niż chwale, a więc widocznie można mi wierzyć.

– Na czym więc opiera pan swoje mniemanie? – zapytał Francuz.

– Na tym, że do katechizmu cnót i zasług cywilizowanego człowieka Zachodu weszła historycznie i omalże jako punkt najważniejszy zdolność gromadzenia kapitałów. A Rosjanin nie tylko nie jest zdolny do gromadzenia kapitałów, lecz nawet pozbywa się ich jakoś jawnie i nieprzyzwoicie. Niemniej Rosjanom pieniądze są równie potrzebne – dodałem – a co za tym idzie, jesteśmy bardzo radzi takim okazjom, jak na przykład ruletka, gdzie można wzbogacić się nagle, w ciągu dwóch godzin, bez pracy. To nam bardzo dogadza; a ponieważ gramy ot tak, bez wysiłku, więc przegrywamy!

– To po części słuszne – zauważył z zadowoleniem Francuz.

– Nie, to nie jest słuszne, i niech się pan wstydy w ten sposób odzywać o swojej ojczyźnie – surowo i z naciskiem zauważył generał.

– Ależ panie generale – odpowiedziałem – przecież doprawdy nie wiadomo jeszcze, co brzydsze: czy rosyjska lekkomyślność, czy niemiecki sposób zdobywania pieniędzy uczciwą pracą.

– Co za niedorzeczna myśl! – zawołał generał.

– Jaka to rosyjska myśl! – zawołał Francuz.

Śmiałem się, okropnie chciałem ich rozzłościć.

– A ja wolę całe życie przekoczować w kirgiskim namiocie – zawołałem – niż kłaniać się niemieckiemu bałwanowi.

– Jakiemu bałwanowi? – zawołał generał, wpadając już naprawdę w gniew.

– Niemieckiemu sposobowi zdobywania majątku. Jestem tu niedługo, jednak to, co tu zdążyłem zauważyć i zbadać, wprawia w stan wrzenia moją tatarską krew. Słowo daję, nie chcę takich cnót! Zdążyłem tutaj wczoraj obejść okolicę na dziesięć wiorst dokoła. No, kubek w kubek to samo, co w niemieckich pouczających książeczkach z obrazkami: w każdym domu jest tu wszędzie własny f a t e r , okropnie cnotliwy i niesłychanie uczciwy, tak uczciwy, aż strach podejść do niego. Nie mogę znieść ludzi uczciwych, do których strach podejść. Każdy taki f a t e r ma rodzinę i wieczorami wszyscy czytają na głos pouczające książki. Nad domkiem szumią wiązy i kasztany. Zachód słońca, bocian na dachu i wszystko niezwykle poetyczne i wzruszające...

Niechże się pan generał nie gniewa i pozwoli mi opowiedzieć jak najbardziej wzruszająco. Sam pamiętam, jak mój nieboszczyk ojciec tak samo czytał na głos wieczorem pod lipami w ogródku podobne książki... Sam mogę więc o tym sądzić, jak należy. A więc każda taka tutejsza rodzina jest w całkowitej niewoli i zależności od f a t e r a . Wszyscy pracują jak woły i wszyscy duszą pieniądze jak Żydzi. Dajmy na to, że f a t e r uciułał już tyle a tyle guldenów i liczy na starszego syna, chcąc mu przekazać rzemiosło albo ziemię; z tego powodu córka nie otrzymuje posagu i zostaje starą panną. Z tego samego powodu młodszego syna sprzedają prawie w niewolę albo do wojska, a pieniądze dodają do domowego kapitału. Naprawdę, tak się tutaj robi; rozpytywałem. Wszystko to się dzieje nie inaczej tylko przez uczciwość, i to taką, że nawet młodszy syn, sprzedany, wierzy, że sprzedano go tylko z uczciwości, a to przecie ideał, kiedy sama ofiara się cieszy, że ją prowadzą na zarżnięcie. Cóż dalej? Ano i starszemu synowi również nie jest lżej: ma on tam swoją Amalchen, którą kocha, ale ożenić się nie może, bo jeszcze nie uciułane tyle a tyle guldenów. Więc też czekają, poczciwie i szczerze, i z uśmiechem idą na zarżnięcie. Amalchen zapadają się policzki, schnie. Wreszcie, po dwudziestu latach majątek się powiększył; guldeny uczciwie i cnotliwie zostały uciułane. F a t e r błogosławi czterdziestoletniego starszego syna i trzydziestopięcioletnią Amalchen z wyschniętą pierśią i czerwonym nosem... Przy tym płacze, prawi morały i umiera. Ze starszego syna robi się cnotliwy f a t e r i zaczyna się znów ta sama historia. A po latach pięćdziesięciu albo siedemdziesięciu wnuk pierwszego f a t e r a naprawdę zbija poważny kapitał i oddaje go swojemu synowi, ten swojemu, i po pięciu albo sześciu pokoleniach zjawia się sam baron Rothschild albo Hoppe et Comp.¹¹ czy tam diabli wiedzą kto. No, czyż to nie wspaniałe widowisko: stuletnia albo dwóchsetletnia praca dziedziczna, cierpliwość, rozum, uczciwość, charakter, siła woli, wyrachowanie, bocian na dachu! Któż by pragnął czegoś więcej, przecież już nie ma nic wyższego ponad to i z tego punktu widzenia oni zaczynają sądzić cały świat, i winnych, czyli choćby odrobinę do nich niepodobnych, chcą natychmiast karać śmiercią. A więc o co mi chodzi: wołę ja już hulać sobie po rosyjsku albo bogacić się na ruletce. Nie chcę być Hoppe et Comp. po pięciu pokoleniach. Pieniądze są mi potrzebne dla mnie i nie uważam siebie za konieczny dodatek do kapitału. Wiem, że strasznie dużo głupstw nagadałem, ale niech już tak będzie. Takie jest moje zdanie.

– Nie wiem, czy wiele jest prawdy w tym, co pan mówił – zauważył generał w zamyśleniu – ale wiem z pewnością, że pan zaczyna nieznośnie szarżować, jeżeli panu pozwolić trochę się zapomnieć...

Swoim zwyczajem, nie skończył. Jeżeli nasz generał zaczynał mówić o czymś, co było choć trochę istotniejsze niż zdanie wypowiedziane w zwykłej, codziennej rozmowie, zazwyczaj nie kończył. Francuz słuchał z lekceważeniem, trochę wybałuszając oczy. Nic prawie z tego nie rozumiał, co mówiłem. Polina spoglądała z jakąś dumną obojętnością. Zdawało się, że nie tylko nie słyszała moich słów, ale w ogóle nic tym razem nie słyszała z całej rozmowy.

¹¹ Znany w tamtych czasach bank w Londynie i Amsterdamie.

5

Była niezwykle zamyślona, ale gdy tylko wstaliśmy od stołu, kazała mi towarzyszyć sobie na spacer. Zabraliśmy dzieci i poszliśmy do parku w stronę fontanny. Ponieważ byłem w stanie szczególnego podniecenia, więc palnąłem głupio i niegrzecznie: „Dlaczego nasz Francuzik, markiz des Grieux, nie tylko nie towarzyszy jej teraz, kiedy ona dokądś wychodzi, ale nawet nie odzywa się do niej całymi dniami?”

– Dlatego, że jest łotr – odpowiedziała mi dziwnie. Nigdy jeszcze nie słyszałem z jej ust takiego odezwania się o des Grieux i zmilczałem, bojąc się zrozumieć, co oznacza to jej rozdrażnienie.

– A czy pani zauważyła, że on dziś jakoś na bakier z generałem ?

– Pan chciałby wiedzieć, o co chodzi – odpowiedziała oschle tonem rozdrażnionym. – Pan wie, że generał siedzi u niego w kieszeni, że cały majątek należy do niego i jeżeli babka nie umrze, to Francuz niezwłocznie wejdzie w posiadanie wszystkiego, co mu dano w zastaw.

– A zatem to prawda, że wszystko zastawione? Słyszałem o tym, ale nie wiedziałem, że wszystko.

– Jakżeby inaczej?

– A w dodatku: zegnaj, mademoiselle Blanche! – zauważyłem.

– Nie będzie wówczas generałową! Wie pani co: zdaje mi się, że generał tak się zakochał, że chyba się zastrzeli, jeżeli mlle Blanche go rzuci. W jego wieku niebezpiecznie tak się zakochać.

– Mnie również się wydaje, że z nim się coś stanie – zauważyła Polina Aleksandrowna w zamyśleniu.

– I jakie to wspaniałe – zawołałem – ordynarniej nie można było dać poznać, że godziła się wyjść za mąż tylko dla pieniędzy. Tu nawet nie zwracano uwagi na przyzwoitość, obchodzono się zupełnie bez ceremonii. Cudowne! A co do babki, cóż może być komiczniejszego i obrzydliwszego niż posyłanie depešy za depešą z pytaniem: czy już umarła? Co? Jak się to pani podoba Polino Aleksandrowna?

– To wszystko głupstwo – powiedziała ze wstrętem, przerywając mi. – Przeciwnie, dziwię się, że pan jest w tak rozkosznym usposobieniu. Z czego się pan tak cieszy? Czyżby dlatego, że pan przegrał moje pieniądze?

– Po co mi je pani dawała na przegranie? Powiedziałem pani, że nie mogę grać dla nikogo, a tym bardziej dla pani! Będę posłuszny, zrobię, cokolwiek by mi pani kazała, ale rezultat nie ode mnie zależy. Przecież uprzedzałem, że nic z tego nie będzie. Proszę pani, czy pani jest bardzo przygnębiona stratą tak dużej sumy pieniędzy? Na co pani tyle?

– Po co te pytania?

– Ale pani sama mi przyrzekła wyjaśnić... Wie pani, jestem przekonany, że kiedy zacznę grać dla siebie (a mam dwanaście friedrichsdorów), to wygram. Wówczas niech pani bierze ode mnie, ile pani chce.

Zrobiła pogardliwą minę.

– Niech pani się na mnie nie gniewa – ciągnąłem dalej – za tę propozycję. Do tego stopnia uświadamiam sobie, że jestem wobec pani, a raczej w pani oczach zerem, że może pani nawet przyjąć ode mnie pieniądze. Prezent ode mnie nie powinien pani obrażać. W dodatku przegrałem przecież pani pieniądze.

Popatrzyła na mnie bystro i zauważywszy, że mówię z rozdrażnieniem i sarkastycznie, znów przecięła rozmowę.

– Nie ma dla pana nic ciekawego w moich sprawach. Jeśli pan chce wiedzieć, jestem po prostu dłużna. Pożyczyłam pieniądze i chciałabym je oddać. Opanowała mnie wariacka i dziwaczna myśl, że na pewno wygram, tutaj, przy stole gry. Skąd mi się ta myśl wzięła – nie mam pojęcia, ale wierzyłam w nią. Kto wie, może dlatego wierzyłam, że nie miałam żadnej innej szansy do wyboru.

– Albo dlatego, że koniecznie musiała pani wygrać. To zupełnie to samo jak tonący, który się chwyta słomki. Sama pani przyzna, że gdyby nie tonął nie uważałby słomki za drewniany sęk.

Polina zdziwiła się.

– Jak to – zapytała – przecież i pan liczy na to samo? Dwa tygodnie temu sam mi pan mówił pewnego razu, że jest pan zupełnie pewny wygranej, tu, na ruletce, i przekonywał mnie pan, że bym nie uważała pana za wariata; czy pan wtedy żartował? Ale pamiętam, że pan to mówił wtenczas tak poważnie, że w żaden sposób nie można było tego uważać za żart.

– To prawda – odpowiedziałem w zamyśleniu – jestem zupełnie pewien, że wygram. Przyznam się nawet, że mi pani teraz nasunęła pytanie: dlaczego właściwie moja dzisiejsza bezsensowna i lekkomyślna przegrana nie pozostawiła we mnie jakiejś wątpliwości? Jestem jednak zupełnie przekonany, że jeśli tylko zacznę grać dla siebie, wygram z pewnością.

– Dlaczego jest pan tak tego pewien?

– Doprawdy – nie wiem. Wiem tylko, że muszę wygrać, że to jest jedyne wyjście dla mnie. Może więc dlatego wydaje mi się, że z pewnością wygram.

– Widocznie i pan koniecznie musi wygrać, skoro pan tak fanatycznie w to wierzy?

– Idę o zakład, że pani wątpi, czy jestem w stanie naprawdę odczuwać tę konieczność.

– Wszystko mi jedno – cicho i obojętnie odpowiedziała Polina. – Jeśli pan chce wiedzieć – t a k, wątpię, żeby pana dręczyło coś poważnego. Pan może się męczyć, ale nie na serio. Pan jest roztrzepany i lekkomyślny. Na co panu pieniądze? Wśród wszystkich racji, które mi pan wówczas przytoczył, nie znalazłam nic poważnego.

– O, właśnie – przerwałam – mówiła pani o zwrocie długu. Ładny widocznie dług! Czy to aby nie Francuzowi?

– Cóż to za pytania? Pan dziś jest szczególnie niemiły. Czy pan pijany?

– Pani wie, że pozwalam sobie mówić wszystko i zadaję pytania bardzo szczerze. Powtarzam, jestem pani niewolnikiem, a niewolnika nie trzeba się wstydzić i niewolnik nie może obrazić.

– Wszystko to głupstwa! Nie znoszę tej pańskiej „niewolniczej teorii”.

– Niech pani zwróci uwagę, że nie dlatego mówię o moim niewolnictwie, że bym pragnął być pani niewolnikiem, lecz po prostu – mówię jako o fakcie zupełnie niezależnym ode mnie.

– Niech pan powie wprost: na co panu pieniądze?

– A dlaczego pani chce wiedzieć?

– Jak pan sobie życzy – odpowiedziała i dumnie odwróciła głowę.

– Nie znosi pani niewolniczej teorii, a wymaga pani niewolnictwa: „Odpowiadać i nie rezonować!” Dobrze, niech tak będzie. Na co mi pieniądze, pyta pani? Jak to na co? Pieniądze – to wszystko!

– Rozumiem, ale pragnąc ich nie trzeba dochodzić do takiego wariactwa! Pan przecież również dochodzi do manii, do fatalizmu; w tym coś jest, jakiś specjalny cel. Niech pan mówi bez wykrętów, ja tak chcę.

Zaczynała się jakby gniewać i ogromnie mi się podobało, że z takim przejęciem mnie badała.

– Naturalnie, że jest cel – powiedziałem – ale nie potrafię określić, jaki. Tyle tylko, że posiadając pieniądze, stanę się i dla pani innym człowiekiem, nie niewolnikiem.

– Co? Jak pan to osiągnie?

– Jak to osiągnę? Więc pani nawet nie może sobie wyobrazić, jak ja mogę osiągnąć to, żeby pani spojrzała na mnie nie jak na niewolnika! Tego właśnie nie chcę, takiego zdziwienia i zdumienia!

– Pan mówił, że to niewolnictwo jest dla pana rozkoszą. I ja tak myślałam.

– Pani tak myślała! – zawołałem z jakąś bolesną satysfakcją. – Ach! cóż to za urocza naiwność! No, tak, tak, być pani niewolnikiem – to dla mnie rozkosz. Tak, tak, ostateczne poniżenie, nicość daje rozkosz! – bredziłem dalej. – Diabli wiedzą, może jest rozkosz i w knucie, kiedy spada na plecy i rwie mięso w kawały... Ale może chcę poznać i inne rozkosze. Niedawno generał przy stole w obecności pani dawał mi nauki za siedemset rubli rocznie, których może mi nawet nie wypłaci. Markiz des Grieux, podniósłszy brwi, obserwuje mnie i zarazem nie spostrzega. A może ja, ze swej strony, namiętnie pragnę wziąć markiza des Grieux za nos w pani obecności?

– Gadanina młokosa. W każdym położeniu można zachować godność osobistą. Jeżeli tu jest walka, to ta walka tylko pana uszlachetni, a nie poniży.

– Mówi pani jak z wypisów! Ale dajmy na to, że może nie umiem zachowywać się z godnością. A raczej może posiadam godność osobistą, ale nie umiem zachowywać się z godnością. Pojmuje pani, że tak może być? I wszyscy Rosjanie są tacy, a wie pani, dlaczego: dlatego, że Rosjanie są zbyt bogato i wielostronnie uzdolnieni, żeby odnaleźć dla siebie przyzwoite formy. Tu chodzi o formy. My, Rosjanie, jesteśmy przeważnie tak bogato uzdolnieni, że dla przyzwoitych form potrzeba nam genialności. No, a na genialności coraz częściej zbywa, bo w ogóle genialność rzadko się trafia. To tylko u Francuzów i może jeszcze u niektórych Europejczyków formy się ułożyły tak doskonale, że można sprawiać wrażenie niesłychanej godności, będąc najnikczemniejszym człowiekiem. Dlatego formy znaczą u nich tak wiele. Francuz zniesie obrazę, prawdziwą, dotkliwą obrazę i ani się skrzywi, ale szcztka w nos za nic w świecie nie zniesie, dlatego że to jest naruszeniem przyjętej i utrwalonej od wieków formy przyzwoitości. Dlatego właśnie nasze panie są tak rade Francuzom, że ci mają ładne formy. Zresztą, moim zdaniem, nie ma żadnej formy, jest tylko kogut, *le coq gaulois*¹². Zresztą nie mogę tego zrozumieć, nie jestem kobietą. Może koguty są ładne. Aleja tu gadam Bóg wie co, a pani mnie nie powstrzymuje. Niech pani mnie częściej powstrzymuje; kiedy z panią rozmawiam, mam ochotę wypowiedzieć wszystko, wszystko, wszystko.

Zapominam o wszelkich formach. Zgodzę się nawet, że nie tylko formy, ale i godności zupełnie nie posiadam. Oświadczam to pani. Nawet nie troszczę się o jakąkolwiek godność. Teraz wszystko się we mnie zahamowało. Pani sama wie, dlaczego. Ani jednej ludzkiej myśli nie mam w głowie. Już od dawna nie wiem, co się dzieje na świecie, ani w Rosji, ani tutaj. Byłem w Dreźnie i nie pamiętam, jakie jest to Drezno. Pani sama wie, co mnie pochłoneło. Ponieważ nie mam najmniejszej nadziei i jestem zerem w oczach pani, więc mówię po prostu: tylko panią widzę wszędzie, a reszta nic mnie nie obchodzi. Za co i jak panią kocham – nie wiem. Wie pani, może pani wcale nie jest ładna? Niech pani sobie wyobrazi, że nawet nie wiem, czy pani jest ładna, czy pani ma ładną twarz. Serce na pewno ma pani złe; umysł nieszlachetny, to bardzo możliwe.

– Może dlatego liczy pan, że mnie pan kupi za pieniądze – powiedziała – ponieważ nie wierzy pan w moją szlachetność?

– Kiedy ja liczyłem, że panią kupię za pieniądze? – zawołałem.

¹² kogut galijski (symbol Francji)

– Pan się zagalopował i stracił wątek. Jeżeli nie mnie, to mój szacunek spodziewa się pan kupić za pieniądze.

– No, nie, to niezupełnie tak. Mówiłem pani, że trudno mi się tłumaczyć. Pani mnie przytłacza. Niech pani się nie gniewa za tę moją gadaninę. Pani rozumie, dlaczego na mnie nie można się gniewać: jestem po prostu wariat. A zresztą, wszystko mi jedno, choćby się pani nawet gniewała. Wystarczy, żebym sobie tam, u siebie na górze w pokoiku, przypomniał i wyobraził tylko szelest pani sukni, a gotów jestem ręce sobie pokasać. I za co się pani na mnie gniewa? Za to, że nazywam siebie niewolnikiem? Niech pani korzysta z mojego niewolnictwa, proszę, niech pani korzysta! Czy pani wie, że ja panią kiedyś zabiję? Nie dlatego zabiję, że przestanę kochać albo stanę się zazdrosny, ale tak po prostu, zabiję dlatego, że mnie czasami coś ciągnie, żeby panią zjeść. Pani się śmieje...

– Wcale się nie śmieję – powiedziała z gniewem. – Rozkazuję panu milczeć.

Zatrzymała się, ledwie mogąc oddychać z gniewu. Doprawdy nie wiem, czy była ładna, ale zawsze lubiłem na nią patrzeć, gdy tak stawała przede mną, i dlatego lubiłem często wzbudzać jej gniew. Może i ona to zauważyła i umyślnie się gniewała. Powiedziałem jej to.

– Co za ohyda! – zawołała ze wstrętem.

– Wszystko mi jedno – ciągnąłem dalej. – Wie pani, że dla nas niebezpiecznie chodzić razem: nieraz nieodparcie coś mnie ciągnęło, żeby panią zbić, oszpecić, zadusić. I czy pani sądzi, że do tego nie dojdzie? Pani mnie doprowadza do szału. Miałbym się bać skandalu? Gniewu pani? Cóż mnie pani gniew obchodzi? Kocham beznadziejnie i wiem, że potem będę tysiąc razy bardziej panią kochał. Jeżeli panią kiedykolwiek zabiję, to przecież będę musiał sam się zabić; no więc możliwie jak najdłużej nie będę się zabijał, żeby odczuć ten nie do zniesienia ból bez pani. Czy pani wie o rzeczy niewiarygodnej: kocham panią z każdym dniem b a r d z i e j, a to przecież prawie niemożliwe. I jakże po tym wszystkim mam nie być fatalistą? Pamięta pani, trzy dni temu, na Schlangenbergu, szepnąłem na pani wyzwanie: niech pani powie jedno słowo, a skoczę w tę przepaść. Gdyby pani powiedziała to słowo, byłbym wówczas skoczył. Czyżby pani naprawdę nie wierzyła, że ja bym skoczył?

– Co za głupia gadanina! – wykrzyknęła.

– Nic mnie nie obchodzi, czy głupia, czy mądra! – zawołałem.

– Wiem, że wobec pani muszę mówić, mówić, mówić – i mówię. Przy pani tracę zupełnie ambicję i jest mi wszystko jedno.

– Po co mam panu kazać skakać ze Schlangenbergu? – powiedziała sucho i jakoś szczególnie obelżywie. – To mi zupełnie niepotrzebne.

– Wspaniale! – zawołałem. – Pani umyślnie powiedziała to wspaniale „niepotrzebne”, żeby mnie zdeptać. Przejrzałem panią na wskroś. Mówi pani, że niepotrzebne? Ale przecież przyjemność zawsze się przyda, a straszliwa, nieograniczona władza – choćby nad muchą – to przecież również swojego rodzaju rozkosz. Człowiek jest z natury despotą i lubi być dręczycielem. Pani to ogromnie lubi.

Pamiętam, że przyglądała mi się z jakąś szczególnie natężoną uwagą. Widać na mojej twarzy malowały się te wszystkie niedorzeczne i głupie uczucia. Przypominam sobie teraz, że istotnie rozmowa nasza brzmiała prawie dosłownie tak, jak tu opisałem. Oczy mi nabiegły krwią. W kącikach ust pokazała się piana. A co się tyczy Schlangenbergu, to, na honor, nawet teraz, jeżeliby mi rozkazała skoczyć, skoczyłbym! Gdyby nawet powiedziała to żartem, z pogardą, ze splunięciem – i wówczas bym skoczył!

– Nie, dlaczego, ja panu wierzę – wycedziła, lecz tak, jak to tylko ona czasem umie, z taką pogardą i wstrętem, z taką pychą, że doprawdy gotów byłem ją zabić w owej chwili. Igrała z niebezpieczeństwem. Nie skłamałem, mówiąc jej o tym.

– Czy pan nie jest tchórzem? – zapytała mnie nagle.

- Nie wiem, może jestem tchórzem. Nie wiem... dawno o tym nie myślałem.
- Gdybym panu powiedziała: niech pan zabije tego człowieka, czy pan by go zabił?
- Kogo?
- Kogo zechcę.
- Francuza?

– Niech pan nie pyta, lecz odpowiada. Kogo wskażę. Chcę wiedzieć, czy pan teraz mówił poważnie. – Z taką powagą i niecierpliwością czekała na odpowiedź, że zrobiło mi się jakoś dziwnie.

– Czy pani mi wreszcie powie, co się tu dzieje! – zawołałem. – Cóż to, czy pani się mnie boi, czy co? Sam widzę cały tutejszy bałagan. Pani jest pasierbicą człowieka zrujnowanego i obłąkanego, opętanego przez namiętność do tej diablidy – Blanche; w dodatku – ten Francuz, ze swoim tajemniczym wpływem na panią, a teraz znów zadaje mi pani... takie pytanie. Niechbym przynajmniej wiedział; inaczej zwiariuję i zrobię coś złego. A może wstyd pani zaszczyścić mnie szczerością? Czy pani może mnie się wstydzić?

– Mówię z panem o czymś zupełnie innym. Zadałam panu pytanie i czekam na odpowiedź.

– Naturalnie, że zabiję – zawołałem – kogo tylko pani zechce, a czyżby pani mogła... czy pani mi to rozkaże?

– A co pan sobie myśli, może będę pana żałować? Rozkażę, a sama zostanę w cieniu. Czy pan to wytrzyma? Ależ nie, gdzie tam! Pan może by i zabił na rozkaz, ale potem i mnie by pan zabił za to, że śmiałam pana posyłać.

Jakbym dostał cios w głowę przy tych słowach. Naturalnie, i wówczas w połowie uważałem jej pytanie za żart, za wyzwanie; jednak jakoś zbyt poważnie to powiedziała. Ale byłem oszołomiony, że się tak wypowiedziała i że korzysta z takich praw, że godzi się na taką władzę nade mną i tak po prostu mówi: „Idź na pewną zgubę, a ja zostanę z boku.” W tych słowach było coś tak cynicznego i szczerego, że, moim zdaniem, było już tego za wiele. To już przekroczyło granicę niewolnictwa i poniżenia. Po czymś takim uważa się człowieka za równego sobie. I mimo nedorzecznosci i nieprawdopodobieństwa całej rozmowy, serce mi zadrżało.

Nagle zaśmiała się. Siedzieliśmy wówczas na ławce, przed bawiącymi się dziećmi, tuż na wprost miejsca, gdzie zatrzymywały się pojazdy i gdzie wysiadali kuracjusze, kierując się w stronę alei wiodącej do kasyna.

– Widzi pan tę grubą baronową? – zawołała. – To baronowa Wurmerhelm. Przyjechała dopiero przed trzema dniami. Widzi pan jej męża: długi, chudy Prusak z laską w rękę. Pamięta pan, jak on trzy dni temu nam się przyglądał? Niech pan idzie natychmiast, niech pan podejdzie do baronowej, zdejmie kapelusz i powie do niej coś po francusku.

– Po co?

– Pan przysięgał, że skoczyłby ze Schlangenbergu, pan przysięga, że gotów zabić, jeżeli rozkażę. Zamiast wszystkich tych zabójstw i tragedii chcę się tylko pośmiać. Niech pan idzie bez wykrętów. Chcę popatrzeć, jak baron zbije pana laską.

– Pani mi rzuca wyzwanie; sądzi pani, że ja tego nie zrobię?

– Tak, rzucam wyzwanie, niech pan idzie, tak chcę!

– Owszem, idę, chociaż to dzika fantazja. Tylko jedno: żeby generał nie miał nieprzyjemności, a przez niego i pani. Doprawdy, nie chodzi mi o siebie, lecz o panią, no i – o generała. I co to za fantazja, żeby robić afront kobiecie?

– Nie, pan tylko gadać potrafi, widzę to – powiedziała wzgardliwie.

– Tylko panu krew do oczu nabiegła przed chwilą, zresztą może dlatego, że pan wypił przy obiedzie dużo wina. Czyż pan sądzi, że nie rozumiem, że to i głupie, i podłe, i że generał

się rozgniewa? Po prostu chcę się śmiać. No, chcę i koniec! I dlaczegoż to pan ma robić afront kobiecie? To raczej pan zostanie obity laską.

Odwróciłem się i w milczeniu poszedłem spełnić jej polecenie. Naturalnie, było to głupie i, naturalnie, nie umiałem się od tego wykręcić, ale kiedy zacząłem się zbliżać do baronowej, coś zaczęło mnie korcić; korciła mnie psota. No i byłem okropnie podrażniony, zupełnie jakbym był pijany.

6

Oto upłynęły już dwie doby od tego głupiego dnia. I ile przy tym wrzasku, krzyku, hałasu, gadaniny! Jakie to wszystko głupie, idiotyczne, obrzydliwe i podłe, a ja jestem powodem wszystkiego. Zresztą, czasem to się wydaje śmieszne – mnie przynajmniej. Nie mogę sobie zdać sprawy, co się ze mną stało, czy w istocie jestem nienormalny, czy po prostu zboczyłem z wytkniętej drogi i szaleję, dopóki mnie nie zwiążą. Czasem wydaje mi się, że wpadam w obłąd. A czasem, że jestem jeszcze dzieckiem, że siedzę w szkolnej ławce i po prostu okropnie dokazuję, jak uczeń.

To Polina, wszystko Polina! Może obesłoby się bez dokazywania, gdyby nie ona. Kto wie, może ja to wszystko robię z rozpacz (choć to głupio tak myśleć). I nie pojmuję, doprawdy nie pojmuję, co mi się w niej podoba! Zresztą ładna to ona jest; zdaje się, że ładna. Przecież i innych doprowadza do szaleństwa. Wysoka i zgrabna. Tylko bardzo szczupła. Wydaje mi się, że można by ją całą w węzeł związać albo zgiąć na dwoje. Ślad jej stopy jest wąziutki i długi – dręczący. Włosy o rudawym odcieniu. Oczy – prawdziwie kocie, ale jak dumnie i pogardliwie umie nimi patrzeć. Cztery miesiące temu, zaraz po objęciu przeze mnie posady, rozmawiała raz wieczorem z des Grieux długo i z ożywieniem. I tak na niego patrzyła... że później, kiedy poszedłem do siebie spać, wyobraziłem sobie, że dała mu w twarz, właśnie dała mu w twarz i stoi przed nim i patrzy na niego... Otóż tego wieczoru właśnie się w niej zakochałem.

Ale do rzeczy.

Poszedłem ścieżką ku alei, stanąłem na środku i czekałem na baronową i barona. W odległości pięciu kroków zdjąłem kapelusz i ukloniłem się.

Pamiętam, że baronowa była w jedwabnej sukni o niezmiernej objętości, jasnoszarego koloru, z falbankami, z krynoliną i z trenem. Była niska i niesłychanej tuszy, ze strasznie tłustym i obwisłym podbródkiem, tak że szyi zupełnie nie było widać. Twarz purpurowa. Oczy maleńkie, złe i bezczelne. Idzie – jakby wszystkim robiła zaszczyt. Baron chudy, wysoki. Twarz typowo niemiecka, wykrzywiona i z tysiącem bardzo drobnych zmarszczek; w okularach; czterdziestopięcioletni. Nogi zaczynają mu sięomalże od piersi; to znaczy – rasa. Dumny jak paw. Trochę workowaty. Coś baraniego w wyrazie twarzy, co w swoisty sposób zastępowało głębokość myśli.

Wszystko to mignęło mi w oczach w ciągu trzech sekund.

Mój ukłon i kapelusz w ręku początkowo zaledwie zwróciły ich uwagę. Tylko baron z lekka zmarszczył brwi. Baronowa płynęła wprost na mnie.

– *Madame la baronne* – powiedziałem głośno i wyraźnie, akcentując każde słowo – *j'ai l'honneur d'être votre esclave*.¹³ Później ukloniłem się, włożyłem kapelusz i przeszedłem obok barona, grzecznie zwracając się ku niemu i uśmiechając się.

Zdjąć kapelusz kazała mi Polina, ale ukloniłem się i zrobiłem kawał z własnej inicjatywy. Diabli wiedzą, co mnie do tego popchnęło! Zupełnie jakbym z góry spadał.

– *Hein!*¹⁴ – zawołał, a właściwie zakrakał baron, zwracając się ku mnie z wyrazem gniewnego zdziwienia.

¹³ Pani baronowo (...) mam zaszczyt być pani niewolnikiem.

¹⁴ Coś takiego!

Odwrociłem się i zatrzymałem w pełnym szacunku oczekiwaniu, patrząc nadal na niego i uśmiechając się. Był widocznie zdumiony i podniósł brwi do *nec plus ultra*¹⁵. Twarz jego coraz bardziej się zachmurzała. Baronowa również odwróciła się w moją stronę i również spoglądała z gniewnym zdumieniem. Przechodnie zaczęli się przypatrywać. Niektórzy nawet się zatrzymywali.

– *Hein!* – zakrakał znów baron ze zdwojoną chrapliwością i ze zdwojonym gniewem.

– *Jawohl!*¹⁶ – odpowiedziałem, patrząc mu wciąż prosto w oczy.

– *Sind sie rasend?*¹⁷ – krzyknął, machnąwszy laską i, zdaje się, zaczynając trochę tchórzyc. Może onieśmiał go mój ubiór. Byłem bardzo przyzwoicie, nawet elegancko ubrany, jak człowiek przynależny do najwytworniejszej publiczności.

– *Jawoohl!* – krzyknąłem nagle na cały głos, przeciągając „o” tak jak berlińczycy, którzy w rozmowie bez ustanku używają „jawohl”, a przy tym przeciągają literę „o” mniej lub bardziej, zależnie od tego, jakie odcienie myśli i wrażeń chcą wyrazić.

Baron i baronowa szybko się odwrócili i prawie biegiem oddalili się ode mnie w przestrachu. Spośród publiczności niektórzy zaczęli coś mówić, inni patrzyli na mnie ze zdumieniem. Zresztą, dobrze nie pamiętam.

Zawróciłem i zwykłym krokiem ruszyłem w stronę ławki, gdzie siedziała Polina Aleksandrowna. Ale nie uszedłszy nawet stu kroków, spostrzegłem, że wstała i poszła z dziećmi w kierunku hotelu.

Dogoniłem ją przy podjeździe.

– Wykonałem... to głupstwo – powiedziałem zrównawszy się z nią.

– No więc cóż? Niechże się pan teraz tłumaczy – odpowiedziała nawet nie spojrzawszy na mnie i weszła na schody.

Cały ten wieczór przespacerowałem w parku. Przez park, a potem przez las poszedłem nawet do sąsiedniego księstwa. W jakiejś chacie jadłem jajecznicę i piłem wino; za tę idyllę zdarli ze mnie półtora talara.

Dopiero o jedenastej wróciłem do domu. Natychmiast przysłano po mnie od generała.

Nasze towarzystwo zajmuje w hotelu dwa numery o czterech pokojach. Pierwszy – duży – salon z fortepianem. Obok również duży pokój – gabinet generała. Tu czekał na mnie, stojąc pośrodku gabinetu w nadzwyczaj wspaniałej pozie. Des Grieux siedział rozwalony na kanapie.

– Za pozwoleniem, mój panie, co pan właściwie narobił? – zaczął generał, zwracając się do mnie.

– Życzyłbym sobie, generale, żebyśmy przystąpili wprost do rzeczy – powiedziałem. – Pan zapewne chce mówić o moim dzisiejszym spotkaniu z pewnym Niemcem?

– Z pewnym Niemcem?! Ten Niemiec – to baron Wurmerhelm, wybitna osobistość! Pan zrobił afront jemu i baronowej.

– Bynajmniej.

– Pan ich przestraszył, mój panie! – krzyknął generał.

– Ależ wcale nie! Już w Berlinie wpadło mi w ucho to do nieskończoności powtarzane za każdym słowem „*jawohl!*”, które oni tak obrzydliwie przeciągają. Kiedy się z nim spotkałem w alei, nagle, nie wiem dlaczego, przypomniało mi się to „*jawohl!*” i podziało na mnie prowokująco... No, a przy tym baronowa już trzeci raz przy spotkaniu ze mną ma zwyczaj iść wprost na mnie, jak gdybym był robakiem, którego można rozdeptać. Zgodzi się pan, że ja

¹⁵ Do ostatecznych granic.

¹⁶ Tak jest!

¹⁷ Pan zwariował.

również mogę mieć poczucie godności osobistej. Zdjąłem kapelusz i grzecznie (zapewniam pana, że grzecznie) powiedziałem: „*Madame, j'ai l'honneur d'être votre esclave.*” Kiedy baron się odwrócił i zawołał „*Hein!*” – nagle jakby mię coś popchnęło, żeby zawołać „*jawohl!*” Zawołałem dwa razy: za pierwszym razem zwykłym głosem, a za drugim przeciągając ile się dało. Ot i wszystko.

Muszę się przyznać, że byłem okropnie zadowolony z tego smarkaczowskiego wyjaśnienia. Jakoś dziwnie chciało mi się rozmazywać całą tę historię, możliwie w jak najgłupszy sposób.

I im dalej brnąłem, tym bardziej nabierałem smaku.

– Pan się śmieje ze mnie czy co? – zawołał generał. Zwrócił się do Francuza i powiedział po francusku, że ja stanowczo pragnę awantury. Des Grioux uśmiechnął się pogardliwie i wzruszył ramionami.

– O, niech pan tak nie myśli, bynajmniej! – zawołałem do generała. – Mój postępek, naturalnie, był bardzo brzydki, całkiem szczerze to przyznaję. Mój postępek można nazwać nawet głupim i nieprzyzwoitym żakostwem, ale – nic więcej. I doprawdy, panie generale, szczerze poczuwam się do winy. Ale istnieje tu pewna okoliczność, która w moich oczach prawie że uwalnia mnie nawet od poczuwania się do winy. Ostatnio, przez dwa, a nawet trzy tygodnie, źle się czuję; czuję się chory, zdenerwowany, drażliwy, mam chimery i niekiedy tracę zupełnie panowanie nad sobą. Doprawdy, miałem czasem wielką ochotę zwrócić się do markiza des Grioux i... A zresztą, nie warto o tym mówić; może by się czuł obrażony. Słowem, są to symptomy choroby. Nie wiem, czy baronowa Wurmerhelm weźmie to pod uwagę, gdy będę prosić ją o przebaczenie (bo mam zamiar prosić ją o przebaczenie). Sądzę, że nie weźmie, tym bardziej że, o ile mi wiadomo, ostatnio zaczęto nadużywać tej okoliczności w świecie prawniczym: adwokaci w procesach zaczęli bardzo często usprawiedliwiać swoich klientów-przestępców, twierdząc, że w chwili popełnienia przestępstwa nie panowali nad sobą, i że to, jakoby, jest taka choroba. „Zabił, no i nic nie pamięta”. I niech pan sobie wyobrazi, panie generale, medycyna im przytakuje – rzeczywiście potwierdza, że zdarza się taka choroba, taki przejściowy obłęd, kiedy człowiek prawie zupełnie nie zdaje sobie z niczego sprawy albo tylko w połowie lub w czwartej części zdaje sobie sprawę. Ale baron i baronowa to ludzie starej daty, przy tym junkrzy pruscy i obywatele ziemscy. Ten postęp w świecie prawniczo-medycznym zapewne nie jest im jeszcze wiadomy i dlatego nie uwzględnią moich usprawiedliwień. Jak pan sądzi, panie generale?

– Dość tego, mój panie! – ostro i z hamowanym oburzeniem powiedział generał – dość! Postaram się raz na zawsze uwolnić od pańskiego żakostwa. Nie będzie pan przepraszał ani baronowej, ani barona. Wszelkie stosunki z panem, nawet gdyby polegały jedynie na pańskiej prośbie o przebaczenie, będą dla nich zbyt poniżające. Baron, dowiedziawszy się, że pan należy do mojego domu, rozmówił się już ze mną w kasynie i, przyznam się panu, niewiele brakowało, żeby żądał ode mnie satysfakcji. Pojmuje pan, na co mnie pan naraził – mnie, mój panie! Ja, ja musiałem przepraszać barona i dałem mu słowo, że niezwłocznie, dziś jeszcze, pan przestanie należeć do mojego domu...

– Ależ, panie generale, więc baron sam zażądał, abym przestał należeć do pańskiego domu, jak pan się raczył wyrazić?

– Nie; ale czułem się w obowiązku dać mu tę satysfakcję i, naturalnie, zadowolilo to barona. Rozstajemy się, łaskawy panie. Należą się panu jeszcze ode mnie te cztery friedrichsdory i trzy floreny według tutejszego obliczenia. Oto pieniądze, a oto kartka z obliczeniem: może je pan sprawdzić. Żegnam pana. Od tej chwili jesteśmy sobie obcy, prócz kłopotów i nieprzyjemności, nic mi pan nie dał. Zawołam natychmiast szefa i oświadczę mu,

że od jutrzejszego dnia nie odpowiadam za pańskie wydatki w hotelu. Mam zaszczyt pożegnać pana.

Wziąłem pieniądze, kartkę, na której ołówkiem napisane było obliczenie, skłoniłem się generałowi i zupełnie poważnie powiedziałem mu:

– Panie generale, sprawa na tym nie może się skończyć. Bardzo mi przykro, że miał pan nieprzyjemności ze strony barona, ale – niech mi pan wybaczy – sam pan temu winien. Na jakiej podstawie podjął się pan odpowiadać za mnie przed baronem? Co ma oznaczać wyrażenie, że należę do pańskiego domu? Jestem po prostu nauczycielem w pańskim domu, i nic więcej. Nie jestem ani pańskim synem, ani podopiecznym i za moje postęпки pan nie może odpowiadać. Sam jestem osobą prawnie odpowiedzialną. Mam dwadzieścia pięć lat i stopień kandydata¹⁸, jestem szlachcicem, człowiekiem zupełnie panu obcym. Tylko mój bezgraniczny szacunek dla pana powstrzymuje mnie od zażądania od niego natychmiastowej satysfakcji i zdania rachunku z tego, że pan uzurpował sobie prawo odpowiadania za mnie.

Generał był tak zdumiony, że rozłożył ręce, potem nagle zwrócił się do Francuza i pośpiesznie zakomunikował mu, że omal nie wyzwiałem go teraz na pojedynek. Francuz zaśmiał się głośno.

– Ale baronowi nie mam zamiaru darować – ciągnąłem dalej z całkowicie zimną krwią, nie stropiony ani trochę śmiechem mr des Grioux. – A ponieważ pan, panie generale, zgodziwszy się dzisiaj wysłuchać skargi barona i zająwszy się jego sprawą, stał się jak gdyby jej uczestnikiem, mam zaszczyt oświadczyć panu, że nie później niż jutro przed południem zażądaję od barona w swoim imieniu formalnego wyjaśnienia powodów, dla których, mając sprawę ze mną, zwrócił się do kogoś innego z pominięciem mnie – jak gdybym nie był godny odpowiadać przed nim sam za siebie.

Co przewidywałem, to się stało. Generał, usłyszawszy to nowe szaleństwo, okropnie się przeląkł.

– Jak to, czyżby pan miał zamiar ciągnąć tę przeklętą sprawę!

– zawołał. – Cóż pan ze mną wyrabia, o Boże! Niech pan się nie waży, drogi panie, bo inaczej, przysięgam... Tu także jest władza i ja... ja... słowem, z tytułu mej rangi... i baron również... słowem, zostanie pan aresztowany i wysłany stąd przez policję, żeby się pan nie awanturował. Rozumie pan! – I chociaż nie mógł prawie oddychać z gniewu, bał się okropnie.

– Panie generale – odpowiedziałem z nieznośnym dla niego spokojem – zaaresztować za awanturę nie można wcześniej, niż awantura zostanie zrobiona. Jeszcze nie zacząłem swojej sprawy z baronem i pan jeszcze wcale nie wie, w jaki sposób i na jakich podstawach mam zamiar do tej sprawy przystąpić. Pragnę tylko wyjaśnić uciążliwe mi domniemanie, że znajduję się pod opieką osoby rzekomo posiadającej władzę nad moją wolną wolą. Niepotrzebnie pan się tak lęka i niepokoi.

– Na Boga, na Boga, Aleksy Iwanowiczu, niech pan porzuci ten niedorzeczny zamiar – bełkotał generał, zmieniając nagle ton gniewny na błagalny i nawet chwytając mnie za ręce. – No, niech pan sobie wyobrazi, co z tego wyniknie? Znowu nieprzyjemności! Sam się pan zgodzi, że muszę tutaj wyjątkowo dbać o opinię, szczególnie teraz!... szczególnie teraz!... O, pan nie zna, pan nie zna wszystkich wiążących mnie okoliczności!... Kiedy stąd odjedziemy, gotów jestem znowu pana przyjąć do siebie. Ja teraz tylko tak, no, słowem – przecież pan rozumie przyczyny! – zawołał z rozpaczą. – Aleksy Iwanowiczu!... Aleksy Iwanowiczu!...

Cofając się ku drzwiom jeszcze raz prosiłem go, żeby się nie niepokoił, obiecałem, że wszystko będzie załatwione jak należy, i szybko wyszedłem.

¹⁸ Najniższy stopień akademicki w Rosji carskiej.

Rosjanie za granicą bywają niekiedy tchórzliwi i okropnie boją się, co o nich powiedzą, jak na nich będą patrzeć i czy wypada to lub tamto. Słowem, jakby byli w gorsecie, zwłaszcza ci, którzy uważają, że coś znaczą. Najmilsze dla nich – to jakaś raz na zawsze ustalona forma, której się niewolniczo podporządkowują – w hotelach, na zabawach, w resursach, w podróży... Ale generał wygadał się, że ma oprócz tego jakieś szczególne okoliczności, że musi jakoś „szczególnie dbać o opinię”. Dlatego właśnie tak nagle stchórzył i zmienił ton w stosunku do mnie. Przyjąłem to do wiadomości i dobrze sobie zapamiętałem. Mógł, oczywiście, zwrócić się jutro przez głupotę do jakichś władz, toteż w istocie musiałem być ostrożny.

Zresztą, zupełnie nie miałem ochoty gniewać właśnie generała; chciałem teraz rozgniewać Polinę. Polina obeszła się ze mną okrutnie i pchnęła mnie na głupią drogę, toteż miałem wielką ochotę doprowadzić ją do tego, żeby mnie poprosiła, abym się umitygował. Moje żakostwo mogło w końcu i ją skompromitować.

Oprócz tego krystalizowały się we mnie jakieś inne wrażenia i pragnienia; jeżeli na przykład pogrążam się przed nią dobrowolnie w nicości, to przecież wcale nie znaczy, że wobec ludzi jestem zmokłą kurą, i z pewnością nie baron mnie „obje laską”. Miałem ochotę pośmiać się z nich wszystkich i zostać zuchem. Niech zobaczą. Bardzo możliwe, że Polina złąknie się skandalu i znów mnie przywoła. A jeśli nie przywoła, to jednak zobaczy, że nie jestem zmokłą kurą...

(Dziwna wiadomość; dopiero teraz usłyszałem od naszej niani, którą spotkałem na schodach, że Maria Filipowna odjechała dzisiaj sama jedna wieczornym pociągiem do Karlsbadu, do siostry ciotecznej. Cóż to za wiadomość? Niania mówi, że ona od dawna się zbierała; ale jakże nikt o tym nie wiedział? Zresztą, może tylko ja nie wiedziałem. Niania wygadała się, że Maria Filipowna już trzy dni temu długo rozmawiała z generałem. Rozumiem. To z pewnością mlle Blanche. Tak, zanosi się u nas na coś decydującego.)

Rano wezwałem służącego i poleciłem, żeby rachunki wystawiono dla mnie osobno. Numer mój nie był tak drogi, żebym się przestraszył i zupełnie opuścił hotel. Miałem szesnaście friedrichsdorów, a w przyszłości... majątek! Dziwna rzecz, nie wygrałem jeszcze, ale postępuję, czuję i myślę jak bogacz i nie jestem w stanie postępować i myśleć inaczej.

Miałem zamiar pomimo wczesnej godziny natychmiast udać się do mister Astleya do hotelu „d'Angleterre”, bardzo niedaleko od nas, kiedy nagle wszedł do mnie des Grioux. To się nigdy jeszcze nie zdarzyło, a oprócz tego miałem ostatnio z tym panem jak najbardziej naciągnięte stosunki i byliśmy sobie jak najbardziej obcy. Jawnie nie ukrywał swego lekceważenia wobec mnie, nawet nie starał się ukrywać; a ja – ja miałem swoje specjalne przyczyny, aby nie być dla niego życzliwy. Słowem, nienawidziłem go. Przyjście jego bardzo mnie zdziwiło. Natychmiast przeczułem, że jest w tym coś szczególnego.

Wszedł bardzo grzecznie i powiedział mi komplement na temat mojego pokoju. Widząc, że stoję z kapeluszem w ręku, zapytał, czyżbym tak wczesnie wychodził na spacer. A kiedy usłyszał, że idę do mister Astleya, pomyślał, zrozumiał, i twarz jego przybrała wyraz nadzwyczajnego zakłopotania.

Des Grioux był taki jak wszyscy Francuzi, czyli wesoły i grzeczny, kiedy to potrzebne i wygodne, a nieznośnie nudny, kiedy nie trzeba było być wesołym i grzecznym. Francuz rzadko jest z natury grzeczny; jest grzeczny zawsze jakby z nakazu, przez wyrachowanie. Jeżeli na przykład uważa, że powinien być fantastyczny, oryginalny, niecodzienny, to jego fantazja, głupia i nienaturalna, posługuje się zawczasu przyjętymi i dawno wytartymi formami. Naturalny zaś Francuz ma w sobie tylko najbardziej mieszczański, drobiazgowy, pospolity pozytywizm – słowem, jest to istota najnudniejsza w świecie. Moim zdaniem, tylko naiwni, zwłaszcza rosyjskie panie, zachwycają się Francuzami. Natomiast każdy porządny człowiek natychmiast spostrzega i odczuwa jako nieznośny ów przymus na zawsze ustanowionych form salonowej grzeczności, nonszalancji i wesołego ożywienia.

– Przychodzę do pana w interesie – zaczął nadzwyczaj pewnym tonem, choć zresztą grzecznie – i nie będę ukrywał, że przychodzę jako poseł, a właściwie pośrednik generała. Znając bardzo słabo język rosyjski, prawie nic wczoraj nie zrozumiałem; ale generał szczegółowo mi wyjaśnił i przyznam się...

– Przepraszam, mr des Grioux – przerwałem mu – pan i w tej sprawie podjął się pośrednictwa. Naturalnie, jestem „*un outchitel*” i nigdy ani nie pretendowałem do zaszczytu, aby zostać bliskim przyjacielem tego domu, ani nie starałem się o jakieś szczególnie intymne stosunki i dlatego nie znam wszystkich okoliczności; ale niech mi pan wyjaśni: czyżby pan teraz zupełnie już zaliczał się do członków tej rodziny? Bo bierze pan we wszystkim taki udział, musi pan koniecznie zaraz we wszystkim pośredniczyć...

Moje pytanie nie spodobało mu się. Było dla niego zbyt przejrzyste, a nie chciał się wygadywać.

– Wiążą mnie z generałem po trosze interesy, po trosze pewne inne okoliczności – powiedział oschle. – Generał przysłał mnie, żebym pana prosił o zaniechanie wczorajszych zamiarów. Wszystko, co pan obmyślił, jest naturalnie bardzo dowcipne, ale generał właśnie prosił, abym panu unaoczniał, że to się w zupełności nie uda; co więcej, baron pana nie przyjmie i bądź co bądź ma przecież sposoby, aby uwolnić się od dalszych nieprzyjemności z

pańskiej strony. Sam się pan z tym zgodzi. Po cóż to rozmazywać, niech pan powie? Generał zaś obiecuje panu, że z pewnością przyjmie go z powrotem do swego domu przy pierwszych sprzyjających okolicznościach, a do tego czasu będzie zaliczał pańskie pobory, *vos appointements*. Przecież to dość korzystne, nieprawdaż?

Odparłem mu zupełnie spokojnie, że się trochę myli; że baron prawdopodobnie mnie nie wypędzi, lecz przeciwnie, wysłucha mnie – i poprosiłem go, aby się przyznał, że zapewne przyszedł w tym celu, aby zbadać, jak właściwie zabiorę się do całej tej sprawy.

– O Boże, przecież jeżeli generał jest tak tym zainteresowany, to oczywiście będzie mu miło dowiedzieć się, co i jak zamierza pan zrobić. To takie naturalne!

Zacząłem tłumaczyć, a on słuchał, w niedbalej pozie, trochę skłoniwszy ku mnie głowę, z nie ukrywaniem, ironicznym odcieniem w wyrazie twarzy. W ogóle trzymał się bardzo wyniośle. Ze wszystkich sił starałem się udawać, że spoglądam na tę sprawę z najpoważniejszego punktu widzenia. Wyjaśniłem, że ponieważ baron zwrócił się do generała ze skargą na mnie, jak na sługę generała, to, po pierwsze, pozbawił mnie przez to posady, a po drugie, potraktował mnie jak osobę, która nie jest w stanie odpowiadać za siebie i z którą nie warto nawet mówić. Naturalnie, czuję się słusznie obrażony, jednakże, biorąc pod uwagę różnicę wieku, stanowisko społeczne itd., itd. (w tym miejscu ledwie się powstrzymywałem od śmiechu), nie chcę popełnić jeszcze jednej lekkomyślności, czyli po prostu zażądać od barona albo nawet tylko zaproponować mu danie mi satysfakcji. Niemniej uważam, że mam prawo zaproponować mu, a zwłaszcza baronowej, moje przeprosiny, tym bardziej, że istotnie czuję się ostatnio źle, jestem rozstrojony i, że tak powiem, chimeryczny itd., itd. Baron jednak wskutek wczorajszego obraźliwego dla mnie zwrócenia się do generała i żądania, żeby generał pozbawił mnie posady, postawił mnie w takim położeniu, że teraz nie mogę już prosić baronowej i jego o przebaczenie, ponieważ i on, i baronowa, i wszyscy z pewnością pomyślą, że przepraszam ze strachu i żeby odzyskać posadę. Z tego wszystkiego wynika, że muszę teraz prosić barona, by najpierw sam usprawiedliwił się przede mną, chociażby w jak najbardziej umiarkowany sposób – na przykład, żeby powiedział, że wcale nie miał zamiaru mnie obrazić. A kiedy baron to powie, szczerze i otwarcie go przeproszę. Słowem – zakończyłem – proszę tylko, aby baron rozwiązał mi ręce.

– Fi, co za drażliwość i jakie subtelności. I po co ma się pan usprawiedliwiać? No, niech pan sam przyzna mr... mr..., że zamierza pan to wszystko zrobić umyślnie, żeby dokuczyć generałowi... a może ma pan w tym jakieś specjalne cele... *mon cher monsieur... pardon, j'ai oublié votre nom, mr Alexis?... N'est-ce pas?*¹⁹

– Przepraszam pana, *mon cher marquis*²⁰, ale co panu do tego?

– *Mais, le général!*²¹

– A cóż generał ma do tego? Wczoraj mówił, że musi jakoś specjalnie dbać o swoją opinię... i tak się czegoś obawiał... ale nic nie rozumiałem.

– Właśnie, właśnie istnieje pewna okoliczność – podchwycił des Grieux tonem prośby, w którym coraz bardziej słyhać było irytację. – Pan zna mlle de Cominges?

– Mlle Blanche?

– No tak, mlle Blanche de Cominges... *et madame sa mere*²²... sam pan przyzna, generał... słowem, generał jest zakochany i nawet... nawet zostanie może zawarte małżeństwo. I niech pan sobie wyobrazi przy tym różne skandale, historie...

– Nie widzę tu ani skandali, ani historii, tyczących się małżeństwa.

¹⁹ drogi panie... przepraszam, zapomniałem, jak pan ma na mię... Aleksy, nieprawdaż?

²⁰ drogi markizie

²¹ Ale generał!

²² i jej [panią] matkę

– *Lecz le baron est si irascible, un caractère prussien, vous savez, enfin il fera une querelle d'Allemand.*²³

– To ze mną, a nie z panem, bo ja już nie należę do domu... (Umyślnie starałem się mówić jak najbardziej bez sensu.) Ale przepraszam, więc to już zdecydowane, że młde Blanche wychodzi za generała? Na cóż czekają? To znaczy po co ukrywają, przynajmniej przed nami, domownikami?

– Nie mogę panu... zresztą to jeszcze niezupełnie... jednak... wie pan, czekają na wiadomości z Rosji; generał musi uporządkować swoje interesy...

– Aha! La baboulinka!

Des Grioux popatrzył na mnie z nienawiścią.

– Słowem – przerwał mi – całkowicie polegam na pańskiej wrodzonej grzeczności, na pańskim rozsądku, takcie... pan, naturalnie, zrobi to dla tej rodziny, która przyjęła pana jak krewnego, gdzie pana lubiono, poważano... drogi panie... przepraszam, zapomniałem, jak pan ma na imię... Aleksy, nieprawdaż?

– Ależ panie, zostałem wypędzony! Pan teraz twierdzi, że to dla pozorów; ale zgodzi się pan, że jeżeli panu ktoś powie: „Bynajmniej nie chcę cię wytargać za uszy, ale dla pozorów pozwól, że cię wytargam za uszy”... Przecież to prawie to samo?

– Jeżeli tak, jeżeli żadne prośby nie mają na pana wpływu – zaczął surowo i wyniośle – to muszę pana zapewnić, że zostaną użyte inne środki. Tu istnieje władza, zostanie pan jeszcze dziś wytransportowany – *que diable! un blanc-bec comme vous*²⁴ chce wyzwać na pojedynek taką osobistość, jak baron! I sądzi pan, że zostawią pana w spokoju? Niech mi pan wierzy, nikt się pana tutaj nie boi! Jeżeli prosiłem pana, to z własnej inicjatywy, dlatego że pan niepokoił generała. I czyżby pan naprawdę sądził, że baron nie rozkaże po prostu lokajowi, by pana wyrzucić?

– Nie pójdę przecież sam – odpowiedziałem z nadzwyczajnym spokojem – pan się myli, mr des Grioux, wszystko to zostanie załatwione znacznie przyzwoiciej, niż pan przypuszcza. Zaraz idę właśnie do mister Astleya i poproszę go o pośrednictwo, słowem, żeby był moim *second*²⁵. Ten człowiek mnie lubi i z pewnością nie odmówi. Pójdzie do barona i baron go przyjmie. Jeżeli ja jestem *un outchitel* i wydaję się kimś *subalteme*²⁶, no i wreszcie, bez poparcia, to mister Astley jest siostrzeńcem lorda, prawdziwego lorda, o czym wszyscy wiedzą, lorda Peabrocke, i ten lord jest tutaj. Niech mi pan wierzy, że baron będzie uprzejmy dla mister Astleya i wysłucha go. A jeżeli nie wysłucha, to mister Astley uzna to za osobistą obrazę (wie pan, jacy nieustępliwi są Anglicy) i wyśle do barona swojego przyjaciela, a on ma dobrych przyjaciół. Niech pan teraz obliczy, że może wszystko będzie nie tak, jak pan przypuszcza.

Francuz wyraźnie stchórzył; istotnie wszystko to było bardzo prawdopodobne, a z tego wynikało, że naprawdę byłem w mocy doprowadzić do awantury.

– Ależ proszę pana – zaczął zupełnie błagalnym głosem – niech pan da spokój temu wszystkiemu! Jak gdyby panu sprawiało przyjemność, że wyniknie awantura! Panu nie jest potrzebna satysfakcja, lecz awantura! Powiedziałem panu, że wszystko to może się okazać zabawne, a nawet dowcipne – o co zapewne panu chodzi, słowem – zakończył widząc, że wstałem i biorę kapelusz – przyszedłem, żeby wręczyć panu tych kilka słów od pewnej osoby, niech pan przeczyta, polecono mi, aby zaczekać na odpowiedź.

²³ baron jest taki porywczy, pruska natura, wie pan, awanturuje się o byle co.

²⁴ do diabła! Żółtodziób jak pan

²⁵ sekundantem

²⁶ podrzędnym

Powiedziawszy to, wyciągnął z kieszeni i podał mi małą kartkę, złożoną i zapieczętowaną opłatkiem.

Ręką Poliny było napisane, co następuje:

„Zdaje mi się, że Pan ma zamiar rozmazywać tę sprawę. Pan się rozgniewał i zaczyna wyprawiać głupstwa. Ale istnieją pewne szczególne okoliczności i może później je panu wyjaśnię; bardzo proszę, niech Pan przestanie i pohamuje się. Jakie to wszystko głupie!

Jest mi Pan potrzebny i sam mi Pan obiecał być posłuszny. Niech Pan sobie przypomni Schlangenberg. Proszę o posłuszeństwo, a jeżeli to potrzebne, rozkazuję.

Pańska P.

PS. Jeżeli się Pan na mnie gniewa za wczorajsze, to niech mi Pan przebaczy.”

Wszystko jak gdyby zakręciło mi się w oczach, kiedy przeczytałem te słowa. Wargi mi zbieleły i zacząłem drżeć. Przeklęty Francuz patrzył z przesadną skromnością odwracając ode mnie oczy, jakby po to, żeby nie widzieć mego zmieszania. Lepiej by było, żeby śmiał się ze mnie.

– Dobrze – odpowiedziałem – niech pan powie, że *mademoiselle* może być spokojna. Niech mi pan jednak pozwoli zapytać – dodałem ostro – dlaczego mi pan tak długo nie oddawał tej kartki? Zamiast gadać o głupstwach, powinien pan być, jak sędzę, zacząć od tego... jeżeli pan specjalnie przyszedł z tym poleceniem.

– O, ja chciałem... w ogóle to wszystko takie dziwne, że proszę, by mi pan wybaczył moją naturalną niecierpliwość. Chciałem się jak najprędzej osobiście dowiedzieć bezpośrednio od pana o pańskich zamiarach. Zresztą nie wiem, co ta kartka zawiera, i sądziłem, że zawsze będę miał czas ją oddać.

– Rozumiem, pan po prostu miał polecenie oddać ją tylko w ostateczności, a jeżeliby się udało załatwić słownie, wcale nie oddawać. Prawda? Niech pan powie szczerze, *mr des Grioux!*

– *Peut-être*²⁷ – powiedział, przybierając minę wyrażającą jakąś szczególną powściągliwość i patrząc na mnie jakimś szczególnym wzrokiem.

Wziąłem kapelusz; on skinął głową i wyszedł. Zdawało mi się, że na jego wargach dostrzegłem szyderczy uśmiech. Tak, jakże mogło być inaczej?

– Jeszcze się ze sobą policzymy, Francuziku, jeszcze się ze sobą zmierzymy! – mruczałem, schodząc ze schodów. Nie mogłem sobie jeszcze z niczego zdać sprawy, jakbym otrzymał cios w głowę. Powietrze trochę mnie orzeźwiło.

Dopiero po upływie jakich dwóch minut, gdy zacząłem wreszcie jasno myśleć, jaskrawo zarysowały mi się dwie myśli; pierwsza – że z takich głupstw, z kilku żakowskich, nieprawdopodobnych gróźb młokosa, powiedzianych wczoraj na wiatr, powstała tak p o w s z e c h n a panika! I druga myśl – jaki jednak wpływ ma ten Francuz na Polinę? Jedno jego słowo – i Polina robi wszystko, co on chce, pisze kartkę i nawet mnie prosi. Naturalnie, ich stosunki zawsze były dla mnie zagadką, od samego początku, odkąd ich poznałem; jednak przez te ostatnie dni dostrzegłem w niej zdecydowany wstręt, a nawet pogardę dla niego, a on nawet nie patrzył na nią, nawet po prostu był wobec niej niegrzeczny. Zauważyłem to. Polina sama mi mówiła o wstręcie; zaczęła się już wygadywać o niezmiernie ważnych rzeczach... To znaczy, że on po prostu nią włada, że trzymają ją jak gdyby na uwięzi...

²⁷ Może.

8

Na promenadzie, jak tutaj mówią, czyli w alei kasztanowej, spotkałem mojego Anglika.

– O, o! – zaczął spostrzegłszy mnie – ja do pana, a pan do mnie. Więc pan już się rozstał z tym domem?

– Niech mi pan powie przede wszystkim, skąd pan wie o tym – zapytałem ze zdziwieniem – czyżby wszyscy o tym wiedzieli?

– O, nie, nie wszyscy wiedzą; nawet nie warto, żeby wiedzieli. Nikt o tym nie mówi.

– Więc dlaczego pan o tym wie?

– Wiem, a właściwie przypadkowo się dowiedziałem. Dokąd pan teraz stąd pojedzie? Lubię pana i dlatego przyszedłem.

– Nieporównany z pana człowiek, mister Astley – powiedziałem (zresztą strasznie mnie to uderzyło: skąd on wie?) – nie piłem jeszcze kawy, a i pan zapewne nie jadł porządnego śniadania, więc chodźmy do kasyna, do kawiarni, tam usiądziemy, zapalimy i wszystko panu opowiem i... pan mi też opowie.

Kawiarnia była o sto kroków. Podano nam kawę, usiedliśmy, zapaliłem papierosa, mister Astley nic nie zapalił i, zwróciwszy się ku mnie, przygotował się do słuchania.

– Nigdzie nie jadę, zostaję tutaj.

– Byłem pewny, że pan zostanie – z aprobatą rzekł mister Astley.

Idąc do mister Astleya wcale nie miałem zamiaru, a nawet świadomie nie chciałem opowiadać mu czegokolwiek o mojej miłości do Poliny. Przez te wszystkie dni nie zamieniłem z nim na ten temat prawie ani słowa. Przy tym mister Astley był bardzo nieśmiały. Od razu zauważyłem, że Polina sprawiła na nim niezwykle wrażenie, ale nigdy nie wspominał jej imienia. To dziwne, teraz nagle, gdy tylko usiadł i skierował na mnie swoje baczne, ołowiane spojrzenie, ogarnęła mnie, nie wiem dlaczego, chęć, by powiedzieć mu o wszystkim, czyli o mojej miłości ze wszystkimi jej odcieniami. Opowiadałem całe pół godziny i sprawiało mi to niezwykłą przyjemność, po raz pierwszy opowiadałem o tym. Zauważywszy, że w niektórych szczególnie gorących miejscach mister Astley czuje się zmieszany, umyślnie wzmacniałem zapalczywość mojego opowiadania. Do jednej winy się przynaję: może niepotrzebnie powiedziałem to i owo o Francuzie...

Mister Astley słuchał, siedząc przede mną nieruchomo, nie wydając żadnego dźwięku i patrząc mi w oczy; ale kiedy zacząłem mówić o Francuzie, nagle powstrzymał mnie i surowo zapytał: czy mam prawo wspominać o tej postronnej okoliczności? Mister Astley zawsze w bardzo dziwny sposób zadawał pytania.

– Pan ma słuszość: obawiam się, że nie – odpowiedziałem.

– O tym markizie i o miss Polinie pan nie może powiedzieć nic określonego poza przypuszczeniami?

Znowu zdziwiło mnie tak kategoryczne pytanie człowieka tak nieśmiałego, jak mister Astley.

– Nie, nic określonego – odpowiedziałem – naturalnie, że nie.

– Jeśli tak, to pan postąpił źle nie tylko dlatego, że pan zaczął o tym mówić ze mną, lecz nawet i dlatego, że pan tak pomyślał.

– Tak, tak! Ma pan słuszość; ale teraz nie o to chodzi – przerwałem mu, dziwiąc się w duchu. I opowiedziałem mu całą wczorajszą historię ze wszystkimi szczegółami, o wybryku

Poliny, o mojej przygodzie z baronem, o mojej dymisji, o niezwyklej tchórzliwości generała, a w końcu opowiedziałem mu szczegółowo o dzisiejszych odwiedzinach des Grioux, ze wszelkimi subtelnościami; na zakończenie pokazałem mu kartkę.

– Co pan z tego wnioskuje? – zapytałem. – Przyszedłem specjalnie dowiedzieć się, co pan myśli. Co się zaś tyczy mnie, to gotów bym zabić tego Francuzika i może to zrobię.

– I ja również – powiedział mister Astley. – Co się zaś tyczy miss Poliny, to... wie pan, utrzymuje się czasami stosunki z ludźmi, których się nienawidzi, jeżeli zmusza do tego konieczność. Tu mogą istnieć stosunki panu nie znane, zależne od okoliczności postronnych. Sądzę, że pan może być spokojny – po części, naturalnie. Co się zaś tyczy wczorajszego jej postępuku, to, naturalnie, jest dziwne – nie dlatego, że pragnęła się pana pozbyć i posłała go pod łaskę barona (której, nie wiem dlaczego, nie użył, mając ją w rękach), lecz dlatego, że taki wybryk dla takiej... dla takiej cudownej miss – jest niewłaściwy. Naturalnie, nie mogła przewidzieć, że pan dosłownie spełni jej żartobliwe życzenie...

– Wie pan co? – zawołałem nagle, wpatrując się bacznie w mister Astleya – zdaje mi się, że pan już słyszał o tym wszystkim, wie pan od kogo? Od samej miss Poliny!

Mister Astley popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Oczy panu błyszczą i czytam w nich podejrzenie – rzekł powracając natychmiast do dawnego spokoju – ale nie ma pan najmniejszego prawa wyjawiać swoich podejrzeń. Nie mogę panu przyznać tego prawa i absolutnie odmawiam odpowiedzi na pańskie pytanie.

– No tak, skończmy z tym, nawet nie trzeba – zawołałem dziwnie wzburzony, nie pojmując, dlaczego mi to przyszło do głowy. Kiedy, gdzie, w jaki sposób mister Astley mógłby być wybrany przez Polinę na powiernika? Zresztą, ostatnio straciłem nieco z oczu mister Astleya, a Polina zawsze była dla mnie zagadką, taką zagadką, że na przykład teraz, zacząwszy opowiadać mister Astleyowi całą historię mojej miłości, nagle, w toku opowiadania, byłem zaskoczony, że prawie nic konkretnego i pozytywnego nie mogłem powiedzieć o mojej znajomości z Poliną. Wprost przeciwnie, wszystko było fantastyczne, dziwne, nieuzasadnione, a nawet do niczego niepodobne.

– No dobrze, dobrze; jestem zbity z tropu i nie mogę sobie jeszcze z wielu rzeczy zdać sprawy – odpowiedziałem jakby zadyszany. – Zresztą, pan jest dobrym człowiekiem. Teraz pomówimy o innej sprawie i proszę pana nie o radę, lecz o wypowiedzenie swojego zdania.

Milczałem przez chwilę i zacząłem:

– Jak pan sądzi, dlaczego generał tak stchórzył? dlaczego z mojej głupiej swawoli oni wszyscy zrobili taką ważną sprawę? Taką historię, że nawet sam des Grioux uznał za konieczne wmieszać się (a on się miesza tylko w najważniejszych wypadkach), odwiedził mnie (to niesłychane!), prosił, błagał – on, des Grioux, mnie! W końcu, niech pan na to zwróci uwagę, przyszedł do mnie o dziewiątej, tuż przed dziewiątą, a już kartka miss Poliny była w jego rękach. Kiedyż, pytam, ta kartka została napisana? Może miss Polinę zbudzono nawet w tym celu. Wnioskuje stąd, iż miss Polina jest jego niewolnicą (dlatego, że nawet mnie prosi o przebaczenie!), bo cóż ją to wszystko obchodzi, ją osobiście? Dlaczego tak się tym interesuje? Dlaczego oni się tak przestraszyli jakiegoś tam barona? I cóż z tego, że generał żeni się z mlle Blanche de Cominges? Oni mówią, że muszą się teraz w jakiś szczególny sposób zachowywać na skutek tej okoliczności, ale przecież to już nazbyt szczególne, sam pan przyzna! Jak pan sądzi? Z oczu pana jestem pewny, że pan i tu wie więcej niż ja!

Mister Astley uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Rzeczywiście, zdaje się, że i o tym wiem znacznie więcej niż pan – powiedział. – Tu cała sprawa tyczy się tylko mlle Blanche i jestem przekonany, że to zupełna prawda.

– No więc cóż ta mlle Blanche? – zawołałem z niecierpliwością (nagle zabłysła mi nadzieja, że teraz się czegoś dowiem o Polinie).

– Zdaje mi się, że mlle Blanche w obecnej chwili szczególnie zależy na uniknięciu spotkania z baronem i baronową, tym bardziej spotkania nieprzyjemnego, gorzej – skandalicznego.

– No! no!

– Mlle Blanche trzy lata temu, podczas sezonu, była tu, w Ruletenburgu. I ja również tu byłem. Mlle Blanche nie nazywała się wówczas mlle de Cominges, a również matka jej madame veuve Cominges wówczas nie istniała. Przynajmniej nie było o niej mowy. Des Grioux – des Grioux również nie było. Żywię głębokie przeświadczenie, że oni nie tylko nie są spokrewnieni, ale nawet znają się od bardzo niedawna. Markiz des Grioux został markizem także bardzo niedawno – jestem tego pewien ze względu na jedną okoliczność. Nawet można przypuszczać, że od niedawna zaczął się nazywać des Grioux. Znam tu pewnego człowieka, który go spotkał pod innym nazwiskiem.

– Ale przecież on naprawdę ma solidne znajomości?

– O, to możliwe. Nawet mlle Blanche może je mieć. Ale trzy lata temu mlle Blanche na skutek skargi tej baronowej otrzymała od tutejszej policji wezwanie do opuszczenia miasta i opuściła je.

– Jak to?

– Zjawiła się tutaj najpierw z pewnym Włochem, jakimś księciem o historycznym nazwisku, Barberini czy coś podobnego. Człowiek ten miał na sobie pełno pierścieni i brylantów, i to nawet nie fałszywych. Jeździli w zadziwiającym ekwipażu. Mlle Blanche grała w *trente et quarante* z początku szczęśliwie, później szczęście zaczęło ją opuszczać; tak sobie przypominam. Pamiętam, że pewnego wieczoru przegrała jakąś ogromną sumę. Ale co gorsze, że *un beau matin*²⁸ jej księżę zniknął w niewiadomym kierunku; zniknęły i konie, ekwipaż, wszystko. Dług w hotelu ogromny. Mlle Zelma (zamiast Barberini stała się nagle mlle Zelma) była w najwyższym stopniu zrozpaczona. Wrzeszczała i piszczła na cały hotel i z wściekłości porwała na sobie suknię. W tym samym hotelu mieszkał pewien polski hrabia (wszyscy podróżujący Polacy to hrabiowie) i mlle Zelma, rozrywająca na sobie suknie i jak kotka drapiąca sobie twarz prześlicznymi, wymytymi w perfumach rękami, wywarła na nim pewne wrażenie. Rozmówili się i już przed obiadem mlle Zelma była pocieszona. Wieczorem polski hrabia zjawił się z nią pod rękę w kasynie. Mlle Zelma śmiała się swoim zwyczajem bardzo głośno i w jej manierach ujawniło się nieco więcej swobody. Przyłączyła się wprost do tej kategorii grających w ruletkę pań, które, podchodząc do stołu, z całej siły odtrącają ramieniem gracza, żeby opróżnić miejsce dla siebie. To tutaj specjalny szyk tych pań. Pan zapewne zwrócił na nie uwagę?

– O tak.

– Nie warto. Ku oburzeniu przyzwoitej publiczności, nie wyrzucają ich stąd, przynajmniej tych, które przy stole co dzień zmieniają pewnego pięknego ranka tysiącfrankowe banknoty. Zresztą, gdy tylko przestają zmieniać banknoty, natychmiast są proszone o opuszczenie kasyna. Mlle Zelma wciąż zmieniała banknoty; ale coraz nieszczęśliwiej. Niech pan zwróci uwagę, że te panie bardzo często grają szczęśliwie; w zadziwiający sposób umieją panować nad sobą. Zresztą, moje opowiadanie jest skończone. Pewnego razu, zupełnie tak samo jak księżę, zniknął i hrabia. Mlle Zelma przyszła wieczorem grać już sama; tym razem nikt się nie pokwapił z propozycją. W ciągu dwóch dni zgrała się ze szczętem. Postawiwszy ostatniego luidora i przegrawszy go, rozejrzała się wkoło i zobaczyła obok siebie barona Wurmerhelma,

²⁸ pewnego pięknego ranka

który przyglądał się jej uważnie i z głębokim oburzeniem. Ale mlle Zelma nie dostrzegła oburzenia i, zwróciwszy się do barona ze znaczącym uśmiechem, poprosiła, żeby postawił za nią dziesięć ludorów na czerwone. Z tego powodu, na skutek skargi baronowej, wieczorem zawiadomiono ją, by więcej nie pojawiała się w kasynie. Jeżeli pan się dziwi, że znam wszystkie te drobne i niezupełnie przyzwoite szczegóły, to muszę panu wyjaśnić, że dowiedziałem się o nich od mister Fiedera, pewnego mojego krewniaka, który owego wieczoru wywiózł mlle Zelmę swoim powozem z Ruletenburga do Spa.

Teraz niech pan zrozumie: mlle Blanche chce być generałową, zapewne po to, żeby na przyszłość nie otrzymywać takich zawiadomień, jak trzy lata temu od policji kasyna. Teraz już nie gra; ale to dlatego, że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, posiada kapitał, który wypożycza tutejszym graczom na procent. To znacznie pewniejsze. Podejrzewam nawet, że i nieszczęsny generał jest jej dłużnikiem. Możliwe, że i des Grioux jest jej dłużnikiem. Może jest jej współnikiem. Sam pan przyzna, że mlle Zelma ma słuszość, nie chcąc przed ślubem w jakikolwiek sposób zwrócić na siebie uwagi baronowej i barona. Słowem, w jej sytuacji najgorszą rzeczą byłby skandal. Pan zaś jest z ich domem związany i pańskie postępowanie mogło doprowadzić do skandalu, tym bardziej że ona co dzień pokazuje się pod rękę z generałem albo z miss Poliną. Teraz rozumie pan?

– Nie, nie rozumiem! – zawołałem, uderzając z całej siły pięścią w stół, aż przybiegł przestraszony kelner.

– Niech mi pan powie, mister Astley – powtórzyłem z uniesieniem – jeżeli pan już znał tę całą historię, a co za tym idzie, wiedział pan doskonale, kim jest mlle Blanche de Cominges, jak pan mógł nie uprzedzić choćby mnie, generała wreszcie, a co najważniejsze miss Poliny, która pokazywała się tu, w kasynie, pośród publiczności, z mlle Blanche pod rękę. Czy to możliwe?

– Nie miałem powodu pana uprzedzać, ponieważ pan nic nie mógł zrobić – odpowiedział spokojnie mister Astley. – A zresztą, o czym miałem uprzedzać? Generał może wie o mlle Blanche więcej niż ja, a jednak spaceruje z nią i z miss Poliną. Generał to człowiek nieszczęśliwy. Widziałem wczoraj, jak mlle Blanche galopowała na wspaniałym koniu z mr des Grioux i tym małym księciem rosyjskim, a generał na gniadym koniu jechał za nimi. Z rana mówił, że go bolą nogi, ale na koniu wyglądał dobrze. Otóż w tej właśnie chwili przyszło mi nagle na myśl, że to człowiek zupełnie zgubiony. Poza tym wszystko to nie moja sprawa i ja dopiero niedawno miałem zaszczyt poznać miss Polinę. A zresztą (mister Astley nagle się spostrzegł), powiedziałem już panu, że nie mogę mu przyznać prawa do zadawania mi niektórych pytań, mimo iż szczerze pana lubię...

– Dość – powiedziałem, wstając – teraz to dla mnie jasne jak dzień, że i miss Polina wie wszystko o mlle Blanche, ale nie może rozstać się ze swoim Francuzem i dlatego decyduje się na spacer z mlle Blanche. Niech mi pan wierzy, że nic innego nie zmusiłoby jej do spacerowania z mlle Blanche i błagania mnie w kartce, żebym pozostawił w spokoju barona. Tu właśnie musi tkwić ów wpływ, wobec którego wszystko ustępuje! A jednak przecież sama mnie pchnęła przeciwko baronowi! Niech to diabli wezmą, nic z tego nie mogę zrozumieć!

– Pan zapomina, po pierwsze, że ta mlle de Cominges to narzeczona generała, a po drugie, że miss Polina, pasierbica generała, ma małego braciszka i małą siostrzyczkę, rodzone dzieci generała, zupełnie zapomniane przez tego obłąkanego człowieka, a nawet, zdaje się, że i ograbione.

– Tak, tak! Tak jest! Odejść od dzieci – to znaczy zostawić je na pastwę losu, pozostać – znaczy bronić ich interesów, a może nawet uratować resztki majątku. Tak, tak, wszystko to prawda. A jednak, a jednak! O, ja rozumiem, dlaczego oni wszyscy tak się teraz interesują babką!

– Kim? – zapytał mister Astley.

– Tą starą wiedźmą w Moskwie, która nie umiera, z dnia na dzień czekają tu na depeszę, że umarła.

– No tak, naturalnie, całe zainteresowanie na niej się skupiło. Wszystko zależy od spadku! Jeżeli się okaże, że jest spadek, generał się ożeni; miss Polina również będzie miała rozwiązane ręce, a des Grioux...

– Cóż des Grioux?

– A des Grioux dostanie swoje pieniądze; on na to tylko tu czeka.

– Tylko na to? Pan sądzi, że on tylko na to czeka?

– Nic więcej nie wiem – z uporem rzekł mister Astley i milczał.

– A ja wiem, a ja wiem! – powtórzyłem z wściekłością. – On również czeka na spadek dlatego, że Polina otrzyma posag, a otrzymawszy pieniądze natychmiast rzuci mu się na szyję. Wszystkie kobiety są takie! Nawet najbardziej dumne spośród nich okazują się najpodlejszymi niewolnicami! Polina zdolna jest tylko namiętnie kochać, i nic więcej! Oto moje o niej mniemanie! Niech pan się jej przypatrzy, szczególnie kiedy siedzi sama, w zamyśleniu: to istota skazana, przeklęta! Zdolna do zniesienia wszystkich koszmarów życia i do wszystkich namiętności... ona... ona... ale kto mnie woła? – wykrzyknąłem nagle. – Kto to woła? Słyszałem, jak zawołano po rosyjsku: „Aleksy Iwanowiczu!” Kobięcy głos, słyszy pan, słyszy pan!

W owej chwili zbliżaliśmy się do naszego hotelu. Od dawna już, prawie tego nie zauważywszy, opuściliśmy kawiarnię.

– Słyszałem kobięcy głos, ale nie wiem, kogo wołają; to po rosyjsku; teraz widzę, skąd to nawoływanie – pokazał mister Astley – to woła ta kobieta, która siedzi w wielkim fotelu i którą niesie teraz tyłu lokai. Z tyłu niosą walizy, to znaczy, że pociąg przyjechał właśnie teraz.

– Ale dlaczego ona mnie wzywa? Znów woła; widzi pan, macha ręką w naszą stronę.

– Widzę, że macha – powiedział mister Astley.

– Aleksy Iwanowiczu! Aleksy Iwanowiczu! Ach, Boże, co to za gapa! – rozległy się rozpaczliwe okrzyki z podjazdu hotelowego.

Prawie podbiegliśmy do podjazdu. Wszedłem na taras i... ręce mi opadły ze zdumienia, a nogi wrosły w ziemię.

Na górnym tarasie szerokiego podjazdu hotelowego, wniesiona po schodach w fotelu i otoczona sługami, służącymi i liczną, uniżoną służbą hotelową, w obecności samego dyrektora, który wyszedł na spotkanie wysoko postawionej osobistości, przyjeżdżającej z takim trzaskiem i hałasem, z własną służbą i tyloma kuframi i walizami, siedziała – b a b c i a ! Tak, to była ona, groźna i bogata, siedemdziesięciopięcioletnia Antonida Wasiliewna Tarasiewiczew, właścicielka dóbr i wielka pani moskiewska, *la baboulinka*, przyczyna tylu wysłanych i otrzymanych depeesz, umierająca i nie umarła, i która nagle sama, osobiście zjawiła się tutaj, jak grom z jasnego nieba. Zjawiła się, chociaż ze sparaliżowanymi nogami, noszona, jak i zawsze w ciągu ostatnich pięciu lat, w fotelu, ale swoim zwyczajem żwawa, zapalczywa, zadowolona z siebie, trzymająca się prosto, krzycząca głośno i rozkazująco, wymyślająca wszystkim – no, kubek w kubek taka sama, jaką ją miałem zaszczyt widzieć dwa razy od czasu, jak wszedłem do generalskiego domu jako nauczyciel.

Naturalnie, stanąłem przed nią jak oniemiały. Ona zaś dostrzegła mnie swoim rysim wzrokiem już z odległości stu kroków, kiedy ją wnosili w fotelu. Poznała mnie i zawołała po imieniu, które, swoim zwyczajem, raz na zawsze zapamiętała. „I to ją spodziewali się ujrzyć w grobie, pochowaną i zostawiającą spadek – przemknęło mi przez głowę – ależ ona nas wszystkich i cały hotel przeżyje. Ale, Boże, co teraz będzie z generałem! Ona teraz cały hotel przewróci do góry nogami”.

– No, cóż pan stanął przede mną i oczy wybałuszył! – krzyczała na mnie babcia. – Cóż to, nie umiesz pan ukłonić się, przywitać? Alboś może zhardział, nie chcesz? Alboś może nie poznał? Słyszysz, Potapycz – zwróciła się do siwego staruszka we fraku, w białym krawacie i z różową łysiną, ochmistrza, towarzyszącego jej w podróży – słyszysz, nie poznaje! Pochowali! Depeszę za depeszą wysyłali: umarła czy nie umarła? Przecież ja wiem wszystko! A ja, widzisz, jestem zdrowa i cała.

– Ależ, na miłość Boską, Antonido Wasiliewno, dlaczegoż bym miał pani źle życzyć? – wesolem odpowiedziałem, przyszedłszy do siebie – byłem tylko zdziwiony... Jakże się nie dziwić, tak nieoczekiwanie...

– A cóż cię tak dziwi? Wsiadłam i pojechałam. W wagonie wygodnie, nie trzęsie. Byłeś na spacerze czy co?

– Tak, spacerowałem koło kasyna.

– Ładnie tutaj – odpowiedziała babka, rozglądając się – ciepło i drzewa bujne. To lubię! Nasi w domu? Generał?

– O! w domu, o tym czasie wszyscy na pewno są w domu.

– O, to oni mają tu ustanowione godziny i wszelkie ceremonie? Arystokracja. Konie trzymają, słyszałam, *les seigneurs russes*²⁹! Splukali się, więc za granicę! I Praskowia z nimi?

– Polina Aleksandrowna jest również.

– Francuzik? No, ale sama ich wszystkich zobaczę. Aleksy Iwanowiczu, prowadź prosto do niego. A tobie tutaj dobrze?

– Tak sobie, Antonido Wasiliewno.

²⁹ magnaci rosyjscy

– A ty, Potapycz, powiedz temu gapie, dyrektorowi, żeby mi dano wygodny pokój, ładny, nie wysoko, i zaraz tam sprowadź rzeczy. Po kiego licha wszyscy się pchają, żeby mnie nieść? Po co oni tu leżą? Co za niewolnicy! Kto to jest z tobą? – zwróciła się znowu do mnie.

– To mister Astley – odpowiedziałem.

– Cóż to za mister Astley?

– Podróżnik, mój dobry znajomy; zna się i z generałem.

– Anglik! Toteż tak mi się przyglądał i nawet ust nie otworzył. Zresztą, lubię Anglików. No, nieście na górę prosto do generała, do jego mieszkania; gdzie on tam?

Poniesiono babcię; szedłem na przedzie, po szerokich schodach hotelu. Pochód nasz był bardzo efektowny. Każdy, kto się nawinał, zatrzymywał się i patrzył wielkimi oczami. Nasz hotel jest uważany za najlepszy, najdroższy i najbardziej arystokratyczny w tym uzdrowisku. Na schodach i na korytarzach zawsze się spotyka wielkie damy i znakomitych Anglików. Wiele osób zasięgało informacji na dole, u dyrektora, który był również niezwykle przejęty. Naturalnie odpowiadał wszystkim pytającym, że to znakomita cudzoziemka, *une Russe, une comtesse, grande dame*³⁰, i że zajmie ten sam apartament, który tydzień temu zajmowała *la grande duchesse de N.*³¹ Rozkazujący i władczy wygląd babci, wnoszonej w fotelu, był główną przyczyną efektu. Przy spotkaniu z każdą nową twarzą natychmiast mierzyła ją ciekawym spojrzeniem i o wszystkich głośno mnie wypytywała. Była bardzo postawna i chociaż nie podnosiła się z fotela, patrząc na nią można się było domyślić, że jest bardzo wysoka. Siedziała wyprostowana jak deska i opierała się o fotel. Siwą dużą głowę o wydatnych i ostrych rysach trzymała do góry; patrzyła nawet jakoś wyniośle i wyzywająco; widać było, że jej spojrzenie i gesty są zupełnie naturalne. Pomimo siedemdziesięciu pięciu lat twarz jej była dość świeża i nawet zęby dość dobrze zachowane. Miała na sobie czarną jedwabną suknię i biały czepeczek.

– Ona mnie niezwykle interesuje – szepnął mi mister Astley, wchodząc razem ze mną na górę.

„O telegramach wie – pomyślałem – des Grioux jest jej także znajomy, ale o mlle Blanche, zdaje się, jeszcze mało słyszała”. – Zaraz powiedziałem o tym mister Astleyowi.

Podły charakter ludzki! Zaledwie minęło moje pierwsze zdziwienie, okropnie się ucieszyłem z piorunującego wrażenia, jakie zaraz wywrzemy na generale. Coś mnie jakby korciło i szedłem na przedzie nadzwyczaj wesoły.

Nasi mieszkali na drugim pięttrze; nie anonsowałem i nawet nie zapukałem do drzwi, lecz po prostu otworzyłem je na oścież i babcię wniesiono triumfalnie. Wszyscy, jakby naumyślnie, znajdowali się w gabinecie generała. Było południe i, zdaje się, projektowano jakąś wycieczkę – jedni mieli jechać powozami, inni konno, całą kompanią; byli też zaproszeni niektórzy ze znajomych. Oprócz generała, Poliny z dziećmi i ich niani, znajdowali się w gabinecie: des Grioux, mlle Blanche, znów w amazonce, jej matka, madame veuve Cominges, mały książe i jeszcze jakiś uczony podróżnik, Niemiec, którego kiedyś u nich widziałem. Fotel babki postawiono pośrodku gabinetu, o trzy kroki od generała. Boże, nigdy nie zapomnę tego wrażenia! Przed naszym wejściem generał coś opowiadał, a des Grioux go poprawiał. Trzeba dodać, że mlle Blanche i des Grioux już ze dwa, trzy dni, nie wiadomo dlaczego, nadskakowali małemu księciu – *à la barbe du pauvre général*³², i towarzystwo, chociaż może sztucznie, ale było nastrojone na jak najweselszy i serdecznie familiarny ton. Na widok babki generał nagle osłupiał, otworzył usta i urwał w połowie słowa. Spoglądał na

³⁰ Rosjanka, hrabina, wielka dama

³¹ wielka księżna de N.

³² pod samym nosem biednego generała

nią, wytrzeszczając oczy, jakby zaczarowany spojrzeniem bazyliuszka. Babka również patrzyła na niego w milczeniu, nieruchomo – ale cóż to było za triumfalne, wyzywające i szydercze spojrzenie! Patrzyli tak na siebie bitych dziesięć sekund wśród głębokiego milczenia całego towarzystwa. Des Grieux z początku zdrętwiał, ale wkrótce niezwykle niepokój pojawił się na jego twarzy. Mlle Blanche podniosła brwi, otworzyła usta i z przerażeniem przypatrywała się babce. Księżę i uczonego w głębokim zdziwieniu obserwowali całą tę scenę. W oczach Poliny pojawił się wyraz niezwyklego zdziwienia i zaskoczenia, lecz nagle zbladła jak płótno; po chwili krew szybko uderzyła jej do twarzy i zalała policzki. Tak, to była katastrofa dla wszystkich! Co do mnie, to tylko przenosiłem wzrok z babki na wszystkich otaczających i z powrotem. Mister Astley stał z boku, swoim zwyczajem spokojnie i grzecznie.

– Otóż jestem! Zamiast depezy – palnęła w końcu babka, przerywając milczenie. – Cóż, nie spodziewaliście się?

– Antonido Wasiliewno... cioteczko... ależ w jaki sposób... – wybełkotał nieszczęśliwy generał. Gdyby babka milczała jeszcze kilka sekund, pewno dostałby ataku apopleksji.

– Jak to w jaki sposób? Wsiadłam i pojechałam. A kolej żelazna to na co? A wyście wszyscy myśleli, że ja już nogi wyciągnęłam i zostawiłam dla was spadek? Wiem przecież, jakież ty stąd depezy wysyłał! Ile pieniędzy musiałeś za nie zapłacić! Stąd drogo. A ja raz, dwa – i jestem tutaj. To ten Francuz? Monsieur des Grieux?

– *Oui, madame* – podchwycił des Grieux – *et croyez, je suis si enchanté... votre santé.. c'est un miracle... vous voir ici... une surprise charmante...*³³

– Otóż to, charmante; znam ja ciebie, francie jakiś, i nawet tyle ci nie wierzę! – I pokazała mu koniec paznokcia. – A to co za jedna?

– odwróciła się, wskazując na mlle Blanche. Efektowna Francuzka, w amazonce, ze szpicrutą w ręku, widocznie ją zainteresowała. – Tutejsza czy jak?

– To mlle Blanche de Cominges, a to jej mama, madame de Cominges; mieszkają w tutejszym hotelu – zakomunikowałem.

– Córka zameżna? – rozpytywała babka bez ceremonii.

– Mlle de Cominges jest panną – odpowiedziałem z jak największym szacunkiem.

– Wesola?

Nie zrozumiałem pytania.

– Nie nudno z nią? Po rosyjsku rozumie? Ot, des Grieux u nas w Moskwie nauczył się po naszymu piąte przez dziesiąte.

Wyjaśniłem jej, że mlle de Cominges nigdy nie była w Rosji.

– *Bonjour*³⁴ – powiedziała babka, nagle ostro zwracając się do mlle Blanche.

– *Bonjour, madame* – ceremonialnie i wytwornie dygnęła mlle Blanche, starając się pod pokrywką niezwyklej skromności i grzeczności okazać w wyrazie twarzy i w ruchach nadzwyczajne zdziwienie z racji tak niezwyklego pytania i zachowania się babci.

– O, oczy spuściła, zmanierowana i ceremoniantka; zaraz widać, co za ptaszek; aktorka jakaś. Ja tu stanęłam na dole w hotelu – zwróciła się nagle do generała. – Będziemy sąsiadowali, cieszysz się?

– O, cioteczko! Proszę wierzyć szczerym uczuciom... mej radości – podchwycił generał. Trochę się już opamiętał, a ponieważ w potrzebie umiał mówić zręcznie, uroczyście i z pretensjami do pewnej efektowności, więc i teraz zaczął się popisywać. – Byliśmy tak zaniepokojeni i przygnębieni wiadomością o chorobie cioteczki... otrzymaliśmy takie beznadziejne depezy i nagle...

³³ Tak, proszę pani (...) i niech mi pani wierzy, jestem po prostu zachwycony... pani zdrowie to istny cud... widzieć panią tutaj... cóż za urocza niespodzianka.

³⁴ Dzień dobry!

– No, łżesz, łżesz! – przerwała natychmiast babcia.

– Ale jakże – również czym prędzej przerwał i podniósł głos generał, starając się nie zauważyć tego: „łżesz” – jakże cioteczka zdecydowała się na taką podróż? Sama cioteczka przyzna, że przy jej latach i zdrowiu... w każdym razie, wszystko to jest tak nieoczekiwane, że nasze zdziwienie jest zrozumiałe. Ale tak się cieszę... I my wszyscy (tu zaczął przymilnie, z zachwytem się uśmiechać), i my wszyscy będziemy się ze wszystkich sił starali, aby bieżący sezon był dla cioteczki jak najprzyjemniejszy...

– No, dość tego; głupia gadanina; naplotłeś, swoim zwyczajem; sama sobie dam radę. Zresztą od was nie stronię; złego nie pamiętam. W jaki sposób, pytasz? A cóż w tym dziwnego? W jak najprostszy sposób. I czemu się oni dziwią. Jak się masz, Praskowia! Co ty tutaj robisz?

– Dzień dobry, babciu – powiedziała Polina, zbliżając się do niej. – Od dawna w podróży?

– O, ta to zapytała mądrzej niż wszyscy, bo tamci wciąż tylko: ach i ach! Otóż widzisz: leżałam i leżałam, leczyli i leczyli, przepędziłam doktorów i zawołałam zakrystiana od Nikoły. On z takiej samej choroby jedną babę wyleczył paprochami z siana. No i mnie pomógł; na trzeci dzień dostałam potów i wstałam z łóżka. Potem znów zebrali się moi Niemcy, nałożyli okulary i zaczęli radzić; „Żeby teraz, powiadają, za granicę, na wody pojechać, to zupełnie przeszłoby to duszenie w piersiach”. Dlaczego by nie, myślę sobie; głupcy zaczęli jęczeć: „Jakże pani, powiadają, dojedzie!” No i masz! W jeden dzień się zebrałam i w zeszłym tygodniu, w piątek zabrałam dziewczynę, Potapycza i lokaja Fiodora, a tego Fiodora to wypędziłam w Berlinie, bo widzę, że całkiem mi go nie potrzeba, sama jedna też bym dojechała... Przedział biorę osobny, a tragarze są na wszystkich stacjach, za parę groszy wszędzie zaniosą. O, jakie to apartamenty zajmujecie! – zakończyła, rozglądając się. – Za jakie to pieniądze, mój drogi? Przecież wszystko masz zastawione. Ileś winien choćby tylko Francuzowi! Ja przecież wiem wszystko, wszystko!

– Ja, cioteczko... – zaczął generał skonfundowany – dziwię się, cioteczko... zdaje się, że mogę bez czyjejkolwiek kontroli... przy tym moje rozchody nie przewyższają moich środków i my tutaj...

– Nie przewyższają? No wiesz! Dzieciom jużes pewno ostatnie grosze zrabował, opiekun!

– Wobec tego, po takich słowach... – zaczął generał z oburzeniem – już nie wiem...

– Otóż to, nie wiesz! A tu pewno od ruletki nie odchodzisz? Spłukałeś się ze wszystkim?

Generał był tym tak uderzony, że omal się nic udławił skutkiem nadmiaru wzburzonych uczuć.

– Na ruletce! Ja? Z moim stanowiskiem... Ja? Niechże się cioteczka opamięta. Cioteczka widocznie jeszcze jest niezdrowa...

– No, łżesz, łżesz; na pewno nie mogą cię odciągnąć; wszystko łżesz! A ja jeszcze dzisiaj przyjrę się, co to takiego ta ruletka. Praskowia, powiedz mi, gdzie i co się tutaj ogląda, Aleksy Iwanowicz wszystko mi pokaże, a ty, Potapycz, zapisuj, dokąd trzeba pojechać. Co tutaj się ogląda? – zwróciła się znowu nagle do Poliny.

– Niedaleko stąd są ruiny zamku, poza tym Schlangenberg.

– Co to takiego Schlangenberg? Las czy co?

– Nie, nie las, to góra... tam jest *pointe*...

– Co za *pointe* ?

– Najwyższy punkt na tej górze, miejsce ogrodzone. Stamtąd jest nieporównany widok.

– Na górę trzeba fotel nieś? Zaniosą czy nie?

– O, tragarzy można znaleźć – odpowiedziałem.

Wtedy podeszła przywitać się z babcią niańka Fiedosja i przyprowadziła dzieci generała.

– No, nie trzeba się całować! Nie lubię się całować z dziećmi: wszystkie dzieci są zasmarkane. No, a ty jak się czujesz, Fiedosja?

– Tu bardzo, bardzo dobrze, proszę jaśnie wielmożnej pani – odpowiedziała Fiedosja. – A jak wielmożna pani? Takeśmy się o wielmożną panią martwili.

– Wiem, prosta z ciebie dusza. Cóż to u was, wszystko goście czy co? – zwróciła się znów do Poliny. – A to kto, ten brudas w okularach?

– Książę Nilski – szepnęła jej Polina.

– O, Rosjanin? A ja myślałam, że nie zrozumie. Może nie dosłyszał! Mister Astleya już widziałam. A otóż i on – zobaczyła go babka – dzień dobry panu! – zwróciła się nagle do niego.

Mister Astley skłonił się jej w milczeniu.

– No, co mi pan dobrego powie? Niechże pan coś powie! Przetłumacz mu to, Polina.

Polina przetłumaczyła.

– Powiem, że spoglądam na panią z wielkim zadowoleniem i cieszę się, że jest pani w dobrym zdrowiu – poważnie, lecz z niezwykłą uprzejmością odparł mister Astley. Przetłumaczono to babci i widocznie spodobało się jej.

– Jak Anglicy zawsze dobrze odpowiadają – zauważyła. – Nie wiem dlaczego, zawsze jakoś lubiłam Anglików, ani porównania nie ma z Francuzami! Niech pan do mnie przyjdzie – zwróciła się znów do mister Astleya. – Będę się starała nie utrudzić pana zbyt. Przetłumacz mu to i powiedz, że ja tu mieszkam na dole, tutaj, na dole, słyszy pan, na dole, na dole – powtarzała mister Astleyowi wskazując palcem na dół.

Mister Astley był nadzwyczaj zadowolony z zaproszenia.

Babcia uważnym i powolnym spojrzeniem obejrzała od stóp do głów Polinę.

– Kochałabym ciebie, Praskowia – powiedziała nagle – dobra z ciebie dziewczyna, lepsza od nich wszystkich, a i charakter masz – ho-ho! No, ja też mam charakter; odwróć no się; czy to podkładkę masz we włosach?

– Nie, babciu, własne.

– Otóż to, nie lubię terazniejszej głupiej mody. Bardzo ładna. Zakochałabym się w tobie, żebym była kawalerem. Dlaczego za męża nie wychodzisz? Ale czas na mnie. I chciałoby się pospacerować, bo wciąż tylko wagon i wagon... No cóż, wciąż jeszcze się gniewasz? – zwróciła się do generała.

– Ależ, cioteczko, doprawdy! – spostrzegł się generał z rozradowaniem – przecież rozumiem, że na cioteczki lata...

– *Cette vieille est tombée en enfance*³⁵ – szepnął do mnie des Grioux.

– Chcę się tutaj rozejrzeć. Odstąpisz mi Aleksego Iwanowicza? – ciągnęła babka.

– O, naturalnie, ale i ja sam... i Polina, mr des Grioux. My wszyscy, wszyscy uważalibyśmy za wielką przyjemność towarzyszyć cioteczce...

– *Mais, madame, cela sera un plaisir...*³⁶ – nawinął się des Grioux z miną pochlebcy.

– Otóż to, *plaisir*. Śmieszny jesteś dla mnie, mój panie. A pieniędzy to ja ci nie dam – dodała nagle, zwracając się do generała.

– No, teraz do siebie, do numeru: trzeba obejrzeć, a później wszędzie pójdziemy. No, podnoście.

Babcię znów podniesiono i wszyscy tłumnie udali się za fotelem na dół. Generał szedł, jakby oszołomiony uderzeniem pałki w głowę. Des Grioux coś kombinował. Mlle Blanche miała ochotę zostać, ale z jakiegoś powodu zdecydowała się pójść wraz ze wszystkimi. Za nią

³⁵ Ta stara zupełnie dziecięciniała.

³⁶ Ależ, proszę pani, będzie to doprawdy przyjemność

poszedł zaraz i książkę, i na górze w mieszkaniu generała pozostał tylko Niemiec i madame veuve Cominges.

10

U wód – a nawet, zdaje się, w całej Europie – zarządzający hotelami szefowie recepcji przy odnajmowaniu pokoi gościom kierują się nie tyle ich żądaniami i wymaganiami, ile własną obserwacją i, trzeba zauważyć, rzadko się myślą. Ale dla babci, nie wiadomo dlaczego, przeznaczyci tak wspaniałe apartamenta, że aż przesolili: cztery wspaniałe urządzone pokoje, z wanną, z pomieszczeniem dla służby, z osobnym pokojem dla garderobianej itd., itd. Istotnie, pokoje te tydzień temu zajmowała jakaś *grande duchesse*³⁷, o czym, naturalnie, zaraz się powiadomiło nowo przybyłych, żeby jeszcze bardziej podnieść cenę apartamentu. Babkę poniesiono, a raczej powieziono przez wszystkie pokoje, a ona oglądała je uważnie i surowo. Szef recepcji, człowiek już starszy, łysy, z szacunkiem towarzyszył jej przy tych oględzinach.

Nie wiem, za kogo oni wzięli babcię, ale zdaje się, że za jakąś nadzwyczajną znakomitość i, co najważniejsze, ogromnie bogatą. Do książki natychmiast wpisali: *Madame la générale, princesse de Tarassevitcheva*, chociaż babka nigdy nie była księżną. Własna służba, własny przedział w wagonie, mnóstwo niepotrzebnych waliz, tłumoków, a nawet kufrów, które przyjechały wraz z babcią, widocznie posłużyły za podstawę jej autorytetu; a fotel, ostry ton głosu babci, jej ekscentryczne pytania, zadawane jak najbezceremonialniej i z miną nie znoszącą sprzeciwu, cała jej postać – prosta, szorstka, rozkazująca – wszystko to było powodem powszechnego hołdu dla niej. Podczas oględzin babcia niekiedy rozkazywała, aby się zatrzymać, wskazywała jakiś przedmiot w umeblowaniu i zwracała się z nieoczekiwanymi pytaniami do uśmiechającego się z uszanowaniem, ale zaczynającego już tchórzyć szefa recepcji.

Babcia zadawała pytania po francusku, którym to językiem władała zresztą dość słabo, toteż zwykle tłumaczyłem jej słowa. Odpowiedzi szefa recepcji po większej części nie podobały się jej i wydawały się niezadowolające. A i pytała wciąż jakby nie o mieszkanie, lecz Bóg raczy wiedzieć o co. Na przykład zatrzymywała się nagle przed obrazem – dość słabą kopią jakiegoś znanego oryginału o temacie mitologicznym.

– Czyj portret?

Szef oświadczył, że zapewne jakiejś hrabiny.

– Jakże to, nie wiesz? Mieszkasz tu, a nie wiesz. Dlaczego on jest tutaj? Dlaczego ma oczy zezowate?

Na wszystkie te pytania szef nie mógł dać zadowolającej odpowiedzi, i nawet się zmieszał.

– A to bałwan! – powiedziała babka po rosyjsku.

Poniesiono ją dalej. Ta sama historia powtórzyła się z pewną saską statuetką, którą babcia długo oglądała, a później kazała wynieść, nie wiadomo dlaczego. W końcu przyczepiła się do szefa: ile kosztowały dywany w sypialni i gdzie są tkane? Szef obiecał się dowiedzieć.

– A to osły! – mruzczała babcia i skupiła całą uwagę na łóżku.

– Co za wspaniałe baldachim! Zdejmijcie kołdrę.

Kołdrę zdjęto.

– Jeszcze, jeszcze, wszystko. Zdejmijcie poduszki, powłoczki, podnieście pierzynę.

Wszystko przewrócono. Babka obejrzała uważnie.

³⁷ wielka księżna

– Dobrze, że tu pluskiew nie ma. Wyrzućcie wszystką bieliznę! Posłać moją bieliznę i moje poduszki. Ale wszystko to zbyt wspaniałe, po co mnie, starej, takie mieszkanie: nudno samej. Aleksy Iwanowiczu, odwiedzaj mnie często, jak tylko skończysz lekcje z dziećmi.

– Od wczoraj już nie jestem w domu generała – odpowiedziałem – i mieszkam w hotelu zupełnie samodzielnie.

– A to dlaczego?

– W tych dniach przyjechał tu pewien Niemiec, baron z baronową, swoją żoną, z Berlina. Wczoraj na spacerze odezwałem się do niego po niemiecku, nie zachowując berlińskiego akcentu.

– No więc cóż z tego?

– Uznał to za zuchwalstwo i poskarżył się generałowi, a generał wczoraj zwolnił mnie z posady.

– A cóż to, zwymyślałeś go, tego barona, czy co? (Chociażbyś i zwymyślał, to nic!)

– O, nie. Przeciwnie, to baron podniósł na mnie łaskę.

– I ty, niedołęgo, pozwoliłeś, żeby się tak obchodzono z twoim nauczycielem – babcia zwróciła się nagle do generała – i jeszcze go z miejsca wypędził! Niedołęgi z was – wszyscyście, jak widzę, niedołęgi.

– Niech się cioteczka nie niepokoi – odpowiedział generał z pewnym wyniośle-familijnym odcieniem w głosie – sam umiem załatwiać swoje sprawy. W dodatku Aleksy Iwanowicz niezupełnie ściśle wszystko cioteczce opowiedział.

– A tyś to zniósł? – zwróciła się do mnie.

– Chciałem wyzwać barona na pojedynek – odpowiedziałem możliwie jak najskromniej – ale generał się temu sprzeciwił.

– Czemuś się sprzeciwił? – zapytała znów babcia generała. – A ty idź już sobie, przyjdiesz, kiedy się ciebie zawoła – zwróciła się także i do szefa recepcji – nie ma co tutaj stać z otwartą gębą. Nie mogę znieść tego norymberskiego tałałajstwa! – Szef ukłonił się i wyszedł, naturalnie nie zrozumiawszy komplementu babki.

– Ależ, cioteczko, czyż pojedynki są dopuszczalne? – z uśmiechem odpowiedział generał.

– A dlaczegoż by miały być niedopuszczalne? Wszyscy mężczyźni to koguty; niechże więc się czubią. Niedołęgi z was wszystkich, jak widzę, nie umiecie dbać o dobre imię swojej ojczyzny. No, podnieście mnie! Potapycz, wydaj rozporządzenie, żeby zawsze byli gotowi dwaj tragarze, wynajmij i umów się. Więcej niż dwóch nie trzeba. Nieść trzeba tylko po schodach, a po gładkim, po ulicy – popychać, tak też im powiedz; a zapłać z góry, będą się odnosić z większym szacunkiem. Ty sam będziesz zawsze przy mnie, a ty, Aleksy Iwanowiczu, pokaż mi tego barona, na spacerze: cóż to za fon-baron taki, trzeba się mu chociaż przypatrzeć. No, a gdzie ta ruletka?

Poinformowałem, że stoły z ruletką znajdują się w kasynie, w salonach. Później posypały się pytania: czy dużo ich jest? czy dużo grają? czy grają przez cały dzień? jak to jest urządzone? Odpowiedziałem w końcu, że najlepiej zobaczyć to na własne oczy, bo tak opisywać jest dość trudno.

– No, to nieść mnie prosto tam! Idź naprzód, Aleksy Iwanowiczu!

– Jak to, czyżby naprawdę, cioteczko, ależ trzeba trochę odpocząć po podróży! – troskliwie powiedział generał. Trochę jakby się zmieszał, a i wszyscy jakoś byli zakłopotani i zaczęli na siebie spoglądać porozumiewawczo. Zapewne było to dla nich trochę drażliwe, nawet wstyd im było towarzyszyć babce do kasyna, gdzie, naturalnie, mogła narobić jakichś ekscentryczności, ale już publicznie; a tu tymczasem sami zaofiarowali się jej ze swoim towarzystwem.

– A po co mam odpoczywać? Nie jestem zmęczona; i tak przez pięć dni siedziałam. A później zobaczymy, jakie tu są źródła i wody uzdrawiające, i gdzie się znajdują. A później... jakże mu tam – tyś mówiła, Praskowia – *pointe* czy jak?

– *Pointe*, babciu.

– Ano jak *pointe*, to *pointe*. A co tu jeszcze jest?

– Tu jest wiele ciekawych rzeczy, babciu – odpowiedziała z zakłopotaniem Polina.

– E, sama nie wiesz! Marfa, ty też ze mną pójdziesz – powiedziała do garderobianej.

– Ale po cóż to, cioteczko? – zatroszczył się nagle generał – i wreszcie tak nie można, nawet Potapycza nie wiadomo czy wpuszczą do kasyna.

– Głupstwa! Że sługa, więc mam ją porzucić! Przecież to też żywy człowiek, już cały tydzień tłuczemy się w drodze, a i ona też chciałaby coś niecoś zobaczyć. Z kimże pójdzie, jeśli nie ze mną? Sama nawet nosa na ulicę nie wytknie.

– Ależ, babciu...

– Cóż to, wstyd ci iść ze mną czy co? To zostań w domu, nikt cię nie prosi. Widzisz go, jaki generał; ja też jestem generałowa. Właściwie, po co mam taki ogon wlec za sobą? Z Aleksym Iwanowiczem sama wszystko obejrzę...

Ale des Grioux zdecydowanie obstawał, żeby wszyscy jej towarzyszyli, i zaczął prawie wyszukane grzeczności o tym, jak miło będzie wszystkim jej towarzyszyć itd., itd. Wszyscy się ruszyli.

– *Elle est tombée en enfance* – powtarzał des Grioux generałowi – *seule, elle fera des bêtises...*³⁸ – dalej nie dosłyszałem, ale on widocznie miał jakieś zamiary, a może nawet odzyskał nadzieję.

Do kasyna było około pół wiorsty. Droga wiodła przez aleję kasztanową do skweru, który trzeba było okrążyć, ażeby wyjść wprost na kasyno. Generał trochę się uspokoił, bo chociaż pochod nasz był nieco ekscentryczny, niemniej wyglądał poważnie i przyzwoicie. Nic zresztą dziwnego nie było w tym, że u wód zjawiała się osoba chora, osłabiona i sparaliżowana. Ale widocznie generał obawiał się kasyna: po cóż człowiek chory, sparaliżowany, a do tego staruszka, ma iść na ruletkę? Polina i mlle Blanche szły koło niej, obok fotela na kółkach. Mlle Blanche śmiała się, była skromnie wesola i nawet bardzo uprzejmie żartowała chwilami z babcią, która w końcu ją pochwaliła. Polina z drugiej strony obowiązana była odpowiadać co chwila na niezliczone pytania babci w rodzaju: kto to przeszedł? co to za jedna przejechała? czy to duże miasto? czy to duży ogród? jakie to drzewa? jakie to góry? czy tu latają orły? cóż to za śmieszny dach? Mister Astley szedł obok mnie i szepnął mi, że wiele się spodziewa tego ranka. Potapycz i Marfa szli z tyłu, tuż za fotelem – Potapycz we fraku i w białym krawacie, ale w czapce, a Marfa, czterdziestoletnia, rumiana, ale zaczynająca już siwieć stara panna – w czepku, w perkalikowej sukni i w skrzypiących koźlich trzewikach. Babcia bardzo często odwracała się do nich i zagadywała. Des Grioux i generał pozostali trochę w tyle i rozmawiali o czymś gorączkowo. Generał zmarkotniał; des Grioux mówił z miną zdecydowaną. Możliwe, że dodawał otuchy generałowi; widocznie coś doradzał. Ale babcia już złożyła niedawno doniosłe oświadczenie: „Pieniądzy ci nie dam.” Może dla des Grioux ta wiadomość wydawała się nieprawdopodobna, ale generał znał swoją ciotkę. Zauważyłem, że des Grioux i mlle Blanche w dalszym ciągu porozumiewali się wzrokiem. Księcia i Niemca-podróżnika zauważyłem dopiero w końcu alei; zostali za nami i dokądś odeszli.

Do kasyna przybyliśmy uroczyście. Szwajcar i tokaje okazali ten sam szacunek, co i służba hotelowa. Spoglądali jednak z ciekawością. Babka najpierw kazała się obnieść po

³⁸ Ona zupełnie zdzieciniała (...) sama - narobi głupstw...

wszystkich salach; jedno pochwaliła, na inne zaś pozostała całkowicie obojętna; o wszystko się wypytywała. Wreszcie doszliśmy do sal gry. Lokaj, stojący na straży przy zamkniętych drzwiach, jak porażony otworzył nagle drzwi na oścież.

Pojawienie się babki na ruletce sprawiło na obecnych głębokie wrażenie. Przy stołach ruletki i na drugim końcu sali, gdzie był stół do gry w *trente et quarante*, tłoczyło się stu pięćdziesięciu do dwustu graczy, w kilku rzędach. Ci, którzy zdołali się precyzyjnie do stołu, zwykle trzymali się mocno i nie opuszczali swoich miejsc, dopóki nie przegrali wszystkiego; bo stać jako zwykły widz i niepotrzebnie zajmować miejsce przy grze nie wolno. Chociaż przy stole są krzesła, ale niewielu graczy siada, zwłaszcza przy dużym napływie publiczności – dlatego, że stojąc, więcej osób może się pomieścić, a co za tym idzie, łatwiej o miejsce i wygodniej stawiać. Drugi i trzeci rząd cisnął się za pierwszym, oczekując i pilnując swojej kolei; ale w niecierpliwości wyciągano niekiedy ręce nad głowami pierwszego rzędu, żeby postawić stawki. Nawet z trzeciego rzędu stawiano niekiedy w ten sposób; to było przyczyną, że co dziesięć, a nawet co pięć minut przy którymś końcu stołu powstawała „heca” o sporne stawki. Policja kasyna funkcjonuje zresztą dość sprawnie. Tłoku, naturalnie, niepodobna uniknąć; przeciwnie, z napływu publiczności bardzo się tu cieszą, bo to dla nich bardzo dogodnie; ale ośmiu krupierów, siedzących dookoła stołu, jak najbaczniej uważa na stawki: oni załatwiają wypłaty, a gdy powstają spory, oni też je rozstrzygają. W wyjątkowych zaś wypadkach wzywają policję i sprawa zostaje załatwiona w jednej chwili. Policjanci znajdują się na miejscu, w sali, w cywilnych ubraniach, toteż nawet poznać ich nie można. Uważają specjalnie na złodziejasków i aferzystów, których na ruletce jest szczególnie wielu ze względu na niezwykle sprzyjające warunki. Istotnie, wszędzie indziej kraść trzeba z kieszeni albo spod klucza – a to, w razie niepowodzenia, kończy się bardzo nieprzyjemnie. Tu zaś po prostu wystarczy tylko podejść do ruletki, zacząć grać i nagle, jawnie i bez wahania zabrać cudzą wygraną i schować do kieszeni; a jeżeli powstaje spór, to łajdaczyzna głośno i bezczelnie twierdzi, że stawka należy do niego. Jeżeli to jest zrobione zręcznie i świadkowie wahają się, złodziejowi bardzo często udaje się przywłaszczyć sobie pieniądze, naturalnie, jeżeli suma nie jest zbyt wysoka. Jeśli bowiem suma jest wysoka, krupier na pewno dostrzeże był stawkę albo też uczynił to wcześniej jeszcze ktoś z graczy. Ale jeżeli suma nie jest zbyt wysoka, prawy właściciel niekiedy nawet zrzeka się dalszego prowadzenia sporu, bojąc się skandalu, i odchodzi. Ale jeżeli uda się złodzieja schwytać na gorącym uczynku, natychmiast wyrzucają go ze skandalem.

Wszystkiemu temu babcia przyglądała się z daleka z niezwykłą ciekawością. Bardzo jej się podobało, że złodziejasków wyrzucają. *Trente et quarante* mało ją zainteresowało; bardziej podobała się jej ruletka i to, że kulka się kręci. Zapragnęła w końcu bliżej przyjrzeć się grze. Nie rozumiem, jak to się stało, ale lokaje i pewni inni nadskakujący osobnicy (przeważnie splekani Polacy, narzucający swoje usługi szczęśliwym graczom i wszystkim cudzoziemcom) pomimo całego tego ścisku natychmiast znaleźli i opróżnili dla babki miejsce przy samym środku stołu, obok głównego krupiera, i popchnęli tam jej fotel. Wielu gości, którzy nie grali, lecz tylko z boku przyglądali się grze (przeważnie Anglicy ze swoimi rodzinami), natychmiast przysunęli się do stołu, żeby spoza grających przyjrzeć się babce. Mnóstwo lornetek skierowano w jej stronę. Krupierom zaświtała nadzieja: taki ekscentryczny gracz rzeczywiście jakby zapowiadał coś niezwykłego. Siedemdziesięciopięcioletnia kobieta, sparaliżowana i pragnąca grać – naturalnie, to niecodzienne zdarzenie. Potapycz i Marfa zostali gdzieś daleko z boku, wśród tłumu. Generał, Polina, des Grieux i mlle Blanche również ulokowali się z boku wśród widzów.

Babcia zaczęła najpierw przyglądać się graczom. Zadawała mi ostre, urywane pytania półszepem: kto to taki? co to za jedna? Szczególnie jej się podobał w końcu pewien

młodziutki mężczyzna, który grał bardzo grubo, stawiał tysiącami i był wygrany, jak szeptano dokoła, już do czterdziestu tysięcy franków, leżących przed nim kupą, w złocie i banknotach. Był blady, oczy mu błyszczały i ręce się trzęsły; stawiał już całkiem bez rachuby, ile ręka zagarnie, i wciąż wygrywał i wygrywał, zgarniał i zgarniał. Lokaje kręcili się wokół niego, przysunęli mu fotel, opróżnili miejsce dokoła, żeby mu było wygodniej, żeby się koło niego nie tłoczono – wszystko to w nadziei na jego hojną wdzięczność. Niektórzy gracze dają im czasem z wygranej nie licząc, tak po prostu, z radości, ile ręka zagarnie z kieszeni. Obok młodzieńca już usadowił się jakiś nadskakujący ze wszystkich sił Polaczek, który z uszanowaniem, ale bezustannie szeptał coś do niego, zapewne pokazując mu, jak ma stawiać, doradzając i kierując grą – rozumie się, również w nadziei na wynagrodzenie. Ale gracz prawie na niego nie patrzył, stawiał i wciąż zgarniał. Wyraźnie tracił głowę.

Babka obserwowała go przez kilka minut.

– Powiedz mu – zatroskała się nagle, trącając mnie – powiedz mu, żeby przestał, żeby zabrał czym prędzej pieniądze i uciekał. Przegra zaraz wszystko, przegra! – zawołała omal nie tracąc tchu ze wzruszenia. – Gdzie Potapycz? Posłać do niego Potapycza! Powiedz mu, powiedz mu – trącała mnie – ale gdzie jest, doprawdy Potapycz! *Sortez! Sortez!*³⁹ – zaczęła wołać do młodzieńca. Nachyliłem się ku niej i stanowczym tonem szepnąłem, że tu nie wolno tak krzyżeć, a nawet nieco głośniej rozmawiać, dlatego że to przeszkadza w liczeniu, i że nas zaraz wyproszą.

– Co za okropność! Zgubiony człowiek! Widać, sam tego chce... nie mogę patrzeć na niego, wciąż stawia. Co za gapa! – i babka czym prędzej odwróciła się w inną stronę.

Tam, z lewej strony, przy drugiej połowie stołu, pośród graczy można było dostrzec pewną młodą osobę i obok niej jakiegoś karzełka. Kim był ten karzełek – nie wiem: jej krewnym czy też tak go tylko brała, dla efektu. Tę panią zauważyłem już dawniej; zjawiała się przy stole gry codziennie, o pierwszej w południe, i wychodziła punktualnie o drugiej; codziennie grała tylko godzinę. Znali ją już i natychmiast przysuwali jej fotel. Wyjmowała z kieszeni trochę złota, kilka tysiącfrankowych banknotów i zaczynała stawiać spokojnie, z zimną krwią, z wyrachowaniem, notując ołówkiem na kartce cyfry i starając się odnaleźć system, według którego w danej chwili grupowały się szanse. Stawiała dość wysoko. Wygrywała codziennie jeden, dwa, co najwyżej trzy tysiące franków – nie więcej, i natychmiast po wygraniu odchodziła. Babka długo ją obserwowała.

– No, ta nie przegra! Tak, ta nie przegra! Jakiej narodowości? Nie wiesz? Kto to taki?

– Zapewne Francuzka – szepnąłem.

– Aha, zaraz można poznać ptaszka po locie. Widać, że pazurki ostre. Wyjaśnij mi teraz, co znaczy każdy obrót i jak należy stawiać.

W miarę możliwości wyjaśniłem babci, co oznaczają te różnorodne kombinacje stawek, *rouge et noir, pair et impair, manque et passe*, i wreszcie różne odcienie w systemie numerów. Babcia słuchała uważnie, starała się zapamiętać, zadawała pytania i uczyła się. Można tu było dać naoczny przykład każdego systemu stawek, toteż nauka szła bardzo łatwo i prędko. Babcia była najzupełniej zadowolona.

– A co to takiego *zero*? O, ten krupier, ten kędzierzawy, główny, zawołał teraz *zero*! I dlaczego zagarnął wszystko, co było na stole? Takie mnóstwo pieniędzy, wszystko wziął dla siebie? Co to takiego?

– *Zero*, Antonido Wasiliewno, to wygrana banku. Jeżeli kulka padnie na *zero*, to wszystko, cokolwiek postawiono, należy do banku, bez rachowania. Wprawdzie pozwala się jeszcze rozegrać niektóre stawki, ale za to bank nic nie płaci.

³⁹ Niech pan stąd wyjdzie! Niech pan stąd wyjdzie!

– A to dopiero! Więc ja nic nie dostaję?

– Nie, proszę pani, jeżeli pani przedtem postawiła na *zero*, to zapłacą pani trzydzieści pięć razy więcej.

– Co, trzydzieści pięć razy, i często wychodzi? Czemuż ci głupcy nie stawiają?

– Trzydzieści sześć szans przeciwko jednej, proszę pani.

– Co za głupstwa! Potapycz! Potapycz! Czekaj, ja mam pieniądze – o! – Wyciągnęła z kieszeni suto naładowaną sakiewkę i wyjęła z niej friedrichsdora. – Masz, postaw natychmiast na *zero*.

– Ale Antonido Wasiliewno, *zero* dopiero co wyszło – powiedziałem – więc teraz długo się nie pokaże. Długo będzie pani musiała stawiać; proszę choć trochę poczekać.

– Głupstwa gadasz, stawiaj!

– I owszem, ale *zero* może i do wieczora nie wyjdzie, do tysiąca razy będzie pani stawiać, to się zdarzało.

– Głupstwa, głupstwa! Kto się wilka boi – niech do lasu nie chodzi. Co? Przegrana? Stawiaj jeszcze!

Przegraliśmy i drugiego friedrichsdora; postawiliśmy trzeciego. Babcia nie mogła usiedzieć na miejscu, płonąącymi oczami wpiła się w skaczącą po przegródkach obracającego się koła kulkę. Przegraliśmy i za trzecim razem. Babcia wychodziła wprost z siebie, zupełnie nie mogła się opanować, a nawet uderzyła pięścią w stół, gdy krupier ogłosił: „*Trente-six*”, zamiast oczekiwanego *zero*.

– A niech cię! – gniewała się babcia – Czy prędko wyjdzie to przeklęte *zero*? Choćbym miała umrzeć, muszę dosiedzieć do tego *zero*. To ten przeklęty, kędzierzawy krupierzyna, u niego nigdy nie wychodzi! Aleksy Iwanowiczu, stawiaj dwa złote od razu! Tyle człowiek nastawia, że chociaż nawet wyjdzie *zero* nic się nie weźmie.

– Antonido Wasiliewno!

– Stawiaj, stawiaj! Nie twoje.

Postawiłem dwa friedrichsdory. Kulka długo kręciła się w kole, wreszcie zaczęła skakać po przegródkach. Babcia zamarła w oczekiwaniu i ścisnęła mnie za rękę, i nagle – bęc!

– ! – ogłosił krupier.

– Widzisz, widzisz! – szybko zwróciła się babka do mnie, rozpromieniona i uradowana. – Przecież ci mówiłam! Sam Pan Bóg mnie natchnął, żebym postawiła dwa złote! No, ile ja teraz dostanę? Dlaczego nie wypłacają? Potapycz, Marfa, gdzież oni? Dokądże oni poszli? Potapycz, Potapycz!

– Antonido Wasiliewno, później – szepnąłem. – Potapycz jest przy drzwiach, tutaj go nie puszczą. Antonido Wasiliewno, wypłacają pieniądze, niech pani odbierze! – Babce wyłożono zawinięty w niebieski papier ciężki rulon z pięćdziesięcioma złotymi i prócz tego odliczono jeszcze dwadzieścia friedrichsdorów. Wszystko to zgarnąłem łopatką i przysunąłem do babci.

– *Faites le jeu, messieurs! Faites le jeu, messieurs! Rien ne va plus?*⁴⁰

– wołał krupier, zapraszając do stawiania i przygotowując się do puszczenia w ruch ruletki.

– Boże! Spóźnimy się! Zaraz zakręca! Stawiaj, stawiaj! – niecierpliwiła się babcia. – Nie zwlekaj, szybciej – nie panując nad sobą szturchała mnie z całej siły.

– Na co stawiać?

– Na *zero*, na *zero*! Znów na *zero*! Na *zero*! Stawiaj jak można najwięcej! He mamy wszystkiego? Siedemdziesiąt friedrichsdorów? Nie ma co ich żałować, stawiaj po dwadzieścia friedrichsdorów od razu.

⁴⁰ Stawiajcie, państwo! Stawiajcie państwo! Nikt już nie gra?

– Antonido Wasiliewno, niech się pani opamięta! *Zero* czasem dwieście razy z rzędu nie wychodzi! Zapewniam panią, że w ten sposób wszystkie pieniądze można stracić!

– Pleciesz, pleciesz! Stawiaj! O, język mnie swędzi! Wiem, co robię! – z oburzenia babka aż się zatrzęsała.

– Według regulaminu, nie można na *zero* stawiać więcej niż dwanaście friedrichsdorów, proszę pani – ale postawiłem je.

– Jak to: nie można? A nie łiesz aby? *M u s j e ! M u s j e !* – trąciła krupiera, który siedział obok niej z lewej strony i przygotowywał się do puszczenia w ruch ruletki – *combien zero? douze? douze?*⁴¹

Szybko przetłumaczyłem pytanie na francuski.

– *Oui, madame*⁴² – uprzejmie potwierdził krupier – jak również każda pojedyncza stawka nie powinna przekraczać czterech tysięcy florenów, według regulaminu – dodał wyjaśniająco.

– Ano, cóż robić, stawiaj dwanaście.

– *Le jeu est fait!*⁴³ – zawołał krupier. Koło się zakreśliło i wypadło trzynaście. Przegraliśmy!

– Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze! Stawiaj jeszcze! – krzyczała babka. Nie sprzeciwiałem się już i, wzruszając ramionami, postawiłem jeszcze dwanaście friedrichsdorów. Koło długo się kręciło. Babka wprost trzęsała się, obserwując je. „Czyż ona naprawdę myśli, że znów wygra na *zero*?” – pomyślałem, patrząc na nią ze zdziwieniem. Pewność wygranej jaśniała z jej twarzy, nieodparta wiara, że niezwłocznie zawołają: *zero*. Kulka wskoczyła do przegródki.

– *Zero!* – zawołał krupier.

– A co!!! – zwróciła się do mnie babka z szalonym triumfem.

Sam byłem graczem; poczułem to w owej chwili. Ręce i nogi mi drżały, krew uderzyła do głowy. Naturalnie, to był rzadki wypadek, że w ciągu jakichś dziesięciu uderzeń trzy razy wyszło *zero*, ale nic szczególnie zadziwiającego w tym nie było. Sam byłem świadkiem, jak trzy dni temu *zero* wyszło trzy razy z kolei, a jeden z graczy, gorliwie notujący na kartce trafienia, głośno zauważył, że nie dalej jak wczoraj *zero* wypadło tylko raz w ciągu całej doby.

Z babką, jako z wygrywającą najwyższą wygraną, rozliczono się szczególnie uważnie i z uszanowaniem. Miała otrzymać okrągłe czterysta dwadzieścia friedrichsdorów, czyli cztery tysiące florenów i dwadzieścia friedrichsdorów. Dwadzieścia friedrichsdorów wypłacono jej w złocie, a cztery tysiące – w biletach bankowych.

Tym razem już babcia nie wołała Potapycza; była zajęta czym innym. Nawet nie okazywała wzruszenia, nie drżała! Drżała, jeżeli się tak można wyrazić, wewnętrznie. Skupiła się cała na czymś, jakby w coś celowała:

– Aleksy Iwanowiczu! On powiedział, że od razu można stawiać tylko cztery tysiące florenów? Masz, bierz, stawiaj te całe cztery tysiące na czerwone – zdecydowała babcia.

Odradzać było beznadziejnie. Koło zakreśliło się.

– *Rouge!* – oznajmił krupier.

Znów wygrała cztery tysiące florenów, razem osiem.

– Cztery dawaj mi tutaj, a cztery stawiaj znów na czerwone! – komenderowała babcia.

Postawiłem znów cztery tysiące.

– *Rouge!* – oznajmił znów krupier.

– Razem dwanaście! Dawaj to wszystko tutaj. Złoto zsyp tu, do sakiewki, a bilety schowaj. Dosyć! Do domu! Jazda!

⁴¹ ... ile na *zero*? dwanaście? dwanaście?

⁴² Tak, proszę pani.

⁴³ Gramy!

11

Fotel przetoczono ku drzwiom, na drugi koniec sali. Babcia promieniała. Całe nasze towarzystwo zgromadziło się zaraz wokół niej i wszyscy składali jej powinszowania. Chociaż zachowanie babci było bardzo ekscentryczne, ale jej triumf pokrywał wiele i generał już się nie obawiał skompromitować publicznie stosunkami pokrewieństwa z tak dziwną kobietą. Z pobłażliwym i familijnie wesołym uśmiechem, jakby zabawiając dziecko, powinszował babci sukcesu. Zresztą był wyraźnie zdumiony, tak samo jak całe otoczenie.

Dokoła rozmawiano i pokazywano sobie babcię. Wiele osób przechodziło obok niej, żeby jej się przyjrzeć z bliska. Mister Astley, na stronie, mówił o niej z dwoma swoimi znajomymi Anglikami. Kilka dystyngowanych pań z dystyngowanym zdumieniem przypatrywało się jej, jakby jakiemuś dziwowisku... Des Grioux cały się rozpląnął w powinszowaniach i uśmiechach.

– *Quelle victoire!*⁴⁴ – mówił.

– *Mais, madame, c'était du feu!*⁴⁵ – dodała z przypochlebnym uśmiechem mlle Blanche.

– Tak, wzięłam i wygrałam dwanaście tysięcy florenów! Jakie tam dwanaście, a złoto? Razem ze złotem będzie prawie trzynaście. Ile to na nasze pieniądze? Ze sześć tysięcy będzie?

Zakomunikowałam, że będzie więcej niż siedem, a przy dzisiejszym kursie może dojdzie i do ośmiu.

– To nie żarty, osiem tysięcy! A wy siedzicie tu, niedołęgi, i nic nie robicie! Potapycz, Marfa, widzieliście?

– Jakże to tak, proszę wielmożnej pani? Osiem tysięcy rubli! – wykrzykiwała Marfa, rozpląwając się z zachwytu.

– Bierzcie, macie ode mnie po pięć złotych, o!

Potapycz i Marfa podbiegli, by jej ucałować ręce.

– I tragarzom dać po friedrichsdorze. Daj im po złotemu, Aleksy Iwanowiczu. Czegóż ten lokaj się kłania, i drugi też? Winszują? Daj im także po złotemu.

– *Madame la princesse... un pauvre expatrié... malheur continuel... les princes russes sont si généreux...*⁴⁶ – kręciła się koło krzesła jakaś osobistość w znoszonym surducie, pstrej kamizelce, z wąsami, ze zdjętą czapką i z unizonym uśmiechem.

– Daj mu także friedrichsdora... Nie, daj dwa; no, dość tego, bo końca z nimi nie będzie. Podnieście, wieźcie. Praskowia – zwróciła się do Poliny Aleksandrowny – jutro kupię ci suknię i tej kupię także, jak jej tam... mademoiselle Blanche. Przetłumacz jej to, Praskowia!

– *Merci, madame* – wdzięcznie dygnęła mlle Blanche, wykrzywiając usta w drwiącym uśmiechu, który zamieniła z des Grioux i z generałem. Generał był trochę skonfundowany i bardzo się ucieszył, kiedyśmy dotarli wreszcie do alei.

– Ale Fiedosja, Fiedosja jak się zdziwi – mówiła babcia, przypomniawszy sobie znajomą generalską nianię. – I jej trzeba podarować na suknię. Ej, Aleksy Iwanowiczu, daj temu biednemu!

Przez drogę przechodził garbaty oberwaniec i przyglądał się nam.

⁴⁴ Ale wygrana!

⁴⁵ To było olśniewające, proszę pani.

⁴⁶ Księżno... biedny emigrant... stale w biedzie... księżęta rosyjscy są tacy hojni...

– Ależ to może wcale nie biedny, tylko jakiś hultaj.

– Daj! Daj! Daj mu guldena!

Podszedłem i dałem. Popatrzył na mnie z niezwykłym zdumieniem, jednak milcząco przyjął guldena. Zalatywało od niego winem.

– A ty, Aleksy Iwanowiczu, nie próbowałeś jeszcze szczęścia?

– Nie.

– Ale oczy ci się świeciły, zauważyłam.

– Spróbuję jeszcze, Antonido Wasiliewno, na pewno, później.

– I od razu stawiaj na *zero*! Zobaczysz! Ile masz pieniędzy?

– Wszystkiego dwanaście friedrichsdorów.

– To niewiele. Pożyczę ci pięćdziesiąt friedrichsdorów, jeżeli chcesz. O, bierz ten rulon, a ty, mój drogi, jednak nic się niź spodziewaj, tobie nie dam! – zwróciła się nagle do generała.

Tego jakby coś skręciło, ale zmilczał. Des Grioux zasepił się.

– *Quel diable, c'est une terrible vieille!*⁴⁷ – szepnęła przez zęby do generała.

– Biedny, biedny, znowu biedny! – zawołała babka. – Aleksy Iwanowiczu, daj i temu guldena.

Tym razem trafił się siwy starzec, z drewnianą nogą, w jakimś niebieskim, długopółym surducie i z długą trzcina w ręku. Wyglądał na starego żołnierza. Kiedy mu podałem guldena, cofnął się o krok i groźnie spojrzął na mnie.

– *Was ist der Teufel!*⁴⁸ – krzyknął, dodając do tego jeszcze z dziesięć przekleństw.

– No, głupiec! – zawołała babka, machnąwszy ręką. – Wieźcie dalej! Głodna jestem! Teraz zaraz zjem obiad, potem trochę się położę i znowu tam.

– Co, pani znów chce grać? – zawołałem.

– A coś ty myślał? Że wy tu siedzicie i kiśnicie, to ja mam brać z was przykład?

– *Mais, madame* – zbliżył się des Grioux – *les chances peuvent tourner, une seule mauvaise chance et vous perdrez tout... surtout avec votre jeu... c'était terrible!*⁴⁹

– *Vous perdrez absolument!*⁵⁰ – zaszczebotała mlle Blanche.

– A co wam wszystkim do tego? Nie wasze przegram, ale swoje!

A gdzie ten mister Astley? – zapytała mnie.

– Został w kasynie.

– Szkoda; o, ten to dobry człowiek.

Przybywszy do hotelu, babcia już na schodach spotkała szefa recepcji, zawołała go i pochwaliła się przed nim wygraną; później zawołała Fiedosję, dała jej trzy friedrichsdory i kazała podawać do stołu. Fiedosja i Marfa przy obiedzie nie mogły wyjść z podziwu i wciąż chwaliły babcie.

– Patrzę ja na wielmożną panią – trzepała Marfa – i mówię do Potapycza, co też to nasza pani chce robić. A na stole pieniędzy a pieniędzy! Przez całe życie tyle nie widziałam, a naokoło państwo, samo państwo siedzi. I skądże – powiadam do Potapycza – to państwo się bierze tutaj? Myślę sobie, niechże jej Najświętsza Panna dopomoże. Modlę się za wielmożną panią, a serce aż mi zamiera, trzęsę się, cała się trzęsę. Daj jej, Panie Boże, myślę sobie, a tu Pan Bóg zesłał wielmożnej pani. Do tej pory, proszę wielmożnej pani, trzęsę się, cała się trzęsę.

⁴⁷ Do diabła, co za okropna starucha!

⁴⁸ A niech was wszyscy diabli!

⁴⁹ Ależ, proszę pani (...) szczęście może się odwrócić, jeden niecelny strzał i wszystko pani straci... zwłaszcza tak grając jak pani... to okropne!

⁵⁰ Przegra pani, z całą pewnością.

– Aleksy Iwanowiczu, po obiedzie, o czwartej bądź gotów, pójdziemy. A teraz, na razie, bądź zdrow, i nie zapomnij mi przysłać jakiego doktorzyne, trzeba i wód trochę popić. Bo można o tym zapomnieć.

Wyszedłem od babci jak otumaniony. Staralem się zdać sobie sprawę, co teraz będzie ze wszystkimi i jaki obrót przyjmą sprawy. Widziałem wyraźnie, że wszyscy (zwłaszcza generał) jeszcze nie zdołali przyjść do siebie, a nawet zapomnieć pierwszego wrażenia. Pojawienie się babci, zamiast oczekiwanej z godziny na godzinę depeszy o jej śmierci (a tym samym i o spadku), tak pokrzyżowało ich plany i decyzje, że z zupełnym zdumieniem i jakimś ogarniającym wszystkich osłupieniem odnosili się do dalszych popisów babci na ruletce. A tymczasem ta druga okoliczność była omal że nie ważniejsza niż pierwsza, dlatego że chociaż babcia powtórzyła dwa razy, że pieniędzy generałowi nie da, ale kto wie – jeszcze nie trzeba było tracić nadziei. Nie tracił jej des Grioux, zainteresowany we wszystkich sprawach generała. Jestem przekonany, że i mlle Blanche, również bardzo zainteresowana (jeszcze by też: generałowa i duży spadek!) – nie straciłaby nadziei i użyła całego czaru kokieterii wobec babci – w odróżnieniu od niepojętej, nie umiejącej się przymilić, dumnej Poliny. Ale teraz, teraz, gdy babcia tak się popisała na ruletce, teraz, gdy charakter babci zarysował się tak wyraźnie i tak typowo (przekorna, despotyczna staruszka *et tombée en enfance*) – teraz może wszystko przepadło; przecież ona cieszy się jak dziecko, że się dorwała i, jak to bywa, zgra się do nitki. Boże! myślałem sobie (i, niech mi to Bóg wybaczy, z jak najzłośliwszym śmiechem), Boże, przecież każdy friedrichsdor, stawiany niedawno przez babcie, kłuł w serce generała, złościł des Grioux i do wściekłości doprowadzał mlle de Cominges, której kariera przechodziła koło nosa. I jeszcze jedna okoliczność: nawet po wygranej, z radości, kiedy babcia rozdawała pieniądze i każdego przechodnia uważała za biednego, nawet i wówczas wyrwało się jej do generała: „A tobie jednak nic nie dam!” A więc przyczepiła się do tej myśli, uparła się, dała sobie słowo – to niebezpieczne! to niebezpieczne!

Wszystkie te myśli krążyły mi po głowie, gdy pożegnawszy babcie wchodziłem frontowymi schodami na najwyższe piętro do swojego pokoiku. Wszystko to bardzo mnie absorbowowało; chociaż, rzecz prosta, i przedtem mogłem domyślać się głównych, najgrubszych nici, wiążących aktorów, niezupełnie zdawałem sobie sprawę ze wszystkich sposobów i tajemnic tej gry. Polina nigdy nie miała do mnie zupełnego zaufania. Chociaż zdawało się, że niekiedy, jakby mimo woli, otwierała przede mną serce, ale zauważyłem, że często, a nawet prawie zawsze, po tych wyznaniach albo wszystko obracała w żart, albo wszystko przekręcała i umyślnie nadawała wszystkiemu pozór kłamstwa. O, ona wiele ukrywała! Bądź co bądź przeczuwałem, że zbliża się finał tej tajemniczej i napiętej sytuacji. Jeszcze jedno uderzenie – i wszystko będzie zakończone i ujawnione. O siebie, będąc również tym wszystkim zainteresowany, prawie wcale się nie troszczyłem. Jestem w dziwnym nastroju; w kieszeni tylko dwadzieścia friedrichsdorów; jestem daleko w obcym kraju, bez posady i bez środków do życia, bez nadziei i bez rachuby na cokolwiek i – nie troszczę się o to! Gdyby nie myśl o Polinie, interesowałbym się po prostu tylko komizmem zbliżającego się rozwiązania i śmiałybym się na całe gardło. Ale Polina mnie trapi: jej losy się rozstrzygają, przeczuwałem to, ale – tu przyznaję się do winy – bynajmniej nie jej losy mnie niepokoją. Chciałbym przeniknąć jej tajemnicę; chciałbym, żeby przyszła do mnie i powiedziała: „Przecież ja cię kocham”, a jeżeli nie, jeżeli to szaleństwo jest nie do pomyślenia, to w takim razie... czegoż mam sobie tyczyć? A czy ja wiem, czego chcę? Jestem jak opętany; chcę tylko być przy niej, w jej aureoli, w jej blasku, na wieki, zawsze, całe życie. Więcej nic nie wiem! I czyż mogę odejść od niej?

Na drugim piętrze, w ich korytarzu, jakby mnie coś tknęło. Obejrzałem się i w odległości dwudziestu kroków albo dalej zobaczyłem otwierającą drzwi Polinę. Jak gdyby czekała i wyglądała mnie, zaraz zawołała mnie do siebie.

– Polino Aleksandrowno...

– Cicho! – uprzedziła mnie.

– Niech pani sobie wyobrazi – szepnąłem – jakby mnie coś trąciło w bok w tej chwili; oglądałam się – pani! Jakby jakaś elektryczność wydzielala się z pani!

– Niech pan weźmie ten list – powiedziała Polina, zatroskana i zaszepiona, z pewnością nie dosłyszawszy, co powiedziałem – i niech pan odda go mister Astleyowi, zaraz. Możliwie najprędzej, proszę pana. Odpowiedzi nie trzeba. On sam...

Nie dokończyła.

– Mister Astleyowi? – zapytałem zdziwiony.

Ale Polina już znikła za drzwiami.

– Aha, więc oni ze sobą korespondują! – Naturalnie, pobiegłem zaraz na poszukiwanie mister Astleya, najpierw do jego hotelu, gdzie go nie zastałem, później do kasyna, gdzie obleciałem wszystkie sale, i wreszcie rozzłoszczony, omal nie w rozpacz, wracając do domu, spotkałem go przypadkowo w kawalkadzie jakichś Anglików i Angielek, konno. Skinąłem na niego, zatrzymałem i oddałem mu list. Nie mieliśmy czasu nawet zamienić spojrzeń. Ale podejrzewam, że mister Astley umyślnie popędził konia.

Czyżby dręczyła mnie zazdrość? Czuję się jednak jak najbardziej przygnębiony. Nie chciałem się nawet dowiadywać, co było treścią ich korespondencji. A więc to jej zaufany! „Przyjaźń przyjaźnią – myślałem sobie – to jasne (i kiedyż on zdążył), ale czy tu jest miłość? Naturalnie, że nie” – szeptał mi rozsądek. Ale przecie w takich wypadkach nie wystarcza sam rozsądek. W każdym bądź razie pozostawało i to do wyjaśnienia. Sprawa w niemiły sposób się komplikowała.

Nie zdążyłem jeszcze wejść do hotelu, gdy szwajcar i szef, który wyszedł ze swojego pokoju, zakomunikowali mi, że mnie potrzebują, szukają, trzy razy posyłali dowiadywać się, gdzie jestem – proszą, jeśli można, jak najprędzej do generała. Byłem jak najgorzej usposobiony. W gabinecie generała zastałem, oprócz generała, des Grioux i mlle Blanche, samą, bez matki. Matka była z pewnością osobą podstawioną, używaną tylko od parady; ale kiedy szło o coś naprawdę ważnego, mlle Blanche działała sama. Wątpliwe nawet, czy tamta cokolwiek wiedziała o sprawach swojej rzekomej córki.

Radzono nad czymś gorąco i nawet drzwi do gabinetu były zamknięte, co się nigdy nie zdarzało. Podchodząc do drzwi, usłyszałem głośną rozmowę – zuchwały i jadowity głos des Grioux, natrętnie obelżywy i wściekły krzyk Blanche i żalostny głos generała, który widocznie z czegoś się usprawiedliwiał. Kiedy się zjawiłem, wszyscy jakby powstrzymali się i opanowali. Des Grioux poprawił włosy i zmienił wyraz twarzy z zagniewanego na uśmiechnięty – tym wstrętnym, oficjalnie uprzejmym, francuskim uśmiechem, którego tak nienawidzę. Przygnębiony i zmieszany generał przybrał postawę pełną godności, ale jakoś tak machinalnie. Jedną tylko mlle Blanche prawie nie zmieniła wyrazu swojej pałającej gniewem fizjonomii i umilkła jedynie, skierowawszy na mnie wzrok z niecierpliwym oczekiwaniem. Muszę dodać, że dotychczas odnosiła się do mnie z niezwykłym lekceważeniem, nie odpowiadała nawet na mój ukłon, po prostu mnie nie dostrzegała.

– Aleksy Iwanowiczu – zaczął generał tonem grzecznej wymówki – niech pan pozwoli sobie powiedzieć, że to dziwne, w najwyższym stopniu dziwne... słowem, pańskie postępowanie wobec mnie i mojej rodziny... słowem, to w najwyższym stopniu dziwne...

– *Eh! ce n'est pas ça* – z gniewem i pogardą przerwał mu des Grioux. (Właściwie, to on wszystkim kierował!) – *Mon cher monsieur, notre cher général se trompe*⁵¹ przybierając taki ton (dalszy ciąg jego przemówienia przytaczam w przekładzie), ale chciał panu powiedzieć... a właściwie uprzedzić, albo raczej prosić usilnie, żeby pan go nie gubił – no tak, nie gubił! Właśnie tego wyrażenia użyję...

– Ależ w jaki sposób, czym? – przerwałem.

– Na litość Boską, pan jest przewodnikiem (czy też jak to określić?) tej staruszki, *cette pauvre terrible vieille*⁵² – wikłał się sam des Grioux – ale przecież ona się zgra; zgra się co do grosza! Pan sam widział, pan był świadkiem, jak ona gra. Jeżeli zacznie przegrywać, to już nie odejdzie od stołu, z samej złości i wciąż będzie grać, wciąż będzie grać, a w takich wypadkach nigdy nie można się odegrać, i wówczas... wówczas...

– I wówczas – podchwycił generał – zgubi pan całą rodzinę! Ja i moja rodzina jesteśmy jej spadkobiercami, ona nie ma bliższych krewnych. Powiem panu otwarcie: jestem zrujnowany, doszczętnie zrujnowany. Pan sam po części wie o tym... Jeżeli ona przegra znaczną sumę albo nawet, kto wie, cały majątek (o Boże!), co wówczas będzie z nami, z moimi dziećmi! (Generał obejrzał się na des Grioux.) Ze mną! (Spojrzał na mlle Blanche, która odwróciła się od niego z pogardą.) Aleksy Iwanowiczu, niech pan ratuje!...

– Ależ w jaki sposób, panie generale, w jaki sposób mogę... Cóż ja tutaj znaczę?

– Niech pan jej odmówi, niech pan ją opuści!...

– To się znajdzie ktoś inny! – zawołałem.

– *Ce n'est pas ça, ce n'est pas ça* – przerwał znowu des Grioux – *que diable!*⁵³ Nie, niech pan jej nie opuszcza, ale niech pan ją przynajmniej przekona, namówi, odciągnie... No i wreszcie, niech pan jej nie da przegrać zbyt dużo, niech pan ją jakoś odciągnie.

– Ale jakże ja to zrobię? Może by pan sam się do tego zabrał, mr des Grioux – dodałem, o ile możliwości naiwnie.

Tu zauważyłem bystre, ogniste, pytające spojrzenie mlle Blanche na des Grioux. W twarzy des Grioux przemknęło coś szczególnego, szczerego, od czego nie mógł się powstrzymać.

– Ależ ona na mnie się już teraz nie zgodzi! – zawołał des Grioux, machnąwszy ręką. – Może... później...

Des Grioux bystro i znacząco spojrzał na mlle Blanche.

– *O, mon cher monsieur Alexis, soyez si bon*⁵⁴ – zbliżyła się do mnie z czarującym uśmiechem sama mlle Blanche, ujęła mnie za obie ręce i mocno uściśnęła. Niech to diabli wezmą! Ta diabelska twarz umiała się zmieniać w ciągu sekundy. W tym momencie miała wyraz tak błagalny, tak miły, dziecinnie uśmiechnięty, a nawet swawolny; kończąc zdanie, szelmowsko mrugnęła na mnie, w sekrecie przed wszystkimi; czyżby mnie chciała od razu zawojować? I nawet nieźle jej się to udało – tylko że ordynarne to było okropnie.

Za nią przyskoczył i generał, właśnie: przyskoczył.

– Aleksy Iwanowiczu, niech pan wybaczy, że ja przed chwilą tak zacząłem z panem, chciałem powiedzieć zupełnie coś innego... Proszę pana, błagam, w pas się kłaniam, po rosyjsku – pan jeden, tylko pan może nas uratować! Ja i mlle de Cominges błagamy pana – rozumie pan, przecież pan rozumie? – błagał, wskazując oczami mlle Blanche. Był godny politowania.

⁵¹ Ach, to nie to (...) Drogi panie, nasz kochany generał nie ma racji tej biednej, okropnej staruszki

⁵² tej biednej, okropnej staruszki

⁵³ To nie o to chodzi, to nie o to chodzi (...) do licha!

⁵⁴ Drogi panie Aleksy, niech pan będzie tak dobry

W tej chwili rozległy się trzy ciche i pełne uszanowania stuknięcia w drzwi; otworzono – stukał służący, a za nim o kilka kroków stał Potapycz. Posłani byli przez babcię. Mieli mnie odnaleźć i natychmiast przyprowadzić. „Gniewa się” – zakomunikował Potapycz.

– Ale przecież dopiero pół do czwartej.

– Wielmożna pani nawet zasnąć nie mogła, wciąż się przewracała na łóżku, potem nagle wstała, kazała przesunąć fotel i posłała po pana. Już teraz jest na tarasie...

– *Quelle mégère!*⁵⁵ – krzyknął des Grioux.

Rzeczywiście, spotkałem babcię już na tarasie; wychodziła po prostu z siebie, że mnie jeszcze nie ma. Nie mogła wytrzymać do czwartej.

– No, wreszcie – zawołała, i udaliśmy się znów na ruletkę.

⁵⁵ Co za megera!

12

Babcia była zniecierpliwiona i zirytowana; niewątpliwie ruletka pochłaniała wszystkie jej myśli. Na wszystko inne mało zwracała uwagi i w ogóle była bardzo roztargniona. O nic na przykład po drodze nie rozpytywała, jak poprzednim razem. Zobaczywszy jakiś wykwintny powóz, który przemknął obok nas jak wicher, podniosła rękę i zapytała: „Co to takiego? Czyje?” – ale zdaje się, że nawet nie dosłyszała mojej odpowiedzi; jej zamyślenie było bezustannie przerywane gwałtownymi i niecierpliwymi ruchami i dziwactwami. Kiedy jej pokazałem z daleka, już przy kasynie, barona i baronową Wurmerhelm, spojrzała z roztargnieniem, zupełnie obojętnie powiedziała: „O!” i szybko odwróciwszy się do Potapycza i Marfy, idących z tyłu, huknęła na nich:

– No, a wy po coście się przyczepili? Nie za każdym razem będę was zabierać! Idźcie do domu! Ty mi wystarczysz – dodała, zwracając się do mnie, gdy tamci pośpiesznie ukłonili się i zawrócili do domu.

W kasynie już oczekiwano na babcię. Natychmiast opróżniono dla niej to samo co poprzednio miejsce obok krupiera. Zdaje mi się, że ci krupierzy, zawsze tacy uprzejmi i pozujący na zwyczajnych urzędników, którym prawie zupełnie wszystko jedno, czy bank wygra, czy przegra – wcale nie są obojętni na przegraną banku i z pewnością mają jakieś instrukcje, dotyczące wabienia graczy i starań o interes rządu – za co niewątpliwie otrzymują wynagrodzenie i premie. W każdym razie na babcię patrzyli już jak na ofiarę. Po czym nastąpiło to, co przewidzieli domownicy.

Oto jak się rzeczy miały.

Babcia od razu rzuciła się na *zero* i natychmiast kazała stawiać po dwanaście friedrichsdorów. Postawiliśmy raz, drugi, trzeci – *zero* nie wychodziło.

– Stawiaj, stawiaj! – trącała mnie babcia z niecierpliwością. Byłem posłuszny.

– Ile razy jużśmy stawiali? – zapytała w końcu, zgrzytając zębami z niecierpliwości.

– Już dwunasty raz postawiłem. Sto czterdzieści cztery friedrichsdory przegraliśmy. Zapewniam panią, że może i do wieczora...

– Cicho! – przerwała mi babcia. – Postaw na *zero* i postaw zaraz tysiąc guldenów na czerwone. Masz pieniądze.

Czerwone wyszło, a *zero* znów przegrało. Zwrócono tysiąc guldenów.

– Widzisz, widzisz! – szeptała babcia – prawie wszystko, cośmy postawili, zwrócili. Stawiaj znów na *zero*; jeszcze z dziesięć razy postawimy i damy spokój.

Ale po piątym razie babci zupełnie się sprzykrzyło.

– Rzuć do diabła to wstrętne *zero*. Masz, stawiaj całe cztery tysiące guldenów na czerwone – rozkazała mi.

– Proszę pani! To za dużo; a jeżeli nie wyjdzie czerwone? – przekonywałem; ale babcia omal mnie nie zbiła. (Zresztą tak mnie szturchała, że prawie można powiedzieć, że biła.) Cóż miałem robić? Postawiłem na czerwone całe niedawno wygrane cztery tysiące guldenów. Koło się zakreśliło. Babcia siedziała spokojnie i dumnie, wyprostowawszy się, nie wątpiąc o pewnej wygranej.

– *Zero!* – oznajmił krupier.

Z początku babcia nie rozumiała, ale gdy zobaczyła, że krupier zagamął jej cztery tysiące guldenów wraz ze wszystkim, co było na stole, i dowiedziała się, że *zero*, które tak długo nie

wychodziło i na które przegraliśmy prawie dwieście friedrichsdorów, wyskoczyło jakby naumyślnie wtedy, gdy babcia dopiero je skłęła i porzuciła, zachnęła się i głośno klasnęła w rękę. Wkoło nawet się zaśmiano.

– A to dopiero! To przeklęte zero znowu wyskoczyło! – jęczała babka – a podłe, przeklęte! To ty! To tyś wszystkiemu winien! – napadła na mnie ze wściekłością, szturchając, – To tyś mi odradził!

– Proszę pani, jakże ja mogę odpowiadać za wszystkie szanse?

– Ja ci dam szanse! – szeptała groźnie – wynoś się ode mnie.

– Do widzenia pani – odwróciłem się, chcąc odejść.

– Aleksy Iwanowiczu, Aleksy Iwanowiczu, zostań! Dokąd? O co chodzi? Widzisz go – rozgniewał się! Głupiec! No zostań, zostań jeszcze. No, nie gniewaj się, sama jestem głupia! Powiedz no, co teraz robić!

– Nie podejmuję się doradzać, bo pani mnie później winę przypisze, niech pani sama gra; niech pani mi rozkazuje, a ja będę stawiać.

– No, no! No postaw jeszcze cztery tysiące guldenów na czerwone! Oto portfel, bierz. – Wyciągnęła z kieszeni portfel i podała mi. – No, bierz czym prędzej. Tu jest dwanaście tysięcy rubli gotówką.

– Anatonido Wasiliewno – wyjąkałem – takie stawki...

– Chociażbym miała umrzeć – odegram się. Stawiaj!

Postawiliśmy i przegraliśmy.

– Stawiaj, stawiaj całe osiem, stawiaj!

– Nie można, Antonido Wasiliewno, najwyższa stawka cztery!...

– Stawiaj cztery!

Tym razem wygraliśmy. Babka nabrała otuchy.

– Widzisz, widzisz! – trąciła mnie – stawiaj znowu cztery!

Postawiliśmy – przegraliśmy; potem jeszcze raz i jeszcze raz przegraliśmy.

– Antonido Wasiliewno, całe dwanaście tysięcy przegrane – oznajmiłem.

– Widzę, że przegrane – powiedziała z jakąś spokojną wściekłością, jeżeli się tak można wyrazić – widzę, mój drogi, widzę – mruczała patrząc przed siebie nieruchomo i jakby rozmyślając. – Ech! Choćbym miała umrzeć, stawiaj jeszcze cztery tysiące guldenów!

– Ależ pieniędzy już nie ma, proszę pani; tutaj w portfelu są nasze papiery pięcioprocentowe: jeszcze jakieś przekazy, a pieniędzy nie ma.

– A w sakiewce?

– Tylko drobne zostały.

– Czy są tutaj kantory wymiany? Powiedziano mi, że wszystkie nasze papiery można wymienić – zapytała babcia tonem zdecydowania.

– O, ile kto chce! Ale na zamianie straci pani tak, że nawet... Żyd się przestraszył!

– Głupstwo! Odegram się! Wieź! Zawołać tych bałwanów!

Odsunąłem fotel, zjawili się tragarze i wyszliśmy z kasyna.

– Prędzej, prędzej, prędzej! – rozkazywała babka. – Pokazuj drogę, Aleksy Iwanowiczu, a obierz jak najbliższą... Daleko to?

– Parę kroków, Antonido Wasiliewno.

Ale przy skręceniu ze skweru w aleję spotkaliśmy całe nasze towarzystwo: generała, des Grioux i mlle Blanche z mamą. Poliny Aleksandrowny nie było z nimi, mister Astleya także.

– No, no co! Nie zatrzymywać się – krzyczała babka – czego chcecie? Nie mam czasu gadać z wami!

Szedłem z tyłu; des Grioux przyskoczył do mnie.

– Całą wygraną przegrała i dwanaście tysięcy guldenów ze swoich pieniędzy dołożyła. Jedziemy zmieniać papiery pięcioprocentowe – szepnąłem mu pośpiesznie.

Des Grioux tupnął nogą i podbiegł do generała, by mu to powtórzyć. Szliśmy z babcią dalej.

– Niech pan ją powstrzyma, niech pan ją powstrzyma – szepnął do mnie generał w uniesieniu.

– A niech no pan spróbuje ją powstrzymać – odszepnąłem mu.

– Cioteczko! – zbliżył się generał – cioteczko... my zaraz... my zaraz... – głos mu drżał i załamywał się – wynajmujemy konie i jedziemy za miasto... Wspaniały widok... *pointe*... szliśmy cioteczkę zaprosić.

– A lichy z tobą i z twoim *puent!* – z rozdrażnieniem odpowiedziała babcia.

– Tam jest wieś... tam napijemy się herbaty... – ciągnął dalej generał już z zupełną rozpaczą.

– *Nous boirons du lait, sur l'herbe fraîche*⁵⁶ – dodał des Grioux ze zwierzęcą wściekłością.

Du lait, de l'herbe fraîche – to wszystko, co jest idealnie idylliczne dla paryskiego mieszczucha; na tym polega, jak wiadomo cały jego pogląd na *nature et la vérité*.⁵⁷

– A idźże sobie z tym mlekiem! Żłop sobie sam, a mnie od mleka brzuch boli. Czego żeście się przyczepili? – krzyknęła babcia – powiadam, że nie mam czasu!

– Jesteśmy u celu, Antonido Wasiliewno! – zawołałem. – To tutaj!

Zbliżyliśmy się do domu, gdzie był kantor. Poszedłem wymieniać; babka czekała na ulicy; des Grioux, generał i młde Blanche stali z boku, nie wiedząc, co mają robić. Babcia spojrzała na nich gniewnie i odeszli w kierunku kasyna.

Zaproponowano mi takie okropne warunki, że nie mogłem się zdecydować i wróciłem do babki po instrukcje.

– Ach, zbójce! – zawołała, klasnąwszy w ręce. – No, nic! Zmienimy! – zawołała w zdecydowaniu. – Czeka, zawołaj do mnie bankiera.

– Może którego z kantorzystów, Antonido Wasiliewno?

– Niech będzie kantorzysta, wszystko jedno. Ach, zbójce!

Kantorzysta zgodził się wyjść, dowiedziawszy się, że go prosi do siebie stara, osłabiona hrabina, która nie może chodzić. Babcia długo, gniewnie i głośno zarzucała mu łajdactwo i targowała się z nim mieszaniną rosyjskiego, francuskiego i niemieckiego, przy czym ja pomagałem, tłumacząc. Poważny kantorzysta zerkał na nas oboje i w milczeniu kręcił głową. Babci przyglądał się z nazbyt natarczywą ciekawością, co już było niegrzeczne; w końcu zaczął się uśmiechać.

– No, wynoś się! – zawołała babcia. – Udław się moimi pieniędzmi! Zmień u niego, Aleksy Iwanowiczu, nie ma czasu, bo można by do innego pojechać...

– Kantorzysta mówi, że u innych jeszcze mniej dadzą.

Nie pamiętam ściśle tego rachunku, ale był okropny. Zmieniłem do dwunastu tysięcy florenów w złocie i biletach bankowych, wziąłem rachunek i przyniosłem babci.

– No, no, no! Nie ma co rachować – machnęła ręką – prędzej, prędzej, prędzej!

– Nigdy nie będę stawiać na to przekłete *zero*, i na czerwone także – powiedziała, podjeżdżając do kasyna.

Tym razem ze wszystkich sił starałem się skłonić ją do stawiania jak najmniej, tłumacząc, że kiedy *passa* się zmieni, zawsze będzie czas na duże stawki. Ale była tak niecierpliwa, że

⁵⁶ Napijemy się mleka, na świeżej trawie

⁵⁷ przyrodę i prawdę

choć się z początku zgadzała, nie można było powstrzymać jej w czasie gry, gdy tylko zaczęła wygrywać stawki po dziesięć, po dwadzieścia friedrichsdorów.

– No masz! No masz! – zaczynała mnie trącać – przecież wygraliśmy; mielibyśmy cztery tysiące zamiast dziesięciu, cztery tysiące byśmy wygrali, a tak, to co? To ty, to ty wszystkim jesteś winien!

I chociaż mnie ogarniała złość, gdym patrzył na jej grę, ale w końcu postanowiłem milczeć i więcej nie doradzać.

Nagle przyskoczył des Grioux. Wszyscy troje byli w pobliżu; zauważyłem, że mlle Blanche stała na stronie i wymieniała jakieś grzeczności z księciem. Generał był wyraźnie w niełasce, prawie odpędzony. Blanche nawet patrzeć na niego nie chciała, chociaż nadszkwiał, jak tylko mógł. Biedny generał! Bładł, czerwieniał, drżał i nawet już nie uważał na grę babci. Blanche i księżę wyszli wreszcie; generał podążył na nimi.

– *Madame, madame* – miodowym głosem szeptał des Grioux do babci, precyzyjnie się aż do jej ucha. – *Madame*, tak się nie stawia... Nie, nie, nie można... – mówił łamaną ruszczyzną – nie!

– Jakże więc? No, naucz – zwróciła się do niego babcia. Des Grioux nagle szybko zapaplał po francusku, zaczął radzić, gorączkował się, mówił, że trzeba czekać na dobrą passę, zaczął wyliczać jakieś cyfry... Babcia nic nie rozumiała. Bez ustanku zwracała się do mnie, żebym tłumaczył; des Grioux dotykał palcami stołu, pokazywał, w końcu schwycił ołówek i zaczął wyliczać na kartce. Babcia straciła wreszcie cierpliwość.

– No, idź sobie, idź sobie! Głupstwa pleciesz! *Madame, madame*, a sam się na niczym nie zna; idź sobie!

– *Mais, madame* – zaszczebotał des Grioux i znów zaczął tłumaczyć i pokazywać. Bardzo musiał być przejęty.

– No postaw raz tak, jak on mówi – rozkazała mi babcia – zobaczymy; może naprawdę wyjdzie.

Des Grioux chciał ją tylko odciągnąć od wielkich stawek; radził stawiać na numery pojedynczo i razem. Postawiłem w myśl jego wskazówek po friedrichsdorze na rząd nieparzystych w pierwszej dwunastce i po pięć friedrichsdorów na grupy numerów od dwunastu do osiemnastu i od osiemnastu do dwudziestu czterech; razem postawiliśmy szesnaście friedrichsdorów.

Koło się zakręciło.

– *Zero* – zawołał krupier. Wszystko przegraliśmy.

– Co za bałwan! – zawołała babcia zwracając się do des Grioux.

– A to wstrętne Francuzisko! Dał radę, poczwara! Idź sobie, idź sobie. Na niczym się nie zna, a pcha się tutaj!

Des Grioux, strasznie obrażony, wzruszył ramionami, pogardliwie popatrzył na babcię i odszedł. Już mu wstyd było, że się zbyt zaangażował; już stracił cierpliwość.

Po godzinie, pomimo wszelkich wysiłków – wszystkośmy przegrali.

– Do domu! – zawołała babcia.

Nie powiedziała ani słowa aż do alei. W alei, kiedy już podjeżdżała do hotelu, zaczęła wydawać okrzyki:

– Jaka ja głupia! Jaka ja wariatka! Stara wariatka ze mnie!

Jak tylko przybyliśmy do hotelu, babcia zawołała: – Herbaty! natychmiast zbierać się! Jedziemy!

– Dokąd wielmożna pani raczy jechać? – zaczęła Marfa.

– A co ci do tego? Nie wtrącaj nosa do cudzego prosa! Potapycz, zbieraj szybko wszystkie bagaże. Jedziemy z powrotem do Moskwy. Przewiezłam piętnaście tysięcy rubli!

– Piętnaście tysięcy! Mój ty Boże – zawołał Potapycz, z podziwem klasnąwszy w ręce.
– No, no, głupcze! Już chlipie! Milcz! Zbierać się! Rachunek, prędzej, prędzej!
– Najbliższy pociąg odchodzi o wpół do dziesiątej, Antonido Wasiliewno – zakomunikowałem, żeby powstrzymać jej zapal.

– A teraz która?

– Wpół do ósmej.

– Tam do licha! No, wszystko jedno! Aleksy Iwanowiczu, nie mam ani grosza. Masz jeszcze dwie asygnaty, idź i zmień mi je, bo nie byłoby za co wyjechać.

Poszedłem. Po upływie pół godziny, wróciwszy do hotelu zastałem całe nasze towarzystwo u babci. Dowiedziawszy się, że babcia na dobre wyjeżdża do Moskwy, byli tym, zdaje się, jeszcze bardziej zdumieni niż jej przegraną. Dajmy na to, że wyjazd ratował jej majątek, ale cóż się teraz stanie z generałem? Kto zapłaci des Grioux? Mlle Blanche, rozumie się, nie będzie czekać, aż babcia umrze, i z pewnością drapnie teraz z księciem albo z kimkolwiek innym. Stali przed nią, pocieszali ją i zagadywali. Poliny znów nie było. Babcia niesamowicie na nich krzyczała.

– Odczepcie się, do diabła! Co was to obchodzi? Czego ta koźła broda lezie do mnie – krzyczała na des Grioux – a tobie, kurko czubata, czego trzeba? – zwróciła się do mlle Blanche. Co się łasisz?

– *Diantre!*⁵⁸ – szepnęła mlle Blanche, wściekle błysnąwszy oczami, lecz nagle roześmiała się i wyszła.

– *Elle vivra cent ans!*⁵⁹ – krzyknęła do generała, wychodząc.

– A to ty na moją śmierć liczysz? – wykrzyknęła babcia, zwracając się do generała – wynoś się! Wyrzuć ich wszystkich, Aleksy Iwanowiczu! Co to was obchodzi? Swoje przebiegnałam, a nie wasze!

Generał wzruszył ramionami, zgarbił się i wyszedł. Des Grioux za nim.

– Zawołać Praskowię! – rozkazała babcia Marfie.

Po pięciu minutach Marfa wróciła z Poliną. Przez cały czas Polina siedziała w swoim pokoju z dziećmi i zdaje się, że umyślnie postanowiła przez cały ten dzień nie wychodzić. Twarz jej miała wygląd poważny, smutny i zatroskany.

– Praskowia – zaczęła babcia – czy to prawda, co niedawno doszło do mnie, że ten dureń, twój ojczym, chce się podobno żenić z tą głupią wiercipiętą, Francuzką – aktorką czy co, albo może jeszcze gorzej? Mów, czy to prawda?

– Nie wiem na pewno, babciu – odpowiedziała Polina – ale ze słów mlle Blanche, która nie uważa za potrzebne ukrywać, wnoszę...

– Dosyć! – energicznie przerwała babcia – wszystko rozumiem! Zawsze się spodziewałam, że z nim będzie coś takiego, i zawsze uważałam go za najbardziej pustego i lekkomyślnego człowieka. Zadziera nosa, że generał – a był pułkownikiem, przy dymisji awansował – i gra wielkiego pana. Ja wiem wszystko, moja droga, jak posyłałście do Moskwy depeszę za depeszą – „prędko tam stara babka wyciągnie nogi?” Na spadek czekaliście; bez pieniędzy to ta podła dziewczka, jak ją tam – de Cominges czy jak – nawet go, takiego ze sztucznymi zębami, za lokaja do siebie nie weźmie. Powiadają, że ma kupę pieniędzy, wypożycza na procent, wzbogaciła się. Do ciebie nie mam pretensji, Praskowia; nie ty wysyłałaś depesze; o dawniejszym również nie chcę wspominać. Wiem, że charakterek masz – istna osa! Jak ugryziesz, to napuchnie; ale mi cię żal, bo kochałam świętej pamięci Katarzynę, twoją matkę. Chcesz? Rzuć wszystko tutaj i jedź ze mną. Przecież ty się tu nie

⁵⁸ Do diaska!

⁵⁹ Będzie żyła sto lat!

masz gdzie podziać; a i nie wypada ci teraz zostawać z nimi. Zaczekaj! – przerwała babcia Polinie, która chciała jej odpowiedzieć – jeszcze nie skończyłam. Nic od ciebie nie chcę. Mam dom w Moskwie, sama wiesz – pałac; zajmij sobie choćby i całe piętro i nie schodź do mnie choćby całymi tygodniami, jeżeli ci się mój charakter nie będzie podobał! No, chcesz czy nie?

– Niech mi babcia pozwoli wprawdzie zapytać: czy naprawdę babcia chce zaraz jechać?

– A cóż to, żarty sobie stroję? Powiedziałam i pojedę. Piętnaście tysięcy rubli puściłam dziś na tej waszej przeklętej ruletce. Pięć lat temu obiecałam cerkiew przebudować u siebie na wsi pod Moskwą z drewnianej na murowaną, a zamiast tego tutaj się splukałam. Teraz, moja droga, pojedę cerkiew budować.

– A cóż wody, babciu? Przecież babcia przyjechała, żeby pić wody.

– A idźże sobie z twoimi wodami! Nie drażnij mnie, Praskowia; ty tak naumyślnie czy co? Mów, jedziesz czy nie?

– Bardzo, bardzo babci dziękuję – zaczęła Polina serdecznie – za schronienie, które mi babcia proponuje. Po części trafnie babcia oceniła moje położenie. Jestem babci tak wdzięczna, że, niech mi babcia wierzy, przyjadę, i to może nawet wkrótce; ale teraz mam powody... ważne... i zdecydować się zaraz, w tej chwili, nie mogę. Gdyby babcia została chociaż ze dwa tygodnie...

– To znaczy, że nie chcesz?

– To znaczy, że nie mogę. W dodatku nie mogę zostawić brata i siostry, bo... bo... bo naprawdę może się zdarzyć, że zostaną jak opuszczeni, więc... jeżeli mnie babcia zabierze z małymi, to naturalnie pojedę i, niech mi babcia wierzy, odwdzięczę się za to! – dodała ze wzruszeniem – a bez dzieci nie mogę babciu.

– No, nie beczone! (Polina nawet nie myślała o płaczu, zresztą, ona nigdy nie płakała.) I dla kurczątki znajdzie się miejsce, kurnik duży. A przy tym czas im do szkoły. No, więc nie jedziesz teraz? Pamiętaj, Praskowia! Dobrze ci życzę i wiem przecież, dlaczego nie jedziesz. Wszystko wiem, Praskowia. Do niczego dobrego nie doprowadzi cię ten Francuzik.

Polina zachnęła się. Ja aż zadrżałem. (Wszyscy wiedzą! Widocznie tylko ja jeden nie wiem o niczym!)

– No, no, nie krzyw się. Nie będę tego rozmazywać. Tylko uważaj, żeby coś złego z tego nie wynikło, rozumiesz? Jesteś rozsądna dziewczyna; żal by mi cię było. No, dość tego, nie chcę już was wszystkich oglądać! Idź już sobie, do widzenia!

– Chciałabym jeszcze odprowadzić babcię – powiedziała Polina.

– Nie trzeba; nie przeszkadzaj; zresztą naprzykrzyliście mi się wszyscy.

Polina pocałowała babcię w rękę; ale ta wyrwała rękę i sama pocałowała ją w policzek.

Przechodząc, Polina bystro spojrzała na mnie i natychmiast odwróciła oczy.

– No, bywaj zdrow i ty, Aleksy Iwanowiczu, już tylko godzina do pociągu. A i zmęczyłeś się przy mnie, myślę. Masz, weź sobie te pięćdziesiąt złotych.

– Najuprzejmiej dziękuję pani, ale doprawdy...

– No, no! – krzyknęła babka, i to tak energicznie i groźnie, że nie ośmieliłem się wymawiać i przyjałem.

– W Moskwie, jak będziesz bez posady – przyjdź do mnie; zarekomenduję cię gdzie. No, zabieraj się!

Poszedłem do swojego pokoju i położyłem się na łóżku. Myślę, że z pół godziny leżałem na wznak, z rękami pod głową. Katastrofa już się zaczęła, miałem o czym myśleć. Postanowiłem jutro ostatecznie rozmówić się z Poliną. O! Francuzik! A więc to prawda! Co w tym jednak mogło się kryć? Polina i des Grieux! Boże, co za zestawienie!

Wszystko tu było po prostu niewiarygodne. Nagle zerwałem się, nie panując już nad sobą, żeby natychmiast pójść i odszukać mister Astleya i za wszelką cenę zmusić go do mówienia. On z pewnością i tu wie więcej niż ja. Mister Astley? Oto jeszcze jedna zagadka dla mnie!

Lecz nagle zastukano do drzwi. Patrę – Potapycz.

– Proszę pana, wielmożna pani prosi do siebie!

– Co takiego? Wyjeżdża czy co? Do pociągu jeszcze dwadzieścia minut.

– Niecierpliwi się bardzo, proszę pana, ledwie może usiedzieć. „Prędzej, prędzej!” – znaczy się, żebyśmy szedł do pana; na Boga, niechże się pan pośpieszy!

Natychmiast zszedłem na dół. Babkę wywieziono na korytarz. W rękach trzymała portfel.

– Aleksy Iwanowiczu, idź naprzód, pójdziemy...

– Dokąd, Antonido Wasilewno?

– Choćbym miała umrzeć, odegram się! No, marsz, bez gadania! Tam przecież gra ciągnie się do północy?

Oślupiałem, pomyślałem chwilę, ale zaraz się zdecydowałem.

– Jak pani sobie życzy, Antonido Wasiliewno, ale ja nie pójdę.

– A to dlaczego? Cóż to znowu? Blekotu objedliście się wszyscy czy co?

– Jak pani sobie życzy, ale ja bym później sobie robił wyrzuty; nie chcę! Nie chcę być ani świadkiem, ani uczestnikiem; proszę mnie od tego uwolnić, Antonido Wasiliewno. Zwracam pani pięćdziesiąt friedrichsdorów; żegnam! – I kładąc rulon z friedrichsdorami na stoliku, obok którego stał fotel babci, ukloniłem się i odszedłem.

– Co za głupstwa! – zawołała babcia za mną – to nie chodź, bardzo proszę, sama też trafię! Potapycz, idź ze mną! No, podnoście, nieście.

Mister Astleya nie znalazłem i wróciłem do domu. Późno, o pierwszej w nocy dowiedziałem się od Potapycza, jak się skończył dzień babci. Przegrała wszystko, co jej niedawno wymieniłem, czyli na nasze pieniądze jeszcze dziesięć tysięcy rubli. Przyczepił się do niej ten sam Polaczek, któremu dała dwa friedrichsdory, i cały czas kierował jej grą. Najpierw, jeszcze przed Polaczkiem, kazała Potapyczowi stawiać, lecz wkrótce go odpędziła; wtedy to przyplątał się Polaczek. Jak na złość, rozumiał po rosyjsku, a nawet mógł się jako tako rozmówić mieszaniną trzech języków, toteż jako tako rozumieli się wzajemnie. Babcia cały czas wymyślała mu bez litości, chociaż tamten bez ustanku „padał do nóżek”, ale nie ma nawet porównania z panem – opowiadał mi Potapycz. „Do pana odnosiła się jak do p a n a , a ten – widziałem na własne oczy, niech mnie Pan Bóg skarże, jeśli kłamię, okradł ją po prostu ze stołu. Pani sama dwa razy go przyłapała i wymyślała mu, a wymyślała rozmaitymi, proszę pana, słowami, a nawet za włosy raz wytargała, doprawdy, nie łzę, aż się ludzie śmieli naokoło. Wszystko, proszę pana, przegrała; wszystko, co miała, wszystko, co było rozmienione. Przynieśliśmy potem wielmożną panią tutaj – tylko wody do picia poprosiła i do łóżka. Zmęczyła się widać i zaraz zasnęła. Niech jej Pan Bóg da sny anielskie!

Oj, ta zagranica! – zakończył Potapycz – mówiłem, że nic dobrego z tego nie będzie. Żeby już jak najprędzej do naszej Moskwy! I czego tam u nas w domu, w Moskwie, brakuje? Ogród, kwiaty, jakich tu nawet nie ma, zapach, jabłuszka dojrzewają – nie: trzeba było za granicę! Ho-ho-ho!”

Oto już prawie miesiąc minął, jak nie zaglądałem do tych notatek, zaczętych pod wpływem wrażeń, chociaż chaotycznych, lecz silnych. Katastrofa, którą przeczuwałem, istotnie nastąpiła, ale sto razy większa i bardziej nieoczekiwana, niż myślałem. Wszystko to było jakieś dziwne, okropne, a nawet tragiczne, przynajmniej dla mnie. Działy się ze mną rzeczy prawie niezwykle, tak przynajmniej patrzę na nie dotychczas – chociaż z innego punktu widzenia, zwłaszcza w porównaniu z kołowrotem, w którym się wówczas kręciłem, były one zaledwie niecodzienne. Ale najbardziej zadziwiający był dla mnie mój osobisty stosunek do tych wszystkich przeżyć. Dotąd nie mogę zrozumieć sam siebie! I wszystko to przemknęło jak sen – nawet moja namiętność, a ta przecież była silna i prawdziwa, ale... gdzie się ona teraz podziała? Doprawdy, nieraz mi przychodzi do głowy: „Czyja aby wtedy nie zwariowałem i czy nie siedziałem przez cały ten czas gdzieś w domu wariatów, a może i teraz siedzę – i to wszystko mi się z d a w a ł o i dotychczas się z d a j e ...”

Zebrałem i przeczytałem moje notatki. (Kto wie, może po to, żeby się przekonać, czy nie pisałem ich w domu wariatów?) Jestem teraz sam jeden. Nadchodzi jesień, liście żółkną. Siedzę w tym ponurym miasteczku (o, jakie ponure są niemieckie miasteczka!) i zamiast obmyślać najbliższy swój krok, pozostaję pod wpływem tylko co minionych wrażeń, pod wpływem świeżych wspomnień, pod wpływem tego niedawnego wichru, który mnie porwał wtedy w ów kołowrót i znowu gdzieś odrzucił. Zdaje mi się niekiedy, że wciąż jeszcze krążę wśród tego wichru i że lada chwila znowu nadciągnie burza i zagarnie mnie mimochodem swoim skrzydłem, a ja znowu, tracąc poczucie porządku i miary, zakręcę się, zakręcę, zakręcę...

Zresztą może jakoś się ustalę i przestanę się kręcić, jeżeli w miarę możliwości jak najściślej zdam sobie sprawę ze wszystkiego, co się zdarzyło przez ten miesiąc. Znów czuję pociąg do pióra; zresztą czasem nie ma co robić wieczorem. Dziwne! Żeby się chociaż czymkolwiek zająć, wypożyczam w tutejszej parszywej bibliotece powieści Paul de Kocka (w niemieckim przekładzie!), których prawie znieść nie mogę, ale czytam je i – sam się sobie dziwię; widocznie boję się poważną książką albo jakimś poważnym zajęciem zniweczyć czar tego, co tak niedawno minęło. Jak gdyby mi tak drogi był ów okropny sen i wszystkie pozostałe po nim wrażenia, że nawet boję się go dotknąć czymkolwiek nowym, żeby się nie rozwiął jak dym! Czy wszystko to jest mi tak drogie, czy co? No tak, naturalnie, że drogie; może i po czterdziestu latach będę wspominać...

A więc zabieram się do pisania. Zresztą wszystko to można teraz opowiedzieć fragmentarycznie i w skrócie: wrażenia zupełnie się zmieniły...

Przede wszystkim, żeby już skończyć z babcią. Babcia zgrała się następnego dnia doszczętnie. Tak być musiało: jeżeli ktoś taki jak babcia raz wejdzie na tę drogę, ten – jak na saneczkach stacza się z góry coraz prędzej. Grała przez cały dzień, do ósmej wieczorem; nie byłem obecny przy jej grze i wiem tylko z opowiadania. Potapycz dyżurował przy niej w kasynie przez cały dzień. Polaczki, którzy mentorowali babci, zmieniali się tego dnia kilkakrotnie. Babcia zaczęła od tego, że przepędziła owego Polaczka, którego poprzedniego dnia darła za włosy, i wzięła drugiego, ale ów okazał się chyba jeszcze gorszy. Przepędziwszy go i wzięwszy znowu pierwszego, który nie odszedł i przez cały czas swojego wygnania

kręcił się tuż obok za jej fotelem, wysuwając co chwila głowę, babcia wpadła wreszcie w zupełną rozpacz. Wypędzony drugi Polaczek również za nic nie chciał odejść; jeden z nich stanął z prawej, a drugi z lewej strony. Przez cały czas kłócili się i wymyślali sobie za wysokość stawek i sposób gry, wyzywając się wzajemnie od „łajdaków” i używając innych polskich uprzejmości, po czym znów się ze sobą godzili, ciskali pieniędzmi bez ładu i składu i rządzili się jak szare gęsi. Kiedy się pokłócili, każdy z nich stawiał na własną rękę, jeden na przykład na czerwone, a drugi na czarne. Koniec był taki, że babcia całkiem straciła głowę i wreszcie ze łzami prawie zwróciła się do starego krupiera, prosząc go, by jej pomógł i przepędził obu. Rzeczywiście natychmiast ich przepędzono, pomimo ich krzyków i protestów: krzyczeli obaj razem i dowodzili, że to babcia jest im winna pieniądze, że ich oszukała, postąpiła wobec nich podle, nikczemnie. Nieszczęsny Potapycz z płaczem opowiadał mi o tym wszystkim jeszcze tego wieczora po przegranej, i skarżył się, że sam widział, jak obaj napychali sobie kieszenie pieniędzmi, jak bezwstydnie kradli i co chwila chowali pieniądze do kieszeni. Jeden czy drugi wypraszał na przykład u babci pięć friedrichsdorów za fatygę i zaczynał sam grać, stawiając tuż obok babcinych stawek. Babcia wygrywała, a on wołał, że to jego stawka wygrała, babci zaś przegrała. Kiedy ich wypędzano, Potapycz wystąpił do przodu i powiedział, że mają pełno złota w kieszeniach. Babcia natychmiast poprosiła krupiera, żeby to załatwił, i choć obaj Polaczkowie krzyczeli (niby dwa schwyte koguty), zjawiała się policja i kieszenie ich zostały natychmiast opróżnione, a pieniądze zwrócone babci. Babcia, zanim przegrała, przez cały ów dzień cieszyła się u krupierów i w całej dyrekcji kasyna niewątpliwym autorytetem. Z wolna sława jej rozeszła się po całym mieście. Wszyscy bywalcy kurortu, wszelkiej narodowości, ludzie zwykli i największe tuzy, zbiegli się, aby popatrzeć na „*une vieille comtesse russe, tombée en enfance*”, która przegrała już „kilka milionów”.

Ale babcia niewiele skorzystała na tym, że ją wybawiono od dwóch Polaczków. Zamiast nich zjawił się natychmiast na jej usługi trzeci Polak, najzupełniej już czysto mówiący po rosyjsku, ubrany jak dżentelmen, choć mimo wszystko wyglądający jak lokaj, z ogromnymi wąsami i honorem. I on również „całował stópki i słał się do stópek” jaśnie pani, ale względem otaczających zachowywał się wyniośle, wydawał despotyczne rozporządzenia – słowem, od razu zajął wobec babci pozycję pana, a nie sługi. Co chwila za każdą stawką zwracał się do niej i zaklinał się na wszystko, że jest „honorowym” panem i że nie weźmie ani kopiejki z babcinych pieniędzy. Tak często powtarzał te zaklęcia, że babcia ostatecznie straciła kontenans. Ale ponieważ ów pan rzeczywiście z początku jak gdyby grał lepiej i zaczął już nawet wygrywać, babcia sama nie potrafiła się od niego oderwać. Po godzinie obaj Polaczkowie, wyprowadzeni z kasyna, znów zjawili się za fotelem babci i znów zaofiarowali swoje usługi, choćby jako chłopcy na posyłki. Potapycz przysięgał, że „honorowy pan” mrugał do nich, a nawet coś im podawał z ręki do ręki. Ponieważ babcia nie jadła obiadu i prawie nie ruszała się z fotela, więc jeden z Polaczków rzeczywiście się przydał: pobiegł do znajdującej się tuż obok sali restauracyjnej i przyniósł filiżankę bulionu, a potem herbaty. Zresztą biegali obaj. Ale pod koniec dnia, kiedy już wszyscy zdawali sobie sprawę, że babcia przegrywa swój ostatni banknot, za jej krzesłem stało już jakich sześciu Polaczków, których przedtem nie było widać ani słychać. Kiedy zaś babcia przegrywała już ostatnie monety, to nie tylko już się jej w ogóle nie słuchali, ale nawet nie zwracali na nią uwagi, pchali się do stołu, sami chwyтали pieniądze, sami wydawali polecenia i sami stawiali, kłócili się i krzyczeli, za pan brat rozmawiając z honorowym panem, a honorowy pan omal nie zapomniał w ogóle o istnieniu babci. Nawet wtedy, kiedy babcia, która już wszystko przegrała, wracała wieczorem do hotelu, trzech lub czterech Polaczków wciąż jeszcze nie mogli się zdecydować, by ją zostawić, i biegli koło fotela z obu stron, wołając co sił i zapewniając, że babcia ich

oszukiwała i powinna im coś tam oddać. Tak doszli do hotelu, skąd ich wreszcie wypchnięto kuksańcami.

Według obliczeń Potapycza, babcia przegrała tego dnia w sumie do dziewięćdziesięciu tysięcy rubli oprócz wczorajszej przegranej. Wszystkie swoje papiery – pięcioprocentowe, pożyczki państwowej, wszystkie akcje, jakie miała ze sobą, wymieniała jedne po drugich. Zdziwiłem się, jak mogła wytrzymać całe te siedem czy osiem godzin, siedząc w fotelu i prawie nie odchodząc od stołu, ale Potapycz mówił, że ze trzy razy rzeczywiście zaczynała grubo wygrywać, a na nowo złudzona nadzieją, nie mogła już odejść. Zresztą, gracze wiedzą, że można przesiedzieć na miejscu prawie całą dobę nad kartami, ani na chwilę nie przerywając gry.

Równocześnie przez cały ten dzień u nas w hotelu działy się też bardzo ważne rzeczy. Już z rana, przed jedenastą, kiedy babcia była jeszcze w domu, nasi, to jest i generał des Grioux, zdecydowali się na krok ostateczny. Dowiedziawszy się, że babcia nawet nie myśli wyjeżdżać, lecz przeciwnie, udaje się znów do kasyna, wszyscy, całe to konklawe (oprócz Poliny), przyszli do niej, żeby się z nią rozmówić ostatecznie, a nawet o t w a r c i e. Generał, drżący i upadły na duchu w przewidywaniu okropnych dla niego następstw, nawet przeholował: po półgodzinnych błaganiach i prośbach, a nawet po szczerym przyznaniu się do wszystkiego, czyli do wszystkich długów, a nawet do swojej namiętności względem mlle Blanche (zupełnie stracił głowę), nagle przybrał ton groźny i zaczął nawet na babcię krzyczeć i tupać nogami; krzyczał, że ona hańbi ich nazwisko, stała się skandalem całego miasta i wreszcie... wreszcie: „Pani poniewiera cześć Rosjan! – krzyczał generał – od tego jest policja!” Babka przepędziła go w końcu kijem (zwykajnym kijem). Generał i des Grioux naradzali się tego ranka jeszcze raz albo dwa razy, a najbardziej zajmowało ich, czy rzeczywiście nie można by w jakiś sposób użyć policji. Że oto nieszczęśliwa, lecz czcigodna staruszka straciła rozum, przegrywa ostatnie pieniądze itd. Słowem, czy nie można by w jakiś sposób wystarać się o jakiś nadzór albo zakaz?... Ale des Grioux tylko wzruszał ramionami i w oczy śmiał się generałowi, który już całkiem od rzeczy gadał, biegając tam i z powrotem po gabinecie. W końcu des Grioux machnął ręką i gdzieś znikł. Wieczorem dowiedzieliśmy się, że zupełnie opuścił hotel, rozmówiwszy się przedtem bardzo zdecydowanie i tajemniczo z mlle Blanche. Co się zaś tyczy mlle Blanche, to ta już od samego rana chwyciła się środków ostatecznych: zupełnie odsunęła od siebie generała i nawet nie chciała go na oczy oglądać. Kiedy generał pobiegł za nią do kasyna i spotkał ją pod rękę z księciem, ani ona, ani mme veuve de Cominges go nie poznały. Księżę również mu się nie ukłonił. Cały ten dzień mlle Blanche badała księcia i starała się go skłonić do decydującej wypowiedzi. Lecz niestety! Srodze się oszukiwała, licząc na księcia! Ta mała katastrofa zdarzyła się już wieczorem; okazało się nagle, że księżę jest goły jak bizun i w dodatku sam na nią liczy, chcąc pożyczyć pieniędzy na weksel i pograć w ruletkę. Blanche z oburzeniem wyrzuciła go i zamknęła się w swoim pokoju.

Z rana tego dnia byłem u mister Astleya, a właściwie całe rano go szukałem, ale w żaden sposób nie mogłem znaleźć. Ani w domu, ani w kasynie, ani w parku go nie było. W swoim hotelu tym razem nie był na obiedzie. O piątej nagle zobaczyłem go, idącego ze stacji kolejowej wprost do hotelu „d'Angleterre”. Śpieszył się i był bardzo zafrasowany, chociaż na ogół trudno było dostrzec na jego twarzy troskę albo jakiegokolwiek zakłopotanie. Serdecznie wyciągnął do mnie rękę, ze swoim zwykłym „o!”, lecz nie zatrzymywał się i dość śpiesznie szedł dalej. Przyłączyłem się do niego; on jednak umiał tak odpowiadać na moje pytania, że nic nie zdołałem się dowiedzieć. Przy tym, nie wiem dlaczego, okropnie jakoś wstydiłem się nawiązywać rozmowę o Polinie; on zaś ani słowem o niej nie wspomniał. Powiedziałem mu o babci; wysłuchał uważnie, z powagą i wzruszył ramionami.

– Ona wszystko przegra – zauważyłem.

– O tak – odpowiedział – przecież poszła grać już dawno, kiedy wyjeżdżałem, dlatego też byłem pewny, że przegra. Jeżeli będę miał czas, wstąpię do kasyna, żeby popatrzeć, bo to ciekawe...

– Dokąd pan wyjeżdżał?! – zawołałem, zdumiony, że dotąd jeszcze go o to nie zapytałem.

– Byłem we Frankfurcie.

– Za interesami?

– Tak, za interesami.

Ale o cóż miałem go więcej pytać? Zresztą, wciąż jeszcze siedłem obok niego, lecz on nagle skręcił do znajdującego się obok hotelu „des Quatres Saisons”, skinął mi głową i znikł. Wracając do domu, powoli doszedłem do przekonania, że gdybym nawet dwie godziny z nim mówił, też bym się absolutnie nic nie dowiedział, bo... nie miałem go o co pytać! Tak, naturalnie! W żaden sposób nie mógłbym teraz sformułować mojego pytania.

Przez cały ten dzień Polina albo spacerowała z dziećmi i z nianią w parku, albo siedziała w domu. Generała od dawna unikała i prawie o niczym z nim nie mówiła, przynajmniej o niczym poważnym. Dawno już to zauważyłem. Ale, widząc w jakim położeniu jest dziś generał, pomyślałem, że nie mógł jej pominąć, że pomiędzy nimi nie mogło nie być jakiejś poważnej, rodzinnej rozmowy. Jednakże, gdy wracając do hotelu po rozmowie z mister Astleyem, spotkałem Polinę z dziećmi, twarz jej okazywała niewzruszony spokój, jak gdyby wszystkie te burze rodzinne ją jedną tylko ominęły. Na mój ukłon skinęła głową. Wróciłem do swojego pokoju pełen złości.

Naturalnie, unikałem rozmowy z Poliną i ani razu się z nią nie spotykałem od czasu zdarzenia z Wurmerhelmami. Musiałem się do tego zmuszać i naginać; ale im więcej czasu upływało, tym bardziej byłem wzburzony. Chociażby mnie nawet nie kochała ani trochę, to jednak nie powinna tak deptać moich uczuć i z takim lekceważeniem przyjmować moich wyznań. Przecież ona wie, że kocham ją naprawdę; przecież sama do tego dopuszczała, pozwalała tak ze sobą mówić! To prawda, że jakoś dziwnie zaczęło się to między nami. Dość dawno, przed jakimi dwoma miesiącami zacząłem spostrzegać, że pragnie, abym był jej przyjacielem, jej powiernikiem, a nawet już się o to stara. Ale to się nam wówczas nie udało, nie wiadomo dlaczego; i właśnie zamiast tego pozostał ten dziwny nasz wzajemny stosunek; dlatego właśnie zacząłem w ten sposób z nią mówić. Ale jeżeli moja miłość dla niej jest wstrętna, to dlaczego po prostu nie zabroni mi ze sobą rozmawiać?

Nie zabrania mi; sama nawet czasem zaczynała ze mną rozmowę i... naturalnie robiła to dla żartu. Wiem na pewno, dobrze to zaobserwowałem – przyjemnie jej było, gdy mnie wysłuchała i rozdrażniła aż do bólu, zaskoczyć mnie jakimś wybrykiem najwyższej pogardy i lekceważenia. A przecież wie, że bez niej żyć nie mogę. Teraz już trzy dni minęło od awantury z baronem, a ja już nie mogę wytrzymać naszej r o z ł ą k i . Kiedy ją spotkałem teraz przy kasynie, serce zaczęło mi bić tak silnie, aż pobladłem. Ale przecież i ona beze mnie żyć nie może! Jestem jej potrzebny i – czyżby tylko jako błazen Bałakiriew?⁶⁰

Ma jakąś tajemnicę – to jasne! Jej rozmowa z babką boleśnie ukłuła mnie w serce. Przecież tysiąc razy prosiłem ją, żeby była ze mną szczerą, przecież wiedziała, że rzeczywiście gotów jestem za nią życie oddać. Ale zawsze zbywała mnie pogardą albo zamiast ofiary życia, którą jej proponowałem – żądała ode mnie takich wybryków, jak wtedy z baronem! Czyż to nie oburzające? Czyżby ten Francuz był dla niej całym światem? A mister Astley? Ale tu wszystko już stawało się dla mnie niezrozumiałe, a tymczasem – Boże – jak ja się męczyłem!

⁶⁰ Iwan Bałakiriew (1699-?), błazen cesarzowej Anny, znany z dowcipu i pomysłowości.

Po przyjsciu do domu w porywie wscieklosci schwycilem pioro i napisalem do niej, co nastepuje:

„Polino Aleksandrowna, widzę wyraźnie, że zbliża się rozwiązanie, które naturalnie dotknie i Panią. Powtarzam po raz ostatni: czy potrzebne Pani moje życie, czy nie? Jeżeli mógłbym się przydać, choćby w czymkolwiek – niech Pani mną rozporządza, a ja tymczasem będę w swoim pokoju, przynajmniej po większej części, i nigdzie nie wyjadę. Jeżeli będzie trzeba – proszę napisać albo mnie wezwać.”

Zapieczetowałem i wysłałem tę kartkę przez służącego, z poleceniem oddania do rąk własnych. Nie spodziewałem się odpowiedzi, ale po upływie trzech minut służący wrócił i oświadczył, że „pani kazała się kłaniać”.

Około siódmej wezwano mnie do generała.

Generał był w gabinecie, ubrany tak, jakby miał zamiar gdzieś wyjść. Kapelusze i laska leżały na kanapie. Zdawało mi się, gdy wchodził, że stał pośrodku pokoju, z rozstawionymi nogami i spuszczoną głową, i mówił coś na głos do siebie. Ale gdy tylko mnie zobaczył – podbiegł do mnie omalże nie z krzykiem, tak że mimo woli cofnąłem się i chciałem uciec; ale on schwycił mnie za ręce i pociągnął do kanapy; sam usiadł na kanapie, mnie posadził naprzeciwko siebie na fotelu, i nie puszczając moich rąk, z drżącymi wargami, ze łzami, które nagle zabłyśły na jego rzęsach, powiedział błagalnym głosem:

– Aleksy Iwanowiczu, niech pan mnie ratuje, niech pan mnie ratuje, niech się pan zlituje nade mną!

Długo nie mogłem nic zrozumieć; bez ustanku mówił, mówił, mówił i wciąż powtarzał: „Niech się pan zlituje nade mną!” W końcu domyśliłem się, że oczekuje ode mnie czegoś w rodzaju rady, albo też, opuszczony przez wszystkich, w rozpacz i trwodze przypomniał sobie o mnie i wezwał mnie, żeby tylko mówić, mówić, mówić.

Zwariował, a przynajmniej kompletnie stracił głowę. Składał ręce i gotów był rzucić się na kolana przede mną, abym (jak państwo myślicie?) – natychmiast poszedł do mlle Blanche i ublażał ją, namówił, żeby do niego wróciła i wyszła za niego za męża.

– Ależ panie generale – zawołałem – przecie mlle Blanche chyba dotychczas jeszcze nie zauważyła mojego istnienia! Cóż ja tu mogę zrobić?

Ale daremnie było mu perswadować; nie rozumiał, co się do niego mówiło. Zaczynał mówić i o babci, ale zupełnie bez sensu; ciągle jeszcze myślał o wezwaniu policji.

– U nas, u nas – zaczynał, wybuchając nagle oburzeniem – słowem, u nas, w porządnie zorganizowanym państwie, gdzie jest władza, zaraz by się zaopiekowano takimi staruchami! Tak, szanowny panie, tak – ciągnął dalej, wpadając nagle w ton gromiący, podnosząc się z miejsca i chodząc po pokoju – pan jeszcze o tym nie wiedział, szanowny panie – zwrócił się do jakiegoś fikcyjnego szanownego pana w kącie – no to się pan dowie... u nas takie staruchy krótko się trzyma... tak... o, niech to diabli wezmą!

I rzucił się znów na kanapę, a po chwili, omal nie płacząc, zasapany, zaczynał mi mówić – że przecie mlle Blanche dlatego nie chce za niego wyjść, że zamiast depeszy przyjechała babcia i że teraz już jest jasne, że nie otrzyma spadku. Zdawało mu się, że ja nic jeszcze o tym nie wiem. Zacząłem mówić o des Grieux; machnął ręką: „Wyjechał! Wszystko, co mam, jest u niego zastawione; jestem goły jak bizun! Te pieniądze, które pan przywiózł... te pieniądze – nie wiem, ile ich tam jest, zdaje się, coś siedemset franków zostało, i tyle, to wszystko, a co dalej – nie wiem, nie wiem!...”

– Jakże pan hotel zapłaci? – zawołałem z przestachem – i... cóż potem?

Popatrzył w zamyśleniu, ale, zdaje się, nic nie rozumiał, a nawet nie dosłyszał może moich słów. Spróbowałem mówić o Polinie Aleksandrownie, o dzieciach; odpowiedział pośpiesznie: „Tak! tak!” – ale zaraz znowu zaczynał mówić o księciu, o tym, że teraz Blanche z nim odjedzie i „wówczas... wówczas – cóż mam robić, Aleksy Iwanowiczu? – zwracał się nagle do mnie – na Boga! Cóż mam robić – niech pan przyzna, przecież to niewdzięczność! Przecież to niewdzięczność?”

W końcu zalał się rzęsiстыми łzami.

Nie było co robić z takim człowiekiem; zostawić go samego również było niebezpiecznie; kto wie, mogło mu się coś przytrafić. Zresztą, udało mi się go jakoś pozbyć, ale dałem znać niani, żeby często do niego zaglądała, i oprócz tego pomówiłem ze służącym, człkiem bardzo sprytnym; ten również obiecał mi, że będzie uważał.

Zaledwie opuściłem generała, zjawił się u mnie Potapycz z wezwaniem do babci. Była ósma i babcia dopiero co wróciła z kasyna po ostatecznym zgraniu się. Udałem się do niej: staruszka siedziała w fotelu, wymęczona i wyraźnie chora. Marfa podawała jej szklankę herbaty, którą prawie w nią wmusiła. I głos, i ton babci bardzo się zmienił.

– Jak się pan ma, Aleksy Iwanowiczu – powiedziała wolno i poważnie pochylając głowę – przepraszam, że jeszcze raz pana trudzę, niech pan wybaczy staremu człowiekowi. Mój drogi, wszystko tam zostawiłam, prawie sto tysięcy rubli. Miałaś rację, żeś wczoraj ze mną nie poszedł. Teraz jestem bez pieniędzy, nie mam ani grosza. Nie chcę zwlekać ani chwili i o wpół do dziesiątej jadę. Posłałam do twojego Anglika, Astleya czy jak, i chcę go prosić o pożyczkę na tydzień trzech tysięcy franków. Powiedz mu więc, żeby sobie nic nie pomyślał i nie odmówił. Jeszcze jestem dość bogata, mój drogi. Mam trzy wsie i dwa domy. A i pieniądze jeszcze się znajdują, nie wszystko zabrałam ze sobą. Mówię to dlatego, żeby nie miał jakich wątpliwości... Ale otóż i on! Zaraz można poznać, z kim się ma do czynienia.

Mister Astley pośpieszył na pierwsze wezwanie babci. Bez namysłu i nie mówiąc wiele, natychmiast wręczył jej trzy tysiące franków na weksel, który babka podpisała. Załatwiwszy sprawę, ukłonił się i wyszedł.

– A teraz żegnaj i ty, Aleksy Iwanowiczu. Została jeszcze godzina i parę minut – chcę się trochę położyć, kości mnie bołą. Bądź pobłażliwy dla mnie, głupiej starej. Teraz już nie będę młodych obwiniać o lekkomyślność, a i tego nieszczęsnego generała też grzech teraz winić. Pieniądzy mu jednak nie dam, bo, moim zdaniem, to kompletny dureń, ale i ja, stara wariatka, nie jestem od niego mądrzejsza. Słusznie, Bóg i na starość nie daruje i ukarze dumę. No, bywaj zdrow. Marfa, podnieś mnie.

Jednakże chciałem babcię odprowadzić. Poza tym byłem w jakimś oczekiwaniu, wciąż się spodziewałem, że lada chwila coś się musi zdarzyć. Nie mogłem usiedzieć u siebie. Wychodziłem na korytarz, nawet na chwilę wyszedłem przejść się po alei. List mój do niej był jasny i zdecydowany, a obecna katastrofa – z pewnością była ostateczną. W hotelu usłyszałem o wyjeździe des Grieux. Wreszcie, jeżeli Polina nawet mnie odepchnie jako przyjaciela, to może nie odepchnie jako służbę. Przecież jestem jej potrzebny, przydam się choćby na posyłki, inaczej być nie może!

Przed odjazdem pociągu poszedłem na dworzec i ulokowałem babcię. Wszyscy razem zajęli osobny przedział rodzinny. „Dziękuję ci, mój drogi, za twoją bezinteresowną sympatię – pożegnała się ze mną babcia – a powtórz Praskowii to, o czym jej wczoraj mówiłam – będę na nią czekała”.

Poszedłem do domu. Przechodząc obok pokoiw generała, spotkałem nianię i zapytałem o generała. „E, proszę pana, nic takiego” – odpowiedziała mi z przygnębieniem. Jednak wstąpiłem, ale we drzwiach gabinetu zatrzymałem się w ogromnym zdumieniu. Mlle Blanche i generał śmieli się z czegoś w najlepsze. Veuve Cominges też tu siedziała na kanapie.

Generał najwyraźniej zwariował z radości, paplał rozmaite nonsensy i zanosił się od nerwowego, niepowstrzymanego śmiechu, w którym cała twarz składała mu się w niezliczone mnóstwo zmarszczek i oczy się gdzieś chowały. Później dowiedziałem się od samej Blanche, że wypędziwszy księcia i dowiedziawszy się o płaczu generała, postanowiła go pocieszyć i wstąpiła do niego na chwilę. Ale biedny generał nie wiedział, że w owej chwili los jego był przypieczętowany i że Blanche już zaczęła się pakować, żeby jutro pierwszym pociągiem porannym jechać do Paryża.

Postałem chwilę w progu gabinetu generała, rozmyśliłem się i wyszedłem niedostrzeżony. Gdy przyszedłem do siebie i otworzyłem drzwi, w półmroku zauważyłem nagle jakąś postać, siedzącą na krześle w kącie przy oknie. Nie podniosła się przy moim wejściu. Szybko podszedłem, spojrzałem i – dech mi zaparło: to była Polina!

14

Aż krzyknąłem ze zdumienia.

– No co? No co? – pytała dziwnie. Była blada i miała wygląd posepny.

– Jak to co? Pani? tutaj, u mnie!

– Jeżeli przychodzę, to przychodzę cała. To mój zwyczaj. Zaraz pan zobaczy; niech pan zapali świecę.

Zapaliłem świecę. Wstała, podeszła do stołu i z wolna położyła przede mną rozpieczętowany list.

– Niech pan przeczyta – rozkazała.

– To – to charakter pisma des Grioux! – zawołałem, chwytając list. Ręce mi się trzęsły i linijki pisma skakały przed oczami. Zapomniałem wyrażen użytych w tym liście, ale oto on – chociaż nie dosłownie, ale przynajmniej w tym samym duchu.

„Mademoiselle – pisał des Grioux – przykre okoliczności zmuszają mnie do natychmiastowego wyjazdu. Pani z pewnością sama zauważyła, że unikałem decydującej rozmowy z nią, zanim się wszystko nie wyjaśni. Przyjazd starej (*de la vieille dame*) krewnej Pani i jej nierozsądny postępek przecięły wszystkie moje wątpliwości. Zły stan moich interesów nie pozwala mi nadal żywić słodkich nadziei, którym się przez pewien czas oddawałem. Żałuję tego, co się stało, ale mam nadzieję, że w postępowaniu moim nie odnajdzie Pani nic, co by było niegodne szlachcica i człowieka honoru (*gentil homme et honnête homme*). Straciwszy prawie wszystkie swoje pieniądze w pożyczkach udzielonych Pani ojczymowi, muszę uciec się do ostateczności: dałem już znać do Petersburga moim przyjaciółom, żeby natychmiast przystąpili do sprzedaży zastawionego u mnie majątku; wiedząc jednak, że lekkomyślny ojczym Pani roztrwonił jej własne pieniądze, zdecydowałem się darować mu pięćdziesiąt tysięcy franków i na tę sumę zwracam mu część papierów zastawionych na jego majątku, toteż może Pani teraz odebrać wszystko, co Pani straciła, żądając od niego zwrotu majątku drogą sądową. Spodziewam się, *mademoiselle*, że przy obecnym stanie rzeczy mój postępek będzie dla Pani bardzo dogodny. Sądzę również, że postępkem tym spełniam w zupełności obowiązek człowieka uczciwego i szlachetnego. Zapewniam Panią, że pamięć o niej pozostanie na wieki w moim sercu”.

– Cóż, to jasne – powiedziałem, zwracając się do Poliny – czyż pani mogła się czegoś innego spodziewać? – dodałem z oburzeniem.

– Niczego się nie spodziewałam – odpowiedziała na pozór spokojnie, lecz z jakimś drżeniem w głosie. – Od dawna wszystko postanowiłam; czytałam w jego myślach i dowiedziałam się, co myśli. Myślał, że ja szukam... że będę nalegać... (Zatrzymała się i nie kończąc zgryzła wargi i umilkła.) Umyślnie podwoiłam pogardę dla niego – zaczęła znów – czekałam, co nastąpi z jego strony. Gdyby nadeszła depesza o spadku, rzuciłabym mu dług tego idioty-ojczyma – i wypędziłabym go! Od dawna, od dawna już był mi nienawistny. O, dawniej to był inny człowiek, tysiąc razy inny, a teraz, a teraz!...

O, z jaką radością rzuciłabym mu w jego podłą twarz te pięćdziesiąt tysięcy i plunęłabym... i rozdeptałabym plwocinę!

– Ale papiery, te, które zwrócił generałowi, na sumę pięćdziesięciu tysięcy, przecież są teraz u generała? Niech pani je odbierze i odda des Grioux.

– O nie! To nie to! To nie to!

– Tak, prawda, prawda, to nie to! Zresztą do czego generał jest teraz zdolny? A babcia! – zawołałem nagle.

Polina spojrzała na mnie z roztargnieniem i jakoś niecierpliwie.

– Po cóż tu babcia? – powiedziała z niechęcią. – Nie mogę iść do niej... I nikogo nie chcę prosić o przebaczenie – dodała z rozdrażnieniem.

– Cóż robić! – zawołałem. – Ale jak, no jak pani mogła kochać des Grieux! O, podły, podły! chce pani, zabiję go w pojedynku! Gdzie on teraz jest?

– We Frankfurcie i zostanie tam trzy dni.

– Jedno pani słowo i jadę, jutro, pierwszym pociągiem! – rzekłem z jakimś głupim entuzjazmem.

Roześmiała się.

– Cóż, może powiedziała: proszę wpierw zwrócić pięćdziesiąt tysięcy franków. Zresztą, o co się ma bić?... Co za głupstwa!

– No więc skądże, skądże wziąć te pięćdziesiąt tysięcy franków – powtarzałem, zgrzytając zębami, zupełnie jak gdyby można je było podnieść z podłogi. – Proszę pani, a mister Astley? – zapytałem zwracając się do niej z przeblyskiem jakiegoś dziwnego pomysłu.

Oczy jej zabłyśły.

– Cóż to, czyżbyś sam chciał, żebym cię rzuciła dla tego Anglika? – rzekła, patrząc mi w oczy przeszywającym spojrzeniem i gorzko się uśmiechając. Po raz pierwszy w życiu powiedziała mi ty.

Zdaje się, że w tej chwili dostała zawrotu głowy ze zdenerwowania, i nagle usiadła na kanapie, prawie bez sił.

Jakby piorun we mnie uderzył; stałem i nie wierzyłem własnym oczom i własnym uszom! A więc ona mnie kocha! Przyszła do mnie, a nie do mister Astleya. Ona, panna, sama przyszła do mnie do pokoju, w hotelu – czyli kompromitowała się publicznie – i ja, ja stoję przed nią i jeszcze nie rozumiem!

Pewna niesamowita myśl przemknęła mi przez głowę.

– Polino! Daj mi tylko godzinę! Zaczekaj tutaj tylko godzinę i... ja wrócę! To... to jest konieczne! Zobaczysz! Zostań tu, zostań tu!

Wybiegłem z pokoju, nie odpowiadając na jej zdziwione i pytające spojrzenie; zawołała coś do mnie, ale się nie wróciłem.

Tak, czasem najbardziej niesamowita, najniemożliwsza na pozór myśl tak mocno wbije się w głowę, że uważa się ją w końcu za coś, co można urzeczywistnić... Nie dość na tym: jeżeli idea łączy się z silnym, namiętym pragnieniem, to czasem uważa się ją wreszcie za coś nieuniknionego, za konieczność, przeznaczenie, za coś takiego, co nie może się nie zdarzyć! Możliwe, że jest w tym jeszcze coś, jakaś kombinacja przeczuć Jakieś niezwykle natężenie woli, zatrucie się własną fantazją albo jeszcze coś innego – nie wiem; ale mnie tego wieczoru (którego nigdy w życiu nie zapomnę) zdarzył się cud. Chociaż można to doskonale wytłumaczyć przy pomocy arytmetyki, niemniej – dla mnie to jeszcze dotąd jest cud. I dlaczego, dlaczego ta pewność tak głęboko, tak mocno ugruntowała się we mnie, i to od tak dawna? Najwidoczniej myślałem o tym – powtarzam – nie jak o wypadku, który może się zdarzyć między innymi (a tym samym, może również wcale się nie zdarzyć), lecz jak o czymś, co w żaden sposób nie może się nie zdarzyć!

Było kwadrans po dziesiątej; wszedłem do kasyna z tak silną nadzieją i równocześnie w takim wzburzeniu, jakiego nigdy jeszcze nie doznawałem. W salach gry było jeszcze dość dużo ludzi, chociaż dwa razy mniej niż z rana.

O jedenastej przy stołach gry pozostają prawdziwi, gotowi na wszystko gracze, dla których u wód istnieje tylko ruletka, którzy tylko dla niej przyjechali, prawie nie dostrzegają,

co się wkoło nich dzieje, i niczym się nie interesują przez cały sezon, tylko grają od rana do nocy i gotowi by grać może i całą noc aż do świtu, gdyby to było możliwe. I zawsze rozchodzą się niechętnie, gdy o północy sala gry zostaje zamknięta, I gdy starszy krupier przed zamknięciem ruletki, około dwunastej, oznajmia: „*Les trois derniers coups, messieurs!*”⁶¹ gotowi by postawić w tych trzech ostatnich grach wszystko, co mają w kieszeni – i oczywiście wtedy właśnie najczęściej przegrywają. Podszedłem do tego samego stołu, przy którym niedawno siedziała babcia. Nie było zbyt ciasno, toteż wkrótce zająłem stojące miejsce przy stole. Wprost przede mną, na zielonym suknie, było napisane słowo „*passé*”. „*Passé*” – to szereg cyfr od dziewiętnastu do trzydziestu sześciu. Pierwszy zaś szereg, od jednego do osiemnastu włącznie, nazywa się „*manque*”, ale co mnie to obchodziło? Nie obliczałem, nie słyszałem nawet, na jaką cyfrę padło ostatnie uderzenie, i nie pytałem o to, zaczynając grę – jak z pewnością postąpiłby każdy, choć trochę obliczający gracz. Wyciągnąłem całe moje dwadzieścia friedrichsdorów i rzuciłem na będące przede mną „*passé*”.

– „*Vingt-deux!*”⁶² – zawołał krupier.

Wygrałem – i znów postawiłem wszystko: i stawkę, i wygraną.

– „*Trente-et-un!*”⁶³ – krzyknął krupier. Znowu wygrana. Miałem więc razem osiemdziesiąt friedrichsdorów. Postawiłem całe osiemdziesiąt na dwanaście środkowych cyfr (potrójna wygrana, ale dwie szanse przeciw) – koło się zakręciło i wypadło dwadzieścia cztery. Wyłożono mi trzy rulony po pięćdziesiąt friedrichsdorów i dziesięć sztuk złotej monety; razem z poprzednim miałem już dwieście friedrichsdorów.

Byłem jak w gorączce i popchnąłem całą tę kupkę pieniędzy na czerwone – i nagle opamiętałem się! Raz tylko w ciągu tego wieczoru, w ciągu całej gry, strach mnie zmroził i spowodował drżenie rąk i nóg. Z przerażeniem odczułem i uświadomiłem sobie, co teraz znaczy dla mnie przegrana! Stawką było całe moje życie!

– *Rouge!* – zawołał krupier – i odetchnąłem; ogniste mrówki przebiegły mi po całym ciele. Wypłacono mi w biletach bankowych; miałem już w sumie cztery tysiące florenów i osiemdziesiąt friedrichsdorów! (Wtedy jeszcze mogłem liczyć.)

Później, o ile pamiętam, postawiłem dwa tysiące florenów znów na dwanaście środkowych i przegrałem; postawiłem moje złoto i osiemdziesiąt friedrichsdorów, i przegrałem. Wściekłość mnie ogarnęła; porwałem ostatnie, jakie mi zostały, dwa tysiące florenów i postawiłem na dwanaście początkowych tak, na chybił trafił, bez obliczania. Zresztą, miałem chwilę wahania i odniosłem wtedy wrażenie podobne może do wrażenia, jakiego doznała mme Blanchard, spadając w Paryżu z balonu na ziemię⁶⁴.

– *Quatre!*⁶⁵ – zawołał krupier. Razem z poprzednią stawką miałem znowu sześć tysięcy florenów. Spoglądałem już jak zwyczajca, już niczego, niczego się teraz nie bałem i rzuciłem cztery tysiące florenów na czarne. Z dziesięć osób za moim przykładem postawiło na czarne. Krupierzy zamienili spojrzenia i uwagi. Dokoła wszczął się gwar, czekano.

Wypadło czarne. Nie pamiętam już odtąd ani rachunku, ani kolejności stawek. Pamiętam tylko, jak przez sen, że wygrałem już, zdaje się, jakie szesnaście tysięcy florenów; nagle, w trzech nieszczęśliwych grach, straciłem z nich dwanaście; później postawiłem ostatnie cztery tysiące na „*passé*” (ale nie doznałem przy tym już prawie żadnego wrażenia; wyczekiwałem

⁶¹ Ostatnie trzy gry, panowie!

⁶² Dwadzieścia dwa!

⁶³ Trzydzieści jeden!

⁶⁴ Sophie Blanchard (1778-1819), zginęła w wyniku katastrofy balonu unoszącego się nad Paryżem. Balon wybuchł pod wpływem fajerwerków, które pani Blanchard zaczęła puszczać z gondoli.

⁶⁵ Cztery!

tylko, jakoś mechanicznie, bezmyślnie) – i znów wygrałem; później wygrałem jeszcze cztery razy z kolei. Pamiętam tylko, że zbierałem pieniądze tysiącami; przypominam sobie również, że najczęściej wypadało dwanaście środkowych, na które często stawiałem. Pojawiały się one jakoś regularnie – stale trzy, cztery razy pod rząd, potem znikaly na dwie gry, a potem znów wracały na trzy albo cztery pod rząd. Ta zadziwiająca regularność trafia się niekiedy seriami – i to właśnie zbija z tropu graczy zapisujących, wyliczających z ołówkiem w rękę. I jaka straszliwa ironia losu towarzyszy temu niekiedy!

Sądę, że od chwili mojego przybycia nie upłynęło więcej niż pół godziny. Nagle krupier oświadczył mi, że wygrałem już trzydzieści tysięcy florenów, a ponieważ bank nie odpowiada za więcej od razu, więc ruletkę zamkną do jutra rana. Schwyciłem całe moje złoto, zsyłałem je do kieszeni, zabrałem wszystkie banknoty i natychmiast przeniosłem się na inny stół, do innej sali, gdzie była druga ruletka; pociągnąłem za sobą cały tłum; tam natychmiast opróżniono dla mnie miejsce i zacząłem znów stawiać na oślepe, bez rachuby. Nie wiem, co mnie uratowało!

Niekiedy zresztą zaczynało mi świtać w głowie jakieś wyliczenie. Przyczepiałem się do niektórych cyfr i szans, ale wkrótce porzucałem je i stawiałem znów prawie nieprzytomnie. Zapewne byłem bardzo roztargniony; pamiętam, że krupierzy nieraz poprawiali moją grę. Popelniałem grube błędy. Na czoło wystąpił mi pot i ręce mi drżały. Przyskakiwały też i Polaczki, gotowe do usług, ale nie słuchałem nikogo. Szczęście mnie nie opuszczało! Nagle dookoła rozległ się głośny gwar i Śmiech. „Brawo, brawo!” wołali wszyscy, niektórzy nawet zaczęli klaskać w ręce. Zabrałem i tutaj znowu trzydzieści tysięcy florenów i znów bank został zamknięty do jutra!

– Niech pan ucieka, niech pan ucieka – szeptał mi jakiś głos z prawej strony. Był to jakiś frankfurcki Żyd; cały czas stał obok mnie i, zdaje się, pomagał mi czasem w grze.

– Na Boga, niech pan ucieka – szepnął inny głos nad moim lewym uchem. Spojrzałem z ukosa. Była to kobieta mniej więcej trzydziestoletnia, ubrana bardzo skromnie i przyzwoicie, o twarzy jakoś chorobliwie bladej i zmęczonej, lecz przypominającej nawet teraz jej cudowną, dawną piękność. W owej chwili właśnie napychałem sobie kieszenie banknotami, które miałem w rękę, i zgarniałem ze stołu pozostałe złoto. Schwyciwszy ostatni rulon z pięćdziesięcioma friedrichsdorami, zdążyłem zupełnie niepostrzeżenie wcisnąć go w rękę bladej kobiecie; miałem wtenczas ogromną ochotę to zrobić i pamiętam, że chude, delikatne jej palce mocno uściśniły moją dłoń na znak najwyższej wdzięczności. Wszystko to trwało jedno mgnienie.

Zebrawszy wszystko, szybko przeniosłem się do *trente et quarante*.

W *trente et quarante* gra publiczność arystokratyczna. To nie ruletka lecz karty. Tutaj bank odpowiada za sto tysięcy talarów od razu. Największa stawka również cztery tysiące florenów. Zupełnie nie znałem gry i nie wiedziałem, jak się stawia, znając tylko czerwone i czarne, które tu także były. Do nich też się przyczepiłem. Całe kasyno zebrało się dokoła. Nie pamiętam, czy pomyślałem wtedy chociaż raz o Polinie. Odczuwałem wtedy jakąś nieprzewyciężoną rozkosz w chwytaniu i zagarnianiu banknotów, które narastały przede mną.

Istotnie, los jak gdyby sam mnie popychał. Tym razem, jakby naumyślnie, zdarzyła się pewna okoliczność, która zresztą dość często zdarza się podczas gry. Przyczepi się szczęście na przykład do czerwonego i nie opuszcza go dziesięć, a nawet piętnaście razy z rzędu. Słyszałem już w zeszłym tygodniu, że czerwone wyszło dwadzieścia dwa razy z rzędu; tego nie przeoczą na ruletce, opowiadano o tym z podziwem. Rozumie się, wszyscy natychmiast porzucają czerwone, już po dziesięciu razach, i prawie nikt nie decyduje się na nie stawiać. Ale żaden doświadczony gracz nie stawia również i na czarne, przeciwieństwo czerwonego.

Doświadczony gracz wie, co znaczy ten „upór przypadku”. Na przykład zdawałoby się, że po szesnastu razach czerwonego, siedemnaste uderzenie wypadnie z pewnością na czarne. Tłumnie rzucają się na to nowicjusze, podwajając i potrajając stawki, i strasznie się zgrywają.

Ale przez jakiś dziwny upór, zauważywszy, że czerwone wyszło siedem razy pod rząd, umyślnie zacząłem na nie stawiać. Jestem przekonany, że było w tym wiele próżności; chciałem zadziwić widzów szalonym ryzykiem i – co za dziwne wrażenie – pamiętam dokładnie, że nagle, rzeczywiście już tylko przez próżność, oładnęła mną straszna żądza ryzyka. Może po doznaniu tych wrażeń dusza przestaje się nimi nasycać, tylko rozdrażnia się i żąda wrażeń coraz mocniejszych, aż do zupełnego wyczerpania. I, doprawdy, nie kłamię, gdyby prawidła gry pozwalały na postawienie pięćdziesięciu tysięcy florenów, postawiłbym je z pewnością. Wkoło wołano, że to szaleństwo, że czerwone wypada już czternasty raz!

– *Monsieur a gangé déjà cent mille florins!*⁶⁶ – rozległ się obok czyjś głos.

Ocknąłem się nagle. Jak to? Wygrałem tego wieczoru sto tysięcy florenów! A na cóż mi więcej? Rzuciłem się na banknoty, wepchnąłem je do kieszeni, nie licząc, zgarnąłem całe moje złoto, wszystkie rulony i wybiegłem z kasyna. Gdy przechodziłem przez sale, wszyscy się śmieli, patrząc na moje wypchane kieszenie i nierówny skutkiem ciężaru złota chód. Sądzę, że było go znacznie więcej niż pół puda. Kilka rąk wyciągnęło się do mnie; rozdawałem garściami, ile zagarnąłem. Dwaj Żydzi zatrzymali mnie przy wyjściu.

– Pan jest odważny! Pan jest bardzo odważny! – powiedzieli mi. – Ale niech pan koniecznie jutro rano wyjedzie, i to możliwie jak najwcześniej, bo jak nie, to pan wszystko przegra...

Nie słuchałem ich. Aleja była tak ciemna, że własnej ręki nie można było dojrzeć. Do hotelu było około pół wiorsty. Nigdy nie bałem się ani złodziei, ani bandytów, nawet jako malec; nie myślałem o nich i teraz. Nie pamiętam zresztą, o czym myślałem przez całą drogę; nie miałem żadnych myśli. Odczuwałem tylko jakąś strasliwą rozkosz – powodzenia, zwycięstwa, potęgi – nie wiem, jak to nazwać. Błysnął mi również obraz Poliny; pamiętałem i zdawałem sobie sprawę, że idę do niej, zaraz się z nią zobaczę i będę jej opowiadać, pokażę... ale już ledwie pamiętałem i to, co ona mi niedawno mówiła, i dlaczego poszedłem, i wszystkie te niedawne przeżycia, które miały miejsce półtorej godziny temu, wydawały mi się już teraz czymś dawno minionym, załatwionym, przestarzałym – o czym już nie będziemy więcej wspominać, bo teraz wszystko się zaczyna od nowa. Prawie przy samym końcu alei nagle mnie ogarnął strach; „A gdyby mnie teraz zabito i ograbiono!” Z każdym krokiem mój strach się podwajał. Nagle na końcu alei niezliczonymi światłami zabłysnął nasz hotel – chwała Bogu: już w domu!

Pobiegłem na swoje piętro i szybko otworzyłem drzwi. Polina była tu i siedziała na kanapie przed zapaloną świecą, skrzyżowawszy ręce. Popatrzyła na mnie ze zdumieniem; z pewnością w owej chwili miałem wygląd dość dziwny. Zatrzymałem się przed nią i zacząłem rzucać na stół mój stos pieniędzy.

⁶⁶ Pan wygrał już sto tysięcy florenów!

15

Pamiętam, że patrzyła mi w oczy z przerażającą uwagą, lecz nie ruszała się z miejsca, nie zmieniała nawet pozycji.

– Wygrałem dwieście tysięcy franków! – zawołałem, rzucając ostatni rulon. Ogromny stos banknotów i rulonów złota zajął cały stół; nie mogłem już od niego oczu oderwać, chwilami zupełnie zapomniałem o Polinie. To zaczynałem porządkować pliki banknotów, składałem je razem, to zsypywałem złoto w jeden stos; to rzucałem wszystko i zaczynałem szybkimi krokami chodzić po pokoju, zamyślałem się, potem nagle znów podchodziłem do stołu, znów zaczynałem rachować pieniądze. Nagle, jakby przypominając coś sobie, podbiegłem do drzwi i czym prędzej zamknąłem je, przekręcając klucz dwa razy. Potem zatrzymałem się w zamyśleniu przed moją małą walizką.

– Czy włożyć do jutra w walizkę? – zapytałem, zwracając się nagle do Poliny, i nagle przypomniałem sobie o niej. Siedziała wciąż, nie poruszając się, na tym samym miejscu, lecz bacznie mnie obserwowała. Miała jakiś dziwny wyraz twarzy; nie podobał mi się ten wyraz! Nie omyle się, jeżeli powiem, że była w nim nienawiść.

Szybko podszedłem do niej.

– Polino, oto dwadzieścia pięć tysięcy florenów – to pięćdziesiąt tysięcy franków, nawet więcej. Niech pani je weźmie i rzuci mu jutro w twarz.

Nie odpowiedziała mi.

– Jeżeli pani chce, sam mu je jutro rano odwiozę. Dobrze?

Nagle roześmiała się. Śmiała się długo.

Patrzyłem na nią ze zdziwieniem i z uczuciem bólu. Ten śmiech był bardzo podobny do owego ironicznego śmiechu, którym niedawno tak często się ze mnie śmiała podczas najbardziej namiętnych moich wyznań. W końcu przestała się śmiać i zasepiła się; surowo przpatrywała mi się spod oka.

– Nie wezmę pańskich pieniędzy – powiedziała z pogardą.

– Jak to? Co takiego? – zawołałem. – Polino, dlaczego?

– Nie przyjmuję pieniędzy za darmo.

– Ofiarowuję je pani jako przyjaciel; życie pani ofiarowuję.

Popatrzyła na mnie długim, badawczym spojrzeniem, jakby mnie chciała nim przeszyć na wskroś.

– Drogo pan płaci – rzekła uśmiechając się – kochanka des Grioux nie jest warta pięćdziesięciu tysięcy franków.

– Polino, jak można tak mówić ze mną! – zawołałem z wyrzutem. – Czyż ja jestem des Grioux.

– Nienawidzę pana! Tak... tak! Nie kocham pana bardziej niż des Grioux! – zawołała, a oczy jej nagle zabłyły.

Wtem zakryła twarz rękami i dostała ataku hysterii. Podbiegłem ku niej.

Zrozumiałem, że coś się z nią stało podczas mojej nieobecności. Była zupełnie jak pomieszana.

– Kup mnie! Chcesz? Chcesz? Za pięćdziesiąt tysięcy franków, jak des Grioux? – wyrwało się jej nagle razem ze spazmatycznym łkaniem. Objąłem ją, całowałem jej ręce, nogi, upadłem przed nią na kolana.

Atak hysterii mijał. Położyła ręce na moich ramionach i przyglądała mi się uważnie; zdawało się, że chciała coś wyczytać z moich oczu. Słuchała mnie, ale widocznie nie słyszała, co do niej mówiłem. Jakaś troska i zamyślenie pojawiły się na jej twarzy. Lękałem się o nią; wydawało mi się, że ogarnia ją szaleństwo. To nagle zaczynała łagodnie przyciągać mnie ku sobie; uśmiech zaufania już błędził po jej twarzy; to nagle odtrącała mnie i znów zaczynała się we mnie wpatrywać ponurym spojrzeniem.

Nagle zaczęła mnie ścisnąć.

– Przecież ty mnie kochasz? – mówiła – przecież ty, przecież ty... chciałeś się dla mnie pojedynkować z baronem! – I nagle zaczęła się śmiać – jak gdyby coś śmiesznego i miłego przyszło jej na myśl. I płakała, i śmiała się równocześnie. Ale cóż miałem robić? Sam byłem jak w gorączce. Pamiętam, że zaczynała coś do mnie mówić – ale prawie nic nie mogłem zrozumieć. To było jakieś bredzenie, jakiś bełkot – jak gdyby chciała jak najprędzej coś mi opowiedzieć – bredzenie, przerywane niekiedy jak najweselszym śmiechem, którego zaczynałem się lękać. „Nie, nie, tyś miły, miły!” – powtarzała. „Tyś mój, wierny!” – i znów kładła mi ręce na ramiona, znów się we mnie wpatrywała i powtarzała w dalszym ciągu; „Ty mnie kochasz... kochasz... będziesz kochać?” Nie spuszczałem z niej oczu; jeszcze nigdy jej nie widziałem w takim napadzie tkliwości i miłości; co prawda, było to, naturalnie, bredzenie, lecz ona... dostrzegłszy moje namiętne spojrzenie, zaczynała nagle mówić o mister Astleyu.

Zresztą o mister Astleyu ciągle zaczynała mówić (zwłaszcza kiedy usiłowała mi coś opowiedzieć), ale co mianowicie mówiła – zupełnie nie mogłem się zorientować; zdaje się, że się nawet wyśmiewała z niego; powtarzała bez przerwy, że on czeka... i pytała, czy ja wiem, że on z pewnością stoi teraz pod oknem. „Tak, tak, pod oknem – no otwórz, popatrz, on tam jest, jest!” Popychała mnie do okna, ale zaledwie zrobiłem ruch w tym kierunku, wybuchła śmiechem i pozostawałem przy niej, a ona rzucała się w moje objęcia.

– Wyjedziemy? Jutro wyjedziemy, prawda? – przychodziło jej nagle niespokojnie na myśl. – No... (tu zamyśliła się), no, a czy dogonimy babcię, jak myślisz? Sądzę, że w Berlinie dogonimy. Jak myślisz, co ona powie, kiedy ją dogonimy i kiedy nas razem zobaczy? A mister Astley?... No, ten nie skoczy ze Schlangenbergu, jak myślisz? (Zaśmiała się.) Słuchaj: wiesz, dokąd on się wybiera na przyszłe lato? Chce jechać na biegun północny w celu badań naukowych i zapraszał mnie, żebym się z nim wybrała, cha-cha-cha! On mówi, że my, Rosjanie, bez Europejczyków nic nie wiemy i do niczego nie jesteśmy zdolni... Ale on również dobry sobie! Wiesz, usprawiedliwia „generała”; mówi, że Blanche... że namiętność – no nie wiem, nie wiem – powtórzyła nagle, jakby zapominając, o czym mówiła. – Biedni oni, jak mi ich żal, i babci... No słuchaj, słuchaj, jakżebyś ty mógł zabić des Grioux? I czy ty naprawdę, naprawdę myślałeś, że go zabijesz? O głupi! Czyż naprawdę mogłeś pomyśleć, że ja ci pozwolę pojedynkować się z des Grioux? Ale nawet barona nie zabijesz – dodała, zaśmiaawszy się nagle. – O, jakiś ty był śmieszny wtedy z baronem; patrzyłam na was obu z ławki; i jak ci się nie chciało wtedy iść, kiedy cię wysyłałam. Jak ja się wtenczas śmiałam, jak ja się wtenczas śmiałam – dodała, zanosząc się od śmiechu.

I nagle znów całowała mnie i ścisnęła, znów tkliwie i namiętnie przyciskała twarz do mojej twarzy. Nie myślałem już więcej o niczym i nic nie słyszałem. W głowie mi się zakreśliło...

Sądzę, że było około siódmej, kiedy się ocknąłem; w pokoju było jasno. Polina siedziała obok mnie i dziwnie rozglądała się, jak gdyby wychodząc z jakiegoś mroku i porządkując wspomnienia. Ona również dopiero co się obudziła i uważnie patrzyła na stół i pieniądze. Głowa ciążyła mi, bolała. Chciałem wziąć Polinę za rękę, lecz nagle odtrąciła mnie i zerwała się z kanapy. Zaczynający się dzień był pochmurny, przed świtem padał deszcz. Podeszła do okna, otworzyła je, wychyliła głowę i piersi i, podparwszy się rękami, a łokcie oparwszy o

parapet, przetrwała tak ze trzy minuty, nie odwracając się do mnie i nie słuchając, co do niej mówiłem. Myślałem ze strachem: co teraz będzie, czym się to wszystko skończy? Nagle podniosła się, podeszła do stołu i patrząc na mnie z wyrazem niezmiernej nienawiści, drżącymi ze złości ustami powiedziała:

– No, oddaj mi teraz moje pięćdziesiąt tysięcy franków!

– Polino, znowu, znowu? – zacząłem.

– Może się rozmyśliłeś? Cha-cha-cha! Może ci już żal?

Dwadzieścia pięć tysięcy florenów, odliczone jeszcze wczoraj, leżało na stole; wziąłem je i podałem jej.

– Więc one teraz do mnie należą? Prawda? Prawda? – pytała mnie ze złością, trzymając pieniądze.

– Ależ one zawsze do ciebie należały – powiedziałem.

– No więc masz swoje pięćdziesiąt tysięcy franków!

Zamachnęła się i rzuciła je we mnie. Pakiet boleśnie uderzył mnie w twarz i pieniądze rozsypały się po podłodze. Zrobiwszy to, Polina wybiegła z pokoju.

Wiem, że z pewnością w owej chwili nie była przy zdrowych zmysłach, chociaż nie rozumiem tego chwilowego obłądu. Co prawda, jeszcze i teraz, po upływie miesiąca jest chora. Co było jednak przyczyną tego stanu, a zwłaszcza tego wybryku? Czy urażona duma? Czy rozpacz, że zdecydowała się przyjść do mnie? Może się jej zdawało, że chętnie się moim szczęściem i tak samo jak des Grieux chcę się jej pozbyć, darując jej pięćdziesiąt tysięcy franków? Ale przecież tak nie było, moje sumienie mi to mówi. Myślę, że winna tu była po części i jej pycha; to pycha ją skłoniła, żeby mi nie wierzyć i obrazić mnie, chociaż sama może nie zdawała sobie z tego dokładnie sprawy. W takim razie, naturalnie, spotkało mnie to za des Grieux i ponosiłem winę za niego, sam może bez wielkiej winy. Co prawda, wszystko to była tylko maligna; prawda i to, że wiedziałem, że to maligna, i... nie zwróciłem uwagi na tę okoliczność. Może ona dotąd nie może mi tego przebaczyć? Tak, ale to teraz; ale wtedy, wtedy? Przecież ta jej maligna i gorączka nie były znów aż tak silne, żeby zupełnie nie zdawała sobie sprawy, co robi, idąc do mnie z listem des Grieux. Wiedziała więc, co robi.

Byle jak, pośpiesznie wsunąłem wszystkie moje banknoty i cały stos złota pod kołdrę, nakryłem je i wyszedłem w jakieś dziesięć minut po wyjściu Poliny. Byłem przekonany, że pobiegnęła do domu, i chciałem niepostrzeżenie dostać się do nich i w przedpokoju zapytać nianię o zdrowie panienki. Jakież było moje zdumienie, gdy dowiedziałem się od niani, którą spotkałem na schodach, że Polina jeszcze nie wróciła do domu i że niania szła po nią do mnie.

– Właśnie – powiedziałem – przed chwilą ode mnie wyszła, dziesięć minut temu, gdzie się mogła podziać?

Niania popatrzyła na mnie z wyrzutem.

A tymczasem wynikła z tego cała awantura, o której już mówiono w hotelu. W portierni u szefa recepcji szeptano sobie, że *Fraulein*⁶⁷ rano o szóstej, w deszcz wybiegła w kierunku hotelu „d’Angleterre”. Z ich słów i uwag spostrzegłem, iż wiedzą już o tym, że Polina spędziła noc w moim pokoju. Zresztą opowiadano już sobie o całej rodzinie generała: wiadano, że generał wczoraj wariował i płakał na cały hotel. Opowiadano przy tym, że babcia była jego matką, która specjalnie po to przyjechała aż z Rosji, żeby nie pozwolić synowi na małżeństwo z młde de Cominges, a za nieposłuszeństwo chciała pozbawić go spadku; ponieważ generał jej nie usłuchał, hrabina w jego oczach przegrała umyślnie cały majątek na ruletce, żeby nic nie dostał. „*Diese Russen!*”⁶⁸ – powtarzał z niechęcią szef

⁶⁷ Panienska.

⁶⁸ Ci Rosjanie!

repcji, kiwając głową. Inni śmieli się. Szef recepcji przygotowywał rachunek. O mojej wygranej już wiadano; Karl, służący na moim korytarzu, pierwszy mi powińszował. Ale nie miałem czasu zajmować się nimi. Popędziłem do hotelu „d' Angleterre”.

Było jeszcze wcześniej; mister Astley nie przyjmował nikogo; dowiedziawszy się, że to ja, wyszedł do mnie na korytarz i zatrzymał się przede mną, w milczeniu skierowawszy na mnie swoje ołowiane spojrzenie, i czekał, co powiem. Zapytałem o Polinę.

– Jest chora – odpowiedział mister Astley, dalej patrząc na mnie uparcie i nie spuszcżając ze mnie oczu.

– Więć ona naprawdę jest u pana?

– O tak, u mnie.

– Więć jakże... ma pan zamiar ją u siebie trzymać?

– O tak, mam zamiar.

– Mister Astley, to doprowadzi do skandalu; tak nie można. Przy tym ona jest zupełnie chora, może pan nie zauważył?

– O tak, zauważyłem, i powiedziałem już panu, że jest chora. Gdyby nie była chora, nie spędziłaby nocy u pana.

– Więć pan i o tym wie?

– Wiem o tym. Szła wczoraj tutaj i ja odprowadziłbym ją do mojej krewnej, ale ponieważ była chora, więc omyliła się i poszła do pana.

– Ho, ho! No, winszuję panu, mister Astley. Ach, właśnie, podsunął mi pan pewną myśl: czy pan stał przez całą noc pod naszym oknem? Miss Polina przez całą noc kazała mi otwierać okno i patrzeć, czy pan stoi pod oknem, przy czym bardzo się śmiała.

– Doprawdy? Nie, nie stałem pod oknem; ale czekałem w korytarzu i chodziłem dookoła.

– Ale przecież ją trzeba leczyć, mister Astley.

– O tak, wezwałem już doktora, a jeżeli umrze, pan zda mi sprawę z jej śmierci.

Zdumiałem się.

– Jak to, mister Astley, czego pan właściwie chce?

– A czy to prawda, że pan wczoraj wygrał dwieście tysięcy talarów?

– Tylko sto tysięcy florenów.

– No, widzi pan! A więc niech pan zaraz jedzie do Paryża!

– Po co?

– Wszyscy Rosjanie, mając pieniądze, jadą do Paryża – wyjaśnił mister Astley takim tonem, jakby to wyczytał z książki.

– Cóż ja będę teraz, w lecie, robił w Paryżu? Ja ją kocham, mister Astley! Pan sam wie o tym.

– Doprawdy? Jestem przekonany, że nie. W dodatku zostając tutaj, pan z pewnością wszystko przegra i nie będzie miał za co pojechać do Paryża. No, do widzenia, jestem głęboko przekonany, że pan dziś pojedzie do Paryża.

– Dobrze, do widzenia panu, ale ja do Paryża nie pojedę. Niech pan pomyśli, mister Astley, co teraz będzie z nimi wszystkimi? Słowem, generał... i teraz to zdarzenie z miss Poliną – przecież to się rozniesie po całym mieście.

– Tak, po całym mieście; a generał o tym nie myśli, ma, jak sędzę, czym innym głowę zaprzątniętą. Poza tym, miss Polina ma pełne prawo przebywać tam, gdzie się jej podoba. Co zaś do tej rodziny, to można powiedzieć, że ta rodzina już nie istnieje.

Szedłem i śmiałem się z dziwnej pewności tego Anglika, że pojedę do Paryża. „Jednak chce mnie zastrzelić w pojedynku – myślałem – jeżeli mademoiselle Polina umrze; nowy kłopot!” – Przysięgam, że żal mi było Poliny, ale, rzecz dziwna, począwszy od chwili, gdy dotknąłem wczoraj stołu gry i zacząłem zgarniać paczki pieniędzy, moja miłość zesłała jakby

na dalszy plan. Mówię to teraz; ale wówczas jeszcze tego wszystkiego wyraźnie nie dostrzegałem. Czyżbym rzeczywiście był graczem, czyżbym rzeczywiście... tak dziwnie kochał Polinę? Nie, Bóg jeden wie, że dotychczas ją kocham! A wtedy, gdy wyszedłem od mister Astleya i szedłem do domu, szczerze cierpiałem i sobie przypisywałem winę. Ale... ale wtedy zdarzyła mi się nadzwyczaj dziwna i głupia historia.

Spieszyłem do generała, gdy nagle, niedaleko od jego apartamentu, otworzyły się drzwi i ktoś mnie zawołał. Była to mlle veuve Cominges i wołała mnie z polecenia mlle Blanche. Wszedłem do apartamentu mlle Blanche.

Zajmowały dwa pokoje. Z sypialni słychać było śmiech i okrzyki mlle Blanche. Wstawała z łóżka.

– *Ah, c'est lui! Viens donc, bête! Czy to prawda, que tu as gagné une montagne d'or et d'argent? J'aimerais mieux l'or.*⁶⁹

– Wygrałem – odrzekłem śmiejąc się.

– Ile?

– Sto tysięcy florenów.

– *Bibi, comme tu es bete.* No chodźże tutaj, bo nic nie słyszę. *Nous ferons bombance, n'est-ce pas?*⁷⁰

Wszedłem do niej. Wylegiwała się pod różową atlasową kołdrą, spod której wychylały się smagłe, zdrowe, zadziwiające ramiona, jakie można zobaczyć tylko we śnie – z lekka zasłonięte batystową, obszytą bielutkimi koronkami koszulką, która dziwnie harmonizowała z jej smagłą skórą.

– *Mon fils, as-tu du coeur?*⁷¹ – zawołała ujrawszy mnie i roześmiała się. Śmiała się zawsze bardzo wesoło i czasem nawet szczerze.

– *Tout autre...*⁷² – zacząłem, parafrazując Comeille'a⁷³.

– Otóż widzisz, *vois-tu* – zaterkotała nagle – po pierwsze, znajdź mi pończochy i pomóż je włożyć; a po drugie, *si tu n'es pas bête, je te prends à Paris.*⁷⁴ Wiesz, zaraz jadę.

– Zaraz?

– Za pół godziny.

Istotnie, wszystko było przygotowane. Wszystkie jej rzeczy i walizy stały spakowane. Kawa była już dawno podana.

– *Eh bien! jeśli chcesz, tu verras Paris. Dis donc qu'est-ce que c'est qu'un outchitel. Tu étais bête, quand tu étais outchitel.*⁷⁵ Gdzież moje pończochy? No pomóżże mi je włożyć! Gdzież moje pończochy? No pomóżże mi je włożyć!

Wysunęła naprawdę zachwycającą nóżkę, smagłą, maleńką, nie powykrzywianą, jak zwykle prawie wszystkie takie nóżki, które wydają się takie milutkie w buciczkach. Roześmiałem się i zacząłem naciągać jedwabną pończoszkę. Mlle Blanche przez ten czas siedziała na łóżku i paplała.

– *Eh bien, que feras-tu, si je te prends avec?* Po pierwsze, *je veux cinquante mille francs.* Dasz mi je we Frankfurcie. *Nous allons a Paris;* tam mieszkamy razem *et je te ferai voir des étoiles en plein jour.*⁷⁶ Zobaczysz takie kobiety, jakich nigdy w życiu nie widziałeś. Słuchaj...

⁶⁹ Ach, to on! No, chodźże, głuptasie! (...) że wygrałeś górę złota i srebra? Wołałabym samego złota.

⁷⁰ Aleś ty głupi, bobasku, (...) Zabawimy się, co?

⁷¹ Jesteś odważny, synku?

⁷² Gdyby kto inny...

⁷³ Zob. Cyd Corneille'a (akt 1, scena 5).

⁷⁴ jeśli nie będziesz głupi, zabiorę cię do Paryża.

⁷⁵ No cóż (...) zobaczysz Paryż. No powiedz, kto to jest nauczyciel? Byłeś bardzo głupi, gdy byłeś nauczycielem.

– Czekaj no, więc mam ci oddać pięćdziesiąt tysięcy franków, a cóż mnie się zostanie?

– *Et cent cinquante mille francs*, zapomniałeś, a oprócz tego gotowa jestem mieszkać u ciebie miesiąc, dwa, *que sais-je!* Naturalnie, przez dwa miesiące wydamy te sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Widzisz, *je suis bonne enfant* i mówię ci z góry, *mais tu verras des étoiles*.⁷⁷

– Jak to, wszystko przez dwa miesiące?

– Co! Zdumiewa cię to? *Ah, vil esclave!* A czy wiesz, że jeden miesiąc takiego życia jest więcej wart niż cała twoja egzystencja? Jeden miesiąc – *et apres le deluge! Mais tu ne peux comprendre, vil!* Idź, sobie, ty nie jesteś tego wart! *Ah, que fais tu?*⁷⁸

W tej chwili naciągnąłem drugą pończoszkę, ale nie wytrzymałem i pocałowałem nóżkę. Wyrwała mi ją i zaczęła mię bić koniuszkiem stopy po twarzy. Wreszcie, całkiem mnie wypędziła.

„*Eh bien, mon outchitel, je t’attends, si tu veux*⁷⁹ za kwadrans jadę!” – zawołała za mną.

Wróciwszy do domu, czułem się oszołomiony. Cóż, nie jestem winien, że młde Polina rzuciła mi paczkę banknotów w twarz i już wczoraj wybrała mister Astleya zamiast mnie. Niektóre z rozsypanych banknotów jeszcze leżały na podłodze; pozbierałem je. W tej chwili otworzyły się drzwi i zjawił się sam szef recepcji (który przedtem nawet nie chciał na mnie patrzeć) z propozycją, czy nie chciałbym się przenieść na dół, do wspaniałego apartamentu, który niedawno zajmował hrabia W.

Postałem chwilę, pomyślałem.

– Rachunek! – wykrzyknąłem – zaraz jadę, za dziesięć minut. „Jak do Paryża, to do Paryża! – pomyślałem sobie – widocznie takie przeznaczenie!”

Po upływie kwadransa rzeczywiście siedzieliśmy we troje w przedziale familijnym; ja, młde Blanche i młde veuve Cominges. Młde Blanche chichotała niemal histerycznie, patrząc na mnie. Veuve Cominges wtórowała jej; nie powiem, żeby mi było wesoło. Życie łamało się na dwoje, ale od wczoraj przywykłem już wszystko stawiać na jedną kartę. Może to prawda, że nie mogłem wytrzymać bogactwa i zakręciło mi się w głowie. *Peut-être, je ne demandais pas mieux*⁸⁰. Zdawało mi się, że na jakiś czas – ale tylko na jakiś czas – dekoracje się zmieniają. „Ale po miesiącu będę tutaj i wówczas... wówczas jeszcze będziemy mieli ze sobą do czynienia, mister Astley!” Nie, kiedy sobie teraz przypominam, było mi wtedy okropnie smutno, chociaż śmiałem się do rozpuku z tą głupiutką Blanche.

– Czego chcesz! Jakiś ty głupi! – wołała Blanche, przerywając śmiech i zaczynając mi na serio wymyślać. – No tak, no tak, tak, wydamy twoje dwieście tysięcy franków, ale za to, *mais tu seras heureux, comme un petit roi*⁸¹; sama ci będę zawiązywała krawaty i zapoznam cię z Hortense. A kiedy wydamy wszystkie nasze pieniądze, przyjedziesz tu i znów rozbijesz bank. Co ci Żydzi powiedzieli? Najważniejsze – śmiałość, a ty ją masz, i jeszcze mi nieraz będziesz przywoził pieniądze do Paryża. *Quant a moi, je veux cinquante mille francs de rente et alors...*⁸²

– A generał? – zapytałem.

– A generał, sam wiesz przecież, codziennie o tej porze wychodzi po bukiet dla mnie. Tym razem umyślnie kazałam mu wyszukać najrzadsze kwiaty. Biedaczek, wróci, a ptaszek

⁷⁶ No więc, co zrobisz, jeśli wezmę cię ze sobą? (...) chcę pięćdziesiąt tysięcy franków. (...) Pojedziemy do Paryża (...) i pokażę ci gwiazdy w biały dzień.

⁷⁷ A sto pięćdziesiąt tysięcy franków (...) czy ja wiem! (...) jestem uczciwa (...) ale zobaczysz gwiazdy.

⁷⁸ Paskudny niewolniku! (...) a potem potop! Ale ty nie możesz tego zrozumieć, idź sobie! (...) Ach, co ty robisz?

⁷⁹ No, mój nauczycielu, czekam na ciebie, jeśli chcesz

⁸⁰ Ale może właśnie tego potrzebowałam.

⁸¹ będziesz szczęśliwy jak król...

⁸² Co do mnie, chcę mieć pięćdziesiąt tysięcy franków renty, a wtedy...

uciekł. Polecą za nami, zobaczysz. Cha-cha-cha! Będę bardzo zadowolona – przyda mi się w Paryżu; tutaj za niego zapłaci mister Astley...

I w taki sposób pojechałem wówczas do Paryża.

Cóż mam powiedzieć o Paryżu? Wszystko to było, naturalnie, i szaleństwem, i głupotą. Spędziłem w Paryżu ogółem tylko trzy tygodnie i kilka dni, i przez ten czas moje sto tysięcy franków zupełnie się skończyło. Mówię tylko o stu tysiącach; pozostałe sto tysięcy oddałem mlle Blanche gotówką – pięćdziesiąt tysięcy we Frankfurcie, a po trzech dniach, w Paryżu, dałem jej weksel na pięćdziesiąt tysięcy franków, za który zresztą po tygodniu wzięła ode mnie pieniądze, „*et les cent mille francs, qui nous restent, tu les mangeras avec moi, mon outchitel*”⁸³. Stale mnie tak nazywała. Trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej wyrachowanego, skąpego i chciwego pod słońcem niż kategoria istot podobnych do mlle Blanche. Ale to tylko względem własnych pieniędzy. Co się zaś tyczy moich stu tysięcy franków, to bez ogródek oświadczyła mi później, że były jej potrzebne na urządzenie się w Paryżu. „Teraz to już urządziłam sobie życie na przyzwoitej stopie, raz na zawsze, i już przez długi czas nikt mnie nie zepchnie z tej pozycji, przynajmniej tak to załatwiłam” – dodała. Zresztą nie oglądałem prawie tych stu tysięcy; pieniądze cały czas znajdowały się u niej, a w mojej sakiewce, do której sama codziennie zaglądała, nigdy nie zbierało się więcej niż sto franków, a prawie zawsze było mniej.

– No i na co ci pieniądze? – mówiła czasami w najprostszy sposób i nie sprzeczałem się z nią. Za to zupełnie nieźle urządziła sobie mieszkanie za te pieniądze i kiedy później przeprowadziliśmy się tam, pokazując mi pokoje, powiedziała: „Oto, co można zrobić przy najskromniejszych środkach mając rozum i smak”. Te najskromniejsze środki wynosiły jednak akurat pięćdziesiąt tysięcy franków. Za pozostałe pięćdziesiąt tysięcy sprawiła sobie powóz, konie, poza tym wydaliśmy dwa bale, czyli dwa przyjęcia, na których były i Hortense, i Lisette, i Cleopatre – kobiety godne uwagi pod bardzo wieloma względami, a nawet wcale niegłupie. Na tych dwóch przyjęciach musiałem grać najgłupszą w świecie rolę gospodarza, witać i bawić wzbogaconych i głupkowatych kupczyków, nieznośnych przez swoje prostactwo i bezwstyd różnych poruczników, kiepskich literatów i moli dziennikarskich, którzy zjawili się w modnych frakach, w jasnożółtych rękawiczkach i z zarozumiałością i samochwalstwem na taką skalę, jaka nawet u nas, w Petersburgu, jest nie do pomyślenia – a to już wiele mówi. Zamierzali nawet mnie wyśmiewać, ale wypilem szampana i położyłem się w sąsiednim pokoju. Wszystko to mierziło mnie nad wyraz. „*C'est un outchitel* – mówiła o mnie Blanche – *il a gagné deux cent mille francs*”⁸⁴, i beze mnie nie wiedziałby, jak je wydać. Później znów zostanie nauczycielem; czy nie wie kto o posadzie dla niego? Trzeba coś dla niego zrobić”. Zacząłem coraz częściej pić szampana, bo stale mi było bardzo smutno i do ostateczności nudno. Żyłem w sferze burżuazyjnej i kupieckiej, gdzie każdy sous był wyliczony i odmierzony. Blanche przez pierwsze dwa tygodnie bardzo mnie nie lubiła, zauważyłem to; co prawda ubrała mnie wykwintnie i sama codziennie zawiązywała mi krawat, ale w głębi duszy szczerze mną pogardała. Nie zwracałem na to najmniejszej uwagi. Znudzony i ponury, zacząłem uciekać najczęściej do „Château des Fleurs”, gdzie regularnie co wieczór upijałem się i uczyłem się kankana (którego tam fatalnie tańczą), i później doszedłem nawet w tej dziedzinie do pewnej sławy. Wreszcie Blanche rozgryzła mnie: z góry

⁸³ a sto tysięcy franków, które zostały, przejesz ze mną, mój nauczycielu

⁸⁴ To nauczyciel (...) wygrał dwieście tysięcy franków

powzięła myśl, że przez cały czas naszego współżycia będę chodzić za nią z ołówkiem i kartką w rękę i wciąż będę rachował, ile wydała, ile ukradła, ile wyda i ile jeszcze ukradnie. I z pewnością była przekonana, że o każde dziesięć franków będziemy staczali bitwę. Na każdy mój atak, przewidywany z góry, przygotowywała sobie zawczasu kontruderzenie; ale nie widząc z mojej strony żadnych ataków, sama próbowała wszczynać sprzeczki. Niekiedy zaczynała mi coś bardzo gorąco tłumaczyć, ale widząc, że milczę – najczęściej rozparty na szeszlony i nieruchomo wpatrzony w sufit – nawet się wreszcie dziwiła. Z początku myślała, że jestem po prostu głupi, *un outchitel*, i przerywała wyjaśnienia, zapewne myśląc sobie: „Przecież on jest głupi; nie ma potrzeby mu tłumaczyć, jeżeli sam nie rozumie”. Czasem odchodziła, ale po dziesięciu minutach znów wracała (to się zdarzało w czasie jej nieprawdopodobnych wydatków, zupełnie nieproporcjonalnych do naszych środków: na przykład zmieniała konie i kupiła nową parę za szesnaście tysięcy franków).

– A więc nie gniewasz się, Bibi? – podchodziła do mnie.

– Nie-e-e! Naprzykrzy-y-yaś mi się! – mówiłem, odpychając Blanche ręką, ale to ją tak zaciekawiło, że natychmiast przy mnie usiadła.

– Widzisz, jeżeli się zdecydowałam tyle zapłacić, to tylko dlatego, że je sprzedawano okazjnie. Można je odsprzedać za dwadzieścia tysięcy franków.

– Wierzę, wierzę; konie są śliczne i masz teraz wspaniały ekwipaż; przyda się; no i dość o tym.

– Więc ty się nie gniewasz?

– Za co? Postępujesz rozumnie, zabezpieczając się przez kupno niektórych koniecznych dla ciebie rzeczy. Widzę, że rzeczywiście musisz żyć na wysokiej stopie; inaczej nie zdobędziesz miliona. Te nasze sto tysięcy franków to tylko początek, kropla w morzu.

Blanche, która najmniej spodziewała się po mnie takich wywodów (zamiast krzyku i wymówek!), jakby z nieba spadła.

– A więc ty... a więc taki jesteś! *Mais tu as l'esprit pour comprendre! Sais-tu, mon garçon,*⁸⁵ chociaż jesteś nauczycielem, powinieneś się urodzić księciem! Więc nie martwisz się, że pieniądze się nam szybko rozchodzą?

– E tam, niechby jak najprędzej!

– *Mais... sais-tu... mais dis donc*, jesteś bogaty? *Mais sais-tu*, zbyt już pogardzasz pieniędzmi. *Qu'est-que tu feras après, dis donc?*⁸⁶

– *Après* pojedę do Homburga i znów wygram sto tysięcy franków.

– *Oui, oui, c'est ça, c'est magnifique!* I ja wiem, że na pewno wygrasz i przywieziesz tutaj. *Dis donc*, ależ ty doprowadzisz do tego, że cię naprawdę pokocham! *Eh bien*, za to, że jesteś taki, będę cię przez cały czas kochać i nie zdradzę cię ani razu. Widzisz, przez ten czas, chociaż cię nawet nie kochałam, *parce que je croyais, que tu n'es qu'un outchitel (quelquechose comme un laquais, n'est-ce pas?)*, jednak byłam ci wierna, *parce que je suis bonne fille.*⁸⁷

– No, łżesz! A z Albertem, z tym czarnym oficerkiem, myślisz, że nie widziałem ostatnim razem?

– *Oh, oh, mais tu es...*⁸⁸

⁸⁵ Ty jednak masz głowę na karku! Wiedz mój chłopcze

⁸⁶ No wiesz... powiedz no (...) A co zrobisz potem?

⁸⁷ Ta, tak, otóż to, wspaniale! (...) No wiesz (...) Dobrze (...) ponieważ myślałam, że jesteś tylko nauczycielem (to coś takiego jak lokaj, nie?) (...) bo jestem uczciwą dziewczyną.

⁸⁸ Och, och, ale ty jesteś...

– No, łżesz, łżesz; myślisz, że się gniewam? Pal sześć; *il faut que jeunesse se passe*.⁸⁹ Nie możesz go przecież odpędzić, jeżeli był wcześniej ode mnie i jeżeli go kochasz. Tylko nie dawaj mu pieniędzy, słyszysz?

– Więc ty i za to się nie gniewasz? *Mais tu es un vrai philosophe, sais-tu? Un vrai philosophe!* – zawołała z zachwytem. – *Eh bien, je t'aimerai, je t'aimerai – tu verras, tu seras content!*⁹⁰

I rzeczywiście, od tej chwili jakby naprawdę się do mnie przywiązała, nawet po przyjacielsku, i tak minęło nam ostatnie dziesięć dni. Obiecanych „gwiazd” nie widziałem; ale pod pewnymi względami naprawdę dotrzymała słowa. Ponadto zapoznała mnie z Hortense, która była kobietą aż nazbyt godną uwagi w swoim rodzaju, i w naszym kółku nazywano ją *Thérèse philosophe*...⁹¹

Zresztą, nie ma co się nad tym rozwodzić; wszystko to mogłoby posłużyć za temat osobnego opowiadania o specjalnym zabarwieniu, którego nie chcę nadawać tej opowieści. Rzecz polegała na tym, że ze wszystkich sił pragnąłem, żeby wszystko to jak najprędzej się skończyło. Ale nasze sto tysięcy franków wystarczyło, jak już mówiłem, prawie na miesiąc – czemu się szczerze dziwię; przynajmniej za osiemdziesiąt tysięcy z tych pieniędzy Blanche nakupowała sobie rzeczy, a na życie wydaliśmy z pewnością nie więcej niż dwadzieścia tysięcy franków – a jednak starczyło. Blanche, która pod koniec była już prawie zupełnie szczerą wobec mnie (przynajmniej nie wszystko, co mówiła, było kłamstwem), przyznała się, że w każdym razie nie będą na mnie ciążyły długi, które musiała zaciągnąć. „Nie dawałam ci do podpisywania weksli i rachunków – mówiła – bo żał mi cię było; inna z pewnością by to zrobiła i wtrąciła cię do więzienia. Widzisz, widzisz, jak ja cię kochałam i jaka jestem dobra! Samo to wesele, niech je diabli porwą, ile mnie będzie kosztowało!”

Istotnie odbyło się u nas wesele. Nastąpiło to już pod sam koniec naszego miesiąca i należy przypuszczać, że zostały na nie wydane resztki moich stu tysięcy franków; na tym się wszystko skończyło, a raczej na tym skończył się nasz miesiąc, po czym otrzymałem formalną dymisję.

Stało się to tak: w tydzień po naszym osiedleniu się w Paryżu przyjechał generał. Przyjechał prosto do Blanche i od pierwszej wizyty prawie od nas nie wychodził, choć miał gdzieś własne mieszkanko. Blanche powitała go radośnie, z piskiem i śmiechem, i nawet uściskała go; tak się sprawy ułożyły, że sama go nie puszczała od siebie i musiał wszędzie jej towarzyszyć; i na bulwarze, i na przejażdżkach, i w teatrze, i na wizytach. Do tego generał jeszcze się nadawał; był dość reprezentacyjny i przyzwoity – prawie wysokiego wzrostu, z farbowanymi bokobrodami i wąsikami (służył dawniej w kirasjerach), z twarzą okazałą, choć nieco obrzękłą. Maniery miał bardzo dobre, frak nosił zgrabnie. W Paryżu zaczął nosić swoje ordery. Z takim – spacer po bulwarze był nie tylko możliwy, lecz jeśli można się tak wyrazić, nawet zalecany. Poczciwy i głupekowaty generał był z tego wszystkiego ogromnie zadowolony; zupełnie na to nie liczył, gdy zjawił się u nas po przyjeździe do Paryża. Przyszedł wówczas prawie drżący ze strachu; spodziewał się, że Blanche będzie krzyczała i każe go wypędzić; i dlatego wobec takiego obrotu spraw wpadł w zachwyt i cały ten miesiąc był w jakimś bezmyślnie radosnym stanie; i takim go pozostawiłem. Już tutaj dowiedziałem się ze szczegółami, że tego ranka, po owym naszym nagłym wyjeździe z Ruteenburga, dostał jak gdyby jakiegoś ataku. Upadł nieprzytomny, a później przez cały tydzień był jak obłąkany i bredził. Leczone go, lecz nagie rzucił wszystko, wsiadł do pociągu i przyjechał do Paryża.

⁸⁹ młodość musi się wyszumieć

⁹⁰ Ależ ty naprawdę jesteś filozofem, wiesz? Prawdziwym filozofem! (...)

⁹¹ Aluzja do bohaterki utworu *Therese philosophe ou Memoire pour servir a l'histoire de D. Dirrag et M-lle Eradice*, wydanego anonimowo w Hadze w 1748 roku, zapewne autorstwa de Montigny.

Rozumie się, to, że został przyjęty przez Blanche, okazało się dla niego najlepszym lekarstwem; lecz objawy choroby pozostały jeszcze na długo, pomimo jego radości i zachwyty. Myśleć lub choćby tylko prowadzić trochę poważniejsze rozmowy już nie mógł zupełnie; w takich razach bąkał tylko za każdym słowem: „Hm!”, i kiwał głową – tym się wykpiwał. Śmiał się często, lecz jakimś nerwowym, chorobliwym śmiechem, jakby dostawał konwulsji; czasem znowu siedział całymi godzinami ponury jak noc, zmarszczywszy gęste brwi. Wielu rzeczy nawet sobie wcale nie przypominał; stał się do nieprzyzwoitości roztargniony i nabrał przyzwyczajenia mówić do siebie.

Tylko Blanche mogła go ożywić; zresztą te ataki zasepienia, kiedy się krył po kątach, oznaczały tylko, że dawno nie widział Blanche albo że Blanche gdzieś wyjechała, nie biorąc go ze sobą, albo też wyjeżdżając nie popieściła go. Przy tym sam nie mógłby powiedzieć, czego chce, i nie wiedział, że jest ponury i smutny. Przesiedziawszy godzinę albo dwie (zauważyłem to dwa razy, gdy Blanche wyjeżdża na cały dzień, zapewne do Alberta), nagle zaczynał się rozglądać, niepokoić, starał się coś sobie przypomnieć i chciał kogoś odszukać; ale nie widząc nikogo i nie przypomniawszy sobie, o co chciał zapytać, znów wpadał w apatię, dopóki nie zjawiała się Blanche, wesoła, rześka, wystrojona, ze swoim dźwięcznym śmiechem; podbiegała do niego, zaczynała go tarmosić, a nawet całowała – co, zresztą, rzadko się zdarzało. Raz generał tak się dzięki niej ucieszył, że nawet rozplakał się – aż się zdziwiłem.

Blanche, od chwili gdy generał się u nas zjawił, wzięła na siebie wobec mnie rolę jego adwokata. Puszczala się nawet na krasomówstwo; przypomniła mi, że zdradziła generała dla mnie, że była już prawie jego narzeczoną, że dała mu słowo; że on dla niej porzucił rodzinę i że, wreszcie, służyłem u niego i powinien bym zdawać sobie z tego sprawę, i że – jak mi nie wstydz...

Milczałem wciąż, a ona strasznie paplała. Wreszcie roześmiałem się i tym się to skończyło, a mianowicie Blanche z początku pomyślała, że jestem głupi, a pod koniec stanęło na tym, że jestem człowiekiem bardzo dobrym i do rzeczy. Słowem, miałem szczęście zjednać sobie pod koniec łaski tej czcigodnej panny. (Zresztą Blanche była istotnie bardzo dobrą dziewczyną – w swoim rodzaju, rozumie się; inaczej ją oceniałem z początku.) „Jesteś rozumny i dobry człowiek – mawiała pod koniec – i... i... szkoda tylko, żeś taki głupi! Niczego się nie dorobisz!”

„*Un vrai Russe, un Calmouk!*”⁹² – mówiąc to kilka razy kazała mi wyprowadzać na spacer generała, zupełnie tak samo jak lokajowi swoją suczkę. Zresztą zaciągałem goi do teatru, i do „Bal Mabille”, i do restauracji. Na to Blanche dawała pieniądze, pomimo że generał miał własne, a bardzo lubił wyjmować portfel przy ludziach. Pewnego razu musiałem prawie użyć siły, żeby nie pozwolić mu na kupno broszki za siedemset franków, która mu się spodobała w Palais-Royal i którą za wszelką cenę chciał ofiarować Blanche. Cóż dla niej znaczyła broszka za siedemset franków? A generał nie miał więcej niż tysiąc franków. Nigdy nie mogłem się dowiedzieć, skąd one się u niego wzięły. Sądzę, że od mister Astleya, tym bardziej że ten zapłacił za generała w hotelu. Co się zaś tyczy tego, co generał przez cały ten czas myślał na mój temat, to zdaje mi się, że nawet się nie domyślał, jakiego rodzaju stosunek łączy mnie z Blanche. Chociaż słyszał coś piąte przez dziesiąte, że wygrałem dużą sumę, przypuszczał z pewnością, że jestem u Blanche czymś w rodzaju prywatnego sekretarza albo nawet służącego. Przynajmniej tak mnie traktował, z góry, po dawnemu, jak zwierchnik, a nawet czasem próbował mnie gromić. Pewnego razu bardzo nas roześmiał, i mnie, i Blanche, u nas, rano, przy śniadaniu. Był niezbyt obraźliwy; aż tu nagle obraził się na mnie,

⁹² Prawdziwy Rosjanin, Kałmuk!

za co? – dotąd nie mam pojęcia. Ale generał z pewnością również nie wiedział. Słowem, zaczął coś mówić, bez początku i końca, à *bâtons rompus*⁹³, krzyczał, że jestem młokosem, że mnie nauczy... że mi pokaże... i tak dalej. Ale nikt nie mógł nic zrozumieć. Blanche śmiała się do łez; w końcu uspokojono go jako tako i wyprowadzono na spacer. Wiele razy spostrzegłem zresztą, że zaczynało mu się robić nagle smutno, kogoś i czegoś mu było żal, kogoś mu brakowało pomimo obecności Blanche. W takich chwilach sam zaczynał ze mną rozmowę, ale nigdy nie mógł się wypowiedzieć z sensem, wspominał o służbie, o nieboszczce żonie, o gospodarstwie, o majątku. Znajdował jakieś słowo – i cieszył się nim, powtarzał je sto razy na dzień, chociaż zupełnie nie wyrażało ani jego uczuć, ani myśli. Próbowałem z nim mówić o jego dzieciach, lecz zagadywał mnie, przechodząc czym prędzej na inny temat: „Tak, tak! dzieci, dzieci, ma pan słuszość, dzieci!” Raz tylko się roztkliwił – szliśmy razem do teatru: „To nieszczęśliwe dzieci! – powiedział nagle. – Tak, proszę pana, tak, to nieszczęśliwe dzieci!” A później kilka razy tego wieczoru powtarzał te słowa: „Nieszczęśliwe dzieci!” Gdy raz zacząłem mówić o Polinie, wpadł nawet w złość: „To niewdzięczna kobieta! – zawołał. – Zła i niewdzięczna! Zhańbiła rodzinę! Gdyby tu istniały prawa, ja bym ją nauczył! Tak, tak!” Co się zaś tyczy des Grioux, to nie mógł nawet słyszeć jego nazwiska. „On mnie zgubił – mówił – on mnie okradł, on mnie zarznął! To był mój koszmar w ciągu całych dwóch lat! Całymi miesiącami śnił mi się co noc! To, to, to... o niech pan mi o nim nigdy nie wspomina!”

Widziałem, że u nich na coś się zanosi, ale swoim zwyczajem milczałem. Blanche pierwsza mi o tym powiedziała: było to akurat na tydzień przed naszym rozstaniem. *Il a de la chance* – paplała – *babouchka* teraz jest już naprawdę chora i na pewno umrze. Mister Astley przysłał depeszę; zgodzisz się chyba, że on jednak jest jej spadkobiercą. A gdyby nawet nie, w niczym nie będzie przeszkadzał. Po pierwsze, ma swoją pensję, a po drugie, będzie mieszkał w bocznym pokoju i będzie zupełnie szczęśliwy. Ja będę *madame la générale*. Wejdę w dobre towarzystwo (Blanche stale o tym marzyła), później będę rosyjską panią, *J'aurai un château, des moujiks, et puis j'aurai toujours mon million*.⁹⁴

– No, a jeżeli zaczniesz być zazdrosny, będzie wymagał... Bóg wie czego – rozumiesz?

– O, nie, non, non, non] Jakżeby śmiać! Zabezpieczyłam się, bądź spokojny. Kazałam mu już podpisać kilka weksli na imię Alberta. Niechby cokolwiek – zaraz go skażą; zresztą, nie odważy się!

– No więc idź za niego...

Wesele odbyło się bez specjalnych uroczystości, familijnie i cicho. Był Albert i jeszcze ktoś z bliskich znajomych. Hortense, Cleopatre i inne były stanowczo odsunięte. Pan młody był bardzo zaniepokojony swoją sytuacją. Blanche sama mu zawiązała krawat, sama go napomadowała, i generał w swoim fraku i białej kamizelce wyglądał *très comme il faut*.⁹⁵

– *Il est pourtant très comme il faut*⁹⁶ – wychodząc z pokoju generała oświadczyła mi sama Blanche, jak gdyby uderzyła ją ta myśl, że generał jest *très comme il faut*. Tak mało wnikałem w szczegóły, biorąc we wszystkim udział w charakterze leniwego widza, że wiele rzeczy zapomniałem. Pamiętam tylko, że Blanche okazała się wcale nie de Cominges, tak samo jak jej matka – bynajmniej nie *veuve Cominges* – lecz *du Placet*. Dlaczego obie były dotychczas de Cominges – nie wiem. Lecz generał i z tego był zadowolony, i *du Placet* nawet lepiej mu się podobało niż de Cominges. W dzień ślubu, już zupełnie ubrany, chodził tam i z powrotem po salonie i wciąż powtarzał sam sobie, z niezwykle poważną i napuszczoną miną:

⁹³ trzy po trzy

⁹⁴ Ma szczęście (...) panią generałową (...) będę miała pałac, chłopów i tak czy owak - milion.

⁹⁵ bardzo wytwornie

⁹⁶ On jest jednak bardzo wytworny

„Mademoiselle Blanche du Placet! Blanche du Placet, du Placet! Panna Blanka du Placet!...” I pewnego rodzaju zadowolenie z siebie jaśniało w jego twarzy. W kościele, u mera i w domu podczas przyjęcia był nie tylko radosny i zadowolony, lecz nawet dumny. Obojgu im coś się stało. Blanche zaczęła spoglądać również z jakąś szczególną godnością.

– Teraz muszę się zupełnie inaczej trzymać – powiedziała mi niezwykle poważnie – *mais vois-tu*⁹⁷, nie pomyślałam dotąd o pewnej arcyprzykrej sprawie: otóż nie mogę dotychczas się nauczyć mojego obecnego nazwiska: Zagorianski, Zagorianski, *mme la général de Sago-Sago, ces diables des noms russes, enfin madame la général à quatorze consonnes! comme c'est agréable, n'est-ce pas?*⁹⁸

Wreszcie rozstaliśmy się i Blanche, ta głupia Blanche, żegnając mnie nawet się rozplakała. „*Tu étais bon enfant* – mówiła szlochając. – *Je te croyais bête et tu en avais l'air*, ale ci z tym do twarzy.” I już uściskawszy mi rękę po raz ostatni, zawołała nagle: „*Attends!*”⁹⁹, pobiegła do swojego buduaru i po chwili wyniosła mi dwa bilety tysiącfrankowe. W to nigdy bym nie uwierzył! „To ci się przyda, ty może jesteś bardzo uczony *outchitel*, ale strasznie głupi człowiek. Więcej niż dwa tysiące za nic w świecie ci nie dam, bo ty je i tak przegrasz. No, bądź zdrow! *Nous serons toujours bons amis*, a jeżeli znów wygrasz, koniecznie przyjedź do mnie, *et tu seras heureux!*”¹⁰⁰

Pozostało mi jeszcze swoich pięćset franków; oprócz tego wspaniały zegarek za tysiąc franków, spinki brylantowe itp., toteż można było jeszcze przetrwać dość długo, nie troszcząc się o nic. Umyślnie osiadłem w tym miasteczku, żeby się przygotować, a co najważniejsze, czekam na mister Astleya. Dowiedziałem się na pewno, że będzie tędy przejeżdżać i zatrzyma się na dobę. Dowiem się o wszystkim... a potem – potem prosto do Homburga. Do Ruletenburga nie pojedę, może na przyszły rok. Rzeczywiście, mówią, że źle jest próbować szczęścia dwa razy przy tym samym stole, a w Homburgu ruletka jest co się zowie.

⁹⁷ ale widzisz

⁹⁸ pani generałowa de Sago-Sago, te przeklęte rosyjskie nazwiska, no, pani generałowa na czternaście sylab. Miłe, nie?

⁹⁹ Ty jesteś poczciwe dziecko (...) Myślałam, że jesteś głuptasem, na takiego wyglądałeś (...) Zaczekaj!

¹⁰⁰ Pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi (...) a będziesz szczęśliwy!

Oto minął już rok i osiem miesięcy, jak nie zaglądałem do tych notatek, i dopiero teraz, ze smutku i zgryzoty, przyszło mi do głowy rozerwać się i przypadkowo je przeczytałem. A więc na tym wówczas skończyłem, że pojedę do Homburga. Boże! Z jakim lekkim sercem napisałem te ostatnie zdania! Właściwie nie z lekkim sercem, lecz z jakąś pewnością siebie, z jakimiś niezachwianymi nadziejami! Czy choć trochę wąpiłem w siebie? I oto minęło przeszło półtora roku, a ja, moim zdaniem, jestem gorzej niż żebrak! Zresztą cóż żebrak! Bieda to głupstwo! Ba, po prostu zaprzepaściłem siebie! Zresztą, trudno to z czymkolwiek porównać, a i po co mam sobie morały prawić! Nie ma nic głupszego niż morały w tej chwili! O, zadowoleni z siebie ludzie: z jaką dumną zarozumiałością gotowi ci pyskacze prawić swoje sentencje! Gdyby wiedzieli, jak bardzo sam zdaję sobie sprawę z całej okropności mojego obecnego położenia, na pewno język by im się nie poruszył, żeby mnie pouczać. No cóż, co mogą mi powiedzieć nowego, czego nie wiem? I czy o to chodzi? Chodzi o to, że – jeden obrót koła i wszystko się zmienia, a owi moralisci pierwsi (jestem przekonany) przyjdą z przyjacielskimi żartami, aby mi wieszować. I nie będą się ode mnie tak odwracać, jak teraz. Co oni mnie zresztą obchodzą! Czym jestem dzisiaj? Zerem. Czym mogę być jutro? Jutro mogę zmartwychwstać i na nowo zacząć żyć! Mogę odnaleźć w sobie człowieka, dopóki ten jeszcze nie zginął!

Rzeczywiście pojechałem wtedy do Homburga, ale... później byłem znów w Ruletenburgu, byłem i w Spa, byłem nawet w Baden, dokąd jeździłem jako kamerdyner radcy Hintze, łajdaka i mojego dawnego tutejszego pana. Tak, byłem lokajem, całe pięć miesięcy! To się zdarzyło zaraz po wyjściu z więzienia. (Bo siedziałem i w więzieniu, w Ruletenburgu, za pewien dług. Jakiś nieznajomy wykupił mnie – kto taki? Mister Astley? Polina? Nie wiem, ale dług w sumie dwustu talarów został zapłacony i wyszedłem na wolność.) Co miałem ze sobą robić? Zgodziłem się do tego Hintze. To człowiek młody i narwany, leniuch, a ja umiem mówić i czytać w trzech językach. Najpierw byłem u niego czymś w rodzaju sekretarza, za trzydzieści guldenów miesięcznie; ale skończyłem na zwyczajnym lokajstwie: zabrakło mu środków na utrzymanie sekretarza i obniżył mi pensję; ja zaś nie miałem dokąd iść, zostałem – i w ten sposób, siłą rzeczy, stałem się lokajem. Nie dojadłem i nie dopijałem na jego służbie, ale za to uciulałem sobie przez pięć miesięcy siedemdziesiąt guldenów. Pewnego razu wieczorem w Baden oświadczyłem mu, że pragnę się z nim rozstać; tego jeszcze wieczoru poszedłem na ruletkę. O, jak mi serce biło! Nie, nie pieniądze, były mi drogie! Wtedy chciałem tylko, żeby jutro wszyscy ci Hintzowie, wszyscy szefowie recepcji, wszystkie te wspaniałe panie badeńskie – żeby wszyscy o mnie mówili, opowiadali moją historię, podziwiali mnie, chwalili i oddali hołd mojej nowej wygranej. Wszystko to – dziecinne marzenia i troski, ale... kto wie: może spotkałbym się z Poliną, opowiedziałbym jej o wszystkim i zobaczyłaby, że stoję ponad tymi głupimi szturchańcami losu... O, nie pieniądze są mi drogie! Jestem przekonany, że rzuciłbym je znów jakiejś Blanche i znów jeździłbym w Paryżu własnymi końmi za szesnaście tysięcy franków. Przecież dobrze wiem, że nie jestem skąpy; sądzę nawet, że jestem rozrzutny – a równocześnie z jakim jednak drżeniem, z jakim zamierającym sercem wysłuchuję wołania krupiera: *trente et un, impair et passe* albo: *quatre, noir, pair et manque!* Z jaką żądzą patrzę na stół gry, na którym są rozrzucone luidory, friedrichsdory i talary, na słupki złota, gdy za

dotknięciem łopatkki krupiera rozsypują się w gorejące jak żar sterty, albo na wysokie słupy srebra ustawione obok rulety. Już zbliżając się do sali gry, z odległości dwóch pokoi, zaledwie słyszę dźwięk przesypanych pieniędzy, prawie że dostaję drgawek.

O, ten wieczór, gdy przyniosłem moje siedemdziesiąt guldenów do sali gry, był również wspaniały. Zaczęłem dziesięcioma guldenami i znowu od *passé*. Mam jakiś przesąd, jeśli idzie o *passé*. Przegrałem. Pozostało mi sześćdziesiąt guldenów srebrem; pomyślałem chwilę – i wybrałem *zero*. Zaczęłem stawiać na *zero*, po pięć guldenów; za trzecim razem wychodzi *zero*; omal nie umarłem z radości, otrzymawszy sto siedemdziesiąt pięć guldenów; kiedy wygrałem sto tysięcy guldenów, nie byłem taki uszczęśliwiony. Natychmiast postawiłem sto guldenów na *rouge* – wygrałem; całe dwieście na *rouge* – wygrałem; całe czterysta na *noir* – wygrałem; całe osiemset na *manque* – wygrałem; licząc z poprzednim, miałem tysiąc siedemset guldenów, i to – mniej niż w pięć minut! Tak, w takich chwilach zapomina się o wszystkich dawnych niepowodzeniach! Przecież zdobyłem to ryzykując więcej niż życie, ośmieliłem się zaryzykować i – oto jestem znów wśród ludzi!

Wynająłem pokój w hotelu, zamknąłem się i do trzeciej siedziałem, licząc swoje pieniądze. Rano obudziłem się już niejako lokaj. Postanowiłem jeszcze tego dnia wyjechać do Homburga: tam nie służyłem jako lokaj i nie siedziałem w więzieniu. Na półgodziny przed odejściem pociągu poszedłem, żeby zagrać dwa razy, nie więcej, i przegrałem półtora tysiąca florenów. Mimo to pojechałem do Homburga i już miesiąc minął, jak tu jestem...

Żyję tu, rzecz prosta, w bezustannym niepokoju, gram najmniejszymi stawkami i na coś czekam, obliczam, stoję całymi dniami przy stole i obserwuję grę, nawet we śnie widzę grę, ale przy tym wszystkim wydaje mi się, że jestem jakiś drewniany, jak gdybym ugrzązł w jakimś błocie. Wnioskuje to z wrażenia, jakie odniosłem przy spotkaniu z mister Astleyem. Nie widzieliśmy się od tamtych czasów i spotkaliśmy się przypadkowo; a było to tak. Szedłem przez ogród i rozmyślałem, że jestem teraz prawie bez pieniędzy, ale mam pięćdziesiąt guldenów – oprócz tego w hotelu, gdzie zajmuję pokój, trzy dni temu w zupełności uregulowałem rachunki. A więc mogę pójść teraz tylko raz na ruletkę – jeżeli wygram choć trochę, można będzie grać dalej; jeżeli przegram – trzeba będzie znów zostać lokajem, jeżeli nie znajdę teraz Rosjan, którym by był potrzebny nauczyciel. Zajęty tą myślą, poszedłem na mój codzienny spacer przez park i przez las do sąsiedniego księstwa. Czasami chodziłem w ten sposób około czterech godzin i wracałem do Homburga zmęczony i głodny. Zaledwie wszedłem z ogrodu do parku, gdy nagle na ławce zobaczyłem mister Astleya. Pierwszy mnie zauważył i zawołał. Usiadłem obok niego. Spostrzegłszy w jego zachowaniu pewną oficjalność, natychmiast powściągnąłem swoją radość; bardzo się ucieszyłem na jego widok.

– A więc pan tutaj! Spodziewałem się, że pana spotkam – powiedział. – Niech się pan nie trudzi opowiadaniem: wiem, wiem wszystko; całe pańskie życie przez ten rok iosiem miesięcy jest mi znane.

– Hm! Więc tak pan pilnuje swoich starych przyjaciół! – odpowiedziałem. – To dobrze o panu świadczy, że pan nie zapomina... Przepraszam, jednak pan mi nasuwa pewną myśl: czy to pan mnie wykupił z więzienia w Ruletenburgu, gdzie siedziałem za dług w wysokości dwustu guldenów? Wykupił mnie ktoś znajomy.

– Nie, o nie; nie wykupywałem pana z więzienia w Ruletenburgu, gdzie pan siedział za dług w wysokości dwustu guldenów. Ale wiedziałem, że pan siedział w więzieniu za dług w wysokości dwustu guldenów.

– Więc pan jednak wie, kto mnie wykupił?

– O nie, nie mogę powiedzieć, że wiem, kto pana wykupił.

– To dziwne: spośród Rosjan nikt mnie nie zna, zresztą Rosjanie tutaj może nawet by nie wykupili; to tam u nas, w Rosji, prawosławni wykupują prawosławnych. Myślałem sobie, że jakiś dziwak-Anglik, przez ekstrawagancję.

Mister Astley słuchał mnie z pewnym zdziwieniem. Spodziewał się zastać mnie ponurym, przygnębnionym.

– Jednak bardzo się cieszę, widząc, że pan w zupełności zachował równowagę ducha, a nawet wesołość – oświadczył z dość nieprzyjemną miną.

– Czyli w głębi duszy skręca się pan ze złości, że nie jestem przygnębniony i poniżony – powiedziałem, śmiejąc się.

Nieprędko zrozumiał, ale zrozumiawszy, uśmiechnął się.

– Podobają mi się pańskie uwagi. Poznaję w tych słowach mojego dawnego, starego, rozumnego, entuzjastycznego a równocześnie cynicznego przyjaciela; tylko Rosjanie mogą gromadzić w sobie naraz tyle przeciwieństw. Rzeczywiście, człowiek lubi widzieć swojego najlepszego przyjaciela w poniżeniu wobec siebie; na poniżeniu przeważnie przyjaźń się opiera; i to jest stara prawda, znana wszystkim rozumnym ludziom. Ale zapewniam pana, że w tym wypadku szczerze się cieszę, iż pan nie upada na duchu. Niech pan powie, czy ma pan zamiar porzucić grę?

– A niech ją diabli! Natychmiast rzucę, tylko żeby...

– Tylko żeby się teraz odegrać? Tak też myślałem; niech pan nie kończy – wiem, pan to powiedział odruchowo, a więc powiedział pan prawdę. Proszę pana, czy oprócz gry niczym się pan nie zajmuje?

– Nie, niczym...

Zaczął mnie egzaminować. Nie wiedziałem o niczym, prawie nie zaglądałem do gazet i przez cały ten czas nie otwierałem żadnej książki.

– Pan zaskorupiał – zauważył mister Astley – pan nie tylko wyrzekł się życia, interesów własnych i społecznych, obowiązku obywatela i człowieka, swoich przyjaciół (których pan jednak posiadał), pan nie tylko wyrzekł się jakiegokolwiek celu oprócz wygranej, pan wyrzekł się nawet swoich wspomnień. Pamiętam pana w gorącej i trudnej chwili pańskiego życia; ale jestem przekonany, że pan zapomniał wszystkie swoje najlepsze wrażenia z owej chwili; pańskie marzenia, pańskie obecne codzienne pragnienia nie wychodzą poza *pair, impaiar, rouge, noir*, dwanaście środkowych i tak dalej, i tak dalej – jestem przekonany!

– Dostyc, mister Astley, proszę, bardzo proszę, niech mi pan nie przypomina – zawołałem z przykrością, omal nie ze złością – niech pan wie, że nic nie zapomniałem; chwilowo tylko wypędziłem to wszystko z głowy, nawet wspomnienia, dopóki radykalnie nie poprawię moich warunków życiowych; wówczas... wówczas zobaczy pan, ja się odrodzę, ja zmartwychwstanę!

– Pan tu będzie jeszcze i za dziesięć lat – powiedział. – Proponuję panu zakład, że przypomnę to panu, jeżeli będę żył, tutaj, na tej ławce.

– No, dostyc – przerwałem z niecierpliwością – żeby panu dowieść, że nie tak łatwo zapominam o przeszłości, pozwoli pan, że zapytam: gdzie teraz jest miss Polina? Jeżeli nie pan mnie wykupił, to na pewno ona. Od tamtych czasów nie miałem o niej żadnych wiadomości.

– Nie, o nie! Nie sądzę, żeby to ona pana wykupiła. Jest teraz w Szwajcarii. I zrobi mi pan wielką przyjemność, jeżeli pan przestanie mnie pytać o miss Polinę – powiedział tonem stanowczym, a nawet z gniewem.

– To znaczy, że i panu dała się we znaki – zaśmiałem się mimo woli.

– Miss Polina jest najlepszą istotą ze wszystkich istot najbardziej godnych szacunku, ale powtarzam panu, zrobi mi pan wielką przyjemność, jeżeli przestanie mnie pytać o miss

Polinę. Pan jej nigdy nie znalazł. Jej imię w pańskich ustach uważam za obrazę mojego poczucia moralnego.

– Aha! Zresztą nie ma pan racji; o czym mam mówić z panem, jeżeli nie o tym? Niech pan pomyśli! Przecież na tym polegają wszystkie nasze wspomnienia. Zresztą niech się pan nie obawia. Nie obchodzą mnie żadne pańskie wewnętrzne, sekretne sprawy... Interesuję się tylko, że tak powiem, zewnętrznym położeniem miss Poliny, tylko jej zewnętrzną sytuacją. To można powiedzieć w dwóch słowach.

– Bardzo proszę, lecz pod warunkiem, że na tych dwóch słowach wszystko się skończy. Miss Polina długo chorowała; teraz też jest chora; jakiś czas przebywała z moją matką i siostrą w północnej Anglii. Pół roku temu jej babka – pamięta pan, ta wariatka – umarła i zostawiła wyłącznie dla niej siedem tysięcy funtów. Teraz miss Polina podróżuje z rodziną mojej siostry, która wyszła za męża. Jej młodszy brat i siostra, również zabezpieczeni testamentem babki, uczą się w Londynie. Generał, jej ojczym, miesiąc temu umarł w Paryżu na skutek apopleksji. Mlle Blanche obchodziła się z nim dobrze, ale wszystko co dostał od babki, zdążyła zapisać na siebie... To zdaje się wszystko.

– A des Grioux? Czy i on również podróżuje po Szwajcarii?

– Nie, des Grioux nie podróżuje po Szwajcarii; a poza tym raz na zawsze uprzedzam pana, żeby pan unikał podobnych aluzji i nieszlachetnych zestawień, inaczej z pewnością będzie pan miał ze mną do czynienia.

– Co? Pomimo naszych dawnych, przyjacielskich stosunków?

– Tak, pomimo naszych dawnych, przyjacielskich stosunków.

– Stokrotnie przepraszam pana, mister Astley. Wybacz pan jednak: w tym nie ma nic upokarzającego i nieszlachetnego; przecież w niczym nie przypisuję winy miss Polinie. Poza tym – Francuz i Rosjanka, na ogół biorąc – to takie zestawienie, mister Astley, którego ani nie rozstrzygniemy, ani nie zrozumiemy do końca.

– Jeżeli pan nie będzie wymieniał nazwiska des Grioux razem z innym nazwiskiem, to poprosiłbym pana o wyjaśnienie mi, co pan rozumie przez wyrażenie „Francuz i Rosjanka”? Cóż to za „zestawienie”? Dlaczego właściwie Francuz i koniecznie Rosjanka?

– Widzi pan, to pana zainteresowało. Ale to obszerny temat, mister Astley. Tu trzeba by mieć wiele wstępnych wiadomości.

Zresztą to ważne zagadnienie – chociaż wydaje się takie śmieszne na pierwszy rzut oka. Francuz, mister Astley – to skończona, piękna forma. Pan, jako Brytyjczyk, może się z tym nie zgodzić; ja, jako Rosjanin, również się nie zgadzam, no, chociażby przez zawiść; ale nasze panie mogą być innego mniemania. Pan może uważać, że Racine jest pokraczny, powykrzywiany i naperfumowany; nawet czytać go z pewnością pan nie będzie. Ja również uważam, że jest pokraczny, powykrzywiany, naperfumowany i, z pewnego punktu widzenia nawet śmieszny, ale on jest zachwycający, mister Astley, i co najważniejsze, to wielki poeta, bez względu na to, czy ja i pan tego chcemy, czy nie chcemy. Narodowa forma Francuza, a właściwie paryżanina, zaczęła się krystalizować w piękną formę, kiedy jeszcze byliśmy niedźwiedziami. Rewolucja odziedziczyła spadek po szlachcie. Teraz najpodlejszy Francuzik może mieć maniery, obejście i wyrażenia, a nawet myśli całkowicie piękne w formie, nie przyczyniając się do powstania tej formy ani swoją inicjatywą, ani duszą, ani sercem; wszystko to otrzymał w spadku. Jako tacy Francuzi mogą być najbardziej płytki i najbardziej podli. A więc, mister Astley, oznajmiam panu teraz, że nie ma na całym świecie istoty bardziej ufnej i szczerzej niż dobra, rozumna i nie całkiem zepsuta rosyjska panna. Des Grioux, zjawiając się w jakiegokolwiek roli, zjawiając się pod maską – może zdobyć jej serce z niezwykłą łatwością; on posiada piękną formę, mister Astley, a kobieta uważa, że ta forma – to jego dusza, że to naturalna forma jego duszy i serca, a nie strój, który otrzymał w spadku.

Ku wielkiemu pańskiemu niezadowoleniu muszę się panu przyznać, że Anglicy są przeważnie chropawi i niewykwintni, a Rosjanie dość subtelnie umieją oceniać piękno i są na nie chciwi. Ale żeby oceniać piękno duszy i oryginalność jednostki, na to trzeba nieporównanie więcej samodzielności i swobody, niż ich posiadają nasze kobiety, a zwłaszcza nasze panny – w każdym razie więcej doświadczenia. Miss Polina zaś – niech mi pan wybaczy, tego, co powiedziane, nie można cofnąć – musi się długo, bardzo długo decydować, żeby wybrać pana zamiast tego łajdaka des Grieux. Zdoła nawet pana ocenić, stanie się pańskim przyjacielem, otworzy panu całe serce; ale w tym sercu będzie jednak panował nienawistny łajdak, wstrętny i drobny lichwiarz – des Grieux. Tak będzie choćby, że tak powiem, przez sam upór i ambicję, ponieważ ów des Grieux kiedyś ukazał się jej w aureoli pięknego markiza, rozczarowanego liberała i człowieka zrujnowanego (jakoby!) z powodu pomocy udzielonej jej rodzinie i lekkomyślnemu generałowi. Wszystkie jego sprawki ujawniły się później. Ale to nic, że się ujawniły; pomimo to dajcie jej teraz dawnego des Grieux, oto czego jej trzeba! Im bardziej nienawidzi obecnego des Grieux, tym bardziej tęskni za dawnym, chociażby dawny istniał tylko w jej imaginacji. Pan jest cukrownikiem, mister Astley?

– Tak, należę do spółki znanej cukrowni Lovell & Comp.

– No więc widzi pan, mister Astley. Z jednej strony – cukrownik, a z drugiej – Apollo Belwederski; wszystko to jakoś się nie łączy. A ja nawet nie jestem cukrownikiem; jestem po prostu drobnym graczem w ruletkę i nawet byłem lokajem, o czym miss Polina na pewno wie, jak się zdaje, ma dobry wywiad.

– Pan jest w złości i dlatego mówi pan te wszystkie głupstwa – z zimną krwią i po chwili namysłu powiedział mister Astley. – Zresztą to, co pan mówi, nie jest oryginalne.

– Zgoda! Ale to właśnie jest straszne, mój szlachetny przyjacielu, że te wszystkie moje oskarżenia, chociaż są tak przestarzałe, chociaż są tak pospolite, chociaż są tak operetkowe, są jednak słuszne. Jednak do niczegośmy z panem nie doszli!

– To nędzne głupstwa...dlatego... dlatego... niechże się pan dowie! – powiedział mister Astley drżącym głosem i oczy mu zabłyśły. – Niechże się pan dowie, niewdzięczny i niegodny, płytki, nieszczęsny człowieku, że przybyłem do Homburga z jej polecenia, umyślnie po to, żeby pana zobaczyć, pomówić z panem długo i serdecznie i opowiedzieć jej o wszystkim – o pańskich uczuciach, myślach, nadziejach i... wspomnieniach.

– Doprawdy! doprawdy? – zawołałem i łzy gradem pociekły mi z oczu. Nie mogłem ich powstrzymać, i to, zdaje się, po raz pierwszy w życiu.

– Tak, nieszczęsny człowieku, ona pana kochała i mogę panu o tym powiedzieć, dlatego że pan jest człowiekiem zgubionymi! Nie dość na tym, jeżeli nawet panu powiem, że ona dotychczas pana kocha, to przecież i tak pan tutaj zostanie! Tak, pan sam siebie zgubił. Pan miał pewne zdolności, żywy charakter i był człowiekiem niegłupim; pan nawet mógł być pożyteczny dla swojej ojczyzny, której tak potrzebni są ludzie, ale – pan zostanie tu i pańskie życie jest skończone. Nie obwiniam pana. Moim zdaniem, wszyscy Rosjanie są tacy albo skłonni są takimi zostać. Jeżeli nie ruletka, to coś innego, podobnego do niej. Wyjątki są nazbyt rzadkie. Nie pan pierwszy nie rozumie, co to takiego praca (nie mówię o pańskim narodzie). Ruletka – to gra przede wszystkim rosyjska. Dotychczas był pan uczciwy i wołał pan zostać lokajem niż kraść... ale strach mi pomyśleć, co może być w przyszłości. Dość tego, żegnaj pana! Pan z pewnością potrzebuje pieniędzy? Oto ma pan ode mnie dziesięć luidorów, więcej nie dam, dlatego że pan i tak przegra. Niech pan bierze i do widzenia! No niechże pan bierze!

– Nie, mister Astley, wobec wszystkiego, co teraz pan powiedział...

– Niech pan bierze! – zawołał. – Jestem pewny, że pan jest jeszcze szlachetny, i daję panu te pieniądze jak przyjaciel prawdziwemu przyjacielowi. Gdybym mógł mieć pewność, że pan zaraz porzuci grę, Homburg i pojedzie do swojej ojczyzny, gotów bym niezwłocznie dać panu tysiąc funtów na zapoczątkowanie nowej kariery. Ale dlatego właśnie nie daję panu tysiąca funtów, tylko dziesięć luidorów, że tysiąc funtów czy dziesięć luidorów – to obecnie dla pana jedno i to samo; i tak, i tak – przegra je pan. Niech pan bierze, i żegnam.

– Wezmę, jeżeli pan pozwoli uścisnąć się na pożegnanie.

– O, to z przyjemnością!

Uściskaliśmy się szczerze i mister Astley odszedł.

– Nie, on nie ma racji! Jeżeli ja byłem bezwzględny i głupi co do Poliny i des Grioux, to on był bezwzględny i porywczy co do Rosjan. O sobie nic nie mówię. Zresztą... zresztą – wszystko to na razie tylko słowa, słowa i słowa, a tu trzeba czynów! Najważniejsze teraz – Szwajcaria! Jutro – o, gdyby można było jutro tam pojechać! Odrodzić się na nowo, zmartwychwstać! Trzeba im dowieść... Niech Polina wie, że jeszcze mogę być człowiekiem. Wystarczy tylko... zresztą teraz już za późno – ale jutro... O, mam przecucie, i nie może być inaczej! Mam teraz piętnaście luidorów, a zaczynałem z piętnastoma guldenami! Jeżeli zacząć ostrożnie... I czyżbym doprawdy by takim dzieciakiem! Czy nie rozumiem, że jestem człowiekiem zgubionym? Ale – dlaczego nie mógłbym się odrodzić? Tak! Wystarczy tylko raz w życiu być uważnym i cierpliwym – ot i wszystko. Wystarczy tylko chociaż raz okazać charakter, i w ciągu godziny mogę odmienić swój los! Najważniejsze – charakter. Przypominam sobie, co mi się zdarzyło siedem miesięcy temu w Ruletenburgu, przed moją ostateczną przegraną. O, to był zadziwiający przykład zdecydowania: przegrałem wtedy wszystko, wszystko... Wychodzę z kasyna, patrzę – w kieszeni kamizelki mam jeszcze jednego guldena. „O, więc będę miał za co jeszcze zjeść obiad” – pomyślałem. Lecz nie uszedłszy jeszcze stu kroków rozmyśliłem się i wróciłem. Postawiłem tego guldena na *manque* (ostatnio padło na *manque*), i doprawdy jest coś szczególnego w uczuciu, kiedy sam, w obcym kraju, daleko od ojczyzny, od przyjaciół, nie wiedząc, co będziesz dziś jadł – stawiasz ostatniego guldena, ostatniego, najostatniejszego! Wygrałem – i po dwudziestu minutach wyszedłem z kasyna mając sto siedemdziesiąt guldenów w kieszeni. To fakt! Oto, co może czasem znaczyć ostatni gulden! A co by było, gdybym wtedy upadł na duchu, gdybym nie śmiał się zdecydować?...

Jutro, jutro wszystko się skończy!